

Witold Gombrowicz

TRANS-ATLANTYK

Przedmowa	2
Trans-Atlantyk	5
Stefan CHWIN	103
Gombrowicz i Forma polska	103
„Dusza polska" i „dusza interakcyjna"	106
Dziwne nauki w szkole wieszczów	109
Sarmatyzm jako j zyk nowoczesno ci	113

Przedmowa

Jak się zdaje, mogą się nie obawiać się ryku oburzenia — pierwsze zderzenie Trans-Atlantyku z czytelnikiem nastąpiło przed paroma laty, na emigracji, i jest już poza mną. Teraz więc czas zażegnać inne niebezpieczeństwo, to mianowicie, żeby utwór nie był zbyt wąsko i płytko czytany.

Muszę domagać się dzisiaj, w przededniu krajowego wydania, głębszego i wszechstronniejszego odczytania tekstu. Muszę — ponieważ ten utwór dotyczy w pewnej mierze narodu, a umyślowo — nasza, tyle na emigracji, co w kraju, nie jest jeszcze na tym punkcie do swobodna, jest wciąż ku ruczowa i nawet zmanierowana... Książek na ten temat nie umiemy czytać po prostu. Zbyt silny jest w nas dotychczas ten kompleks polski i zbyt obciążeni jesteśmy tradycją. Jedni (do nich należałem) nieomal boją się słowa „ojczyzna”, jakby ono cofało ich o 30 lat w rozwoju. Innych wprowadza natychmiast na tory obowiazujących w naszej literaturze szablonów. Czy bym przesadzał? Ale poczta przynosi mi rozmaite głosy z kraju o Trans-Atlantyku i dowiaduję się, że to „pamflet na frazes bogoojczyzniany” czy też „satyra na przedwojenną Polskę”. ... Znalazł się nawet ktoś, kto go zakwalifikował jako... pamflet na sanację. W tej skali maksymalna ocena, do jakiej mógłbym pretendować, to ta, która widzi w utworze „narodowy rachunek sumienia” tudzież „krytykę naszych wad narodowych”.

Ale na cóż mnie jakieś boje z umarłą Polską przedwojenną czy też z przebrzmiałym stylem dawniejszego patriotyzmu, gdy mam inne i bardziej uniwersalne kłopoty? Czy traciłbym czas na te przeczasiałe drobiazgi? Jestem z tych ambitnych strzelców, którzy, jeżeli pułkują, to tylko do grubszej zwierzyny.

Nie przeczę; Trans-Atlantyk jest mi dziś innymi satyrą. I jest tak, że mi dziś innymi, do nawet intensywnym porachunkiem... Nie żadnym poszczególną Polską, rzecz jasna, ale z Polską tak, jak stworzyły warunki jej historycznego bytowania i jej umieszczenia w świecie (to znaczy z Polską s ł a b). I zgadzam się, że to statek korsarski, który przemycza sporo dynamitu, aby rozsądzi nasze dotychczasowe

uczucia narodowe. A nawet ukrywa w swym wn trzu pewien wyra ny postulat odno nie do tego uczucia; przewyci y polsko . Rozlu ni to nasze oddanie si Polsce! Oderwa si cho troch ! Powsta z kl czek! Ujawni , zalegalizowa ten drugi biegun odczuwania, który ka e jednostce broni si przed narodem, jak przed ka d zbiorow przemoc . Uzyska — to najwa niejsze — swobod wobec formy polskiej, b d c Polakiem by jednak kim obszerniejszym i wy szym od Polaka! Oto — kontrabanda ideowa Trans-Atlantyku. Szłoby tu zatem o bardzo daleko posuni t rewizj naszego stosunku do narodu — tak kra cow , e mogłaby zupełnie przeinaczy nasze samopoczucie i wyzwoli energie, które by mo e w ostatecznym rezultacie i narodowi si przydały. Rewizj , notabene, o charakterze uniwersalnym — gdy to samo zaproponowałbym ludziom innych narodów, bo problem dotyczy nie stosunku Polaka do Polski, ale człowieka do narodu. I wreszcie rewizj , która ł czy si jak naj ci lej z cala problematyk współczesn , gdy mam na oku (jak zawsze) wzmożenie, wzbogacenie ycia indywidualnego, uczynienie go odporniejszym na gniot c przewag masy. W takiej tonacji ideowej napisany jest Trans -Atlantyk.

Omawiałem kilkakrotnie te idee w moim dzienniku, drukowanym w paryskiej „Kulturze”. Teraz on ukazuje si w ksi ce, w Pary u. Nie wszedł do tego tomu fragment z „Kultury” z marca 1957 r., który równie stanowi komentarz do mej herezji. .

Czy jednak my l powy sza jest tematem utworu? Czy sztuka jest w ogóle wypracowaniem na temat? Pytania chyba na czasie, gdy , obawiam si , nie ze wszystkim jeszcze otrz sn ła si krytyka krajowa z socrealistycznej manii domagania si „sztuki na temat”. Nie, Trans-Atlantyk nie ma adnego tematu poza histori , jak opowiada. To tylko opowiadanie, to nic wi cej, jak tylko pewien wiat opowiedziany — który o tyle mo e by co wart, o ile oka e si ucieszny, barwny, odkrywczy i pobudzaj cy — to co l ni cego i migotliwego, mieni cego si mnóstwem znacze . Trans-Atlantyk jest po trosze wszystkim, co chcecie; satyr , krytyk , traktatem, zabaw , absurdem, dramatem — ale niczym nie jest wył cznie, poniewa jest tylko mn , moj „wibracj ”, moim wyl dowaniem, moj egzystencj .

Czy to o Polsce? Ale ja nigdy nie napisałem jednego słowa o czym innym, jak tylko o sobie — nie czuj si do tego upowa niony. Ja w roku 1939 znalazłem si w Buenos Aires, wyrzucony z Polski i z dotychczasowego mego ycia, w sytuacji niezwykle gro nej. Przeszło zbankrutowana. Tera niejszo jak noc. Przyszło

nie daj ca si odgadn . W niczym oparcia. Załamuje si i p ka Forma pod ciosami powszechnego Stawania si ... Co dawne, jest ju tylko impotencj , co nowe i nadchodz ce, jest gwałtem. Ja, na tych bezdro ach anarchii, po ród str conych bogów, zdany jedynie na siebie. Có chcecie, abym czuł w takiej chwili? Zniszczy w sobie przeszło ?... Odda si przyszło ci?... Tak... ale ja ju niczemu nie chciałem si oddawa sam istot moj , adnemu kształtowi nadchodz cemu — ja chciałem by czym wyszym i bogatszym od kształtu. St d si bierze miech w Trans --Atlantyku. Taka mniej wi cej była ta przygoda moja, z której po wstało dzieło groteskowe, rozpi te mi dzy przeszło ci a przyszło ci .

Trzeba doda dla porz dku, cho to mo e niepotrzebne; Trans -Atlantyk jest fantazj . Wszystko — wymy lone w bardzo lu nym tylko zwi zku z prawdziw Argentyn i prawdziw koloni polsk w Buenos Aires. Moja „dezercja" tak e inaczej przedstawia si w rzeczywisto ci; szperaczy odsyłam do mego dziennika.

Trans -Atlantyk

Odczuwam potrzebę przekazania Rodzinie, krewnym i przyjaciołom moim tego oto zaczątku przygód moich, juździesięcioletnich, w argentyńskiej stolicy. Nikogo ja na te kluski stare moje, na rzepmo e i surow, nie zapraszam, bo w cynowej misie Chude, Kiepskie, i do tego podobnie Wstydlive, na oleju Grzechów moich, Wstydów moich, te krupy ciłkie moje, Ciemne, z kasz czarną moją, ach, e i lepiej do ust nie wzię, bo chyba na wieczne przekleństwo, ponienie moje, na drodze nieustającej życia mojego i podtci k, mudn Gór moją.

Dwudziestego pierwszego sierpnia 1939 roku ja na statku „Chrobry” do Buenos Aires przybijałem. Egluga z Gdyni do Buenos Aires nadzwyczaj rozkoszna... i nawet niechtnie mnie się na ląd wysiadało, bo przez dni dwadzieścia człowiek mi dzy niebem i wodą, niczego nie pamiętny, w powietrzu skpany, w fali roztopiony i wiatrem przewiany. Ze mną Czesław Straszewicz, towarzysz mój, kajut dzielił, bo obaj jako literatki al się Bo e mało co opierzone na t pierwszym nowego okrętu podró zaproszeni zostali my; oprócz niego Rembieliński senator, Mazurkiewicz minister i wiele innych osób, z którymi się poznałem. Dwie te panienki ładne, zgrabne, pochopne, z którymi ja w wolnych chwilach bajdurzyłem i baraszkowałem, główki zawracałem i tak, powtarzam, mi dzy Niebem i Wodą, a wci przed siebie, spokojnie...

Otóż, jakże my do lądu dobili, ja z panem Czesławem i Rembielińskim senatorem w miasto zapuścili my się, całkiem na o lep, jak w rogu, bo aden z nas tu nigdy nog nie stpił. Zgiełk, pył i szaroziemi niemile poraziły po owym czystym, słonym falró a cu, co my go na wodzie odmawiali. Niemniej, przez plac Retiro, na którym wieża stoi przez Anglików zbudowana, przeszedłszy, wawo w ulic Florida wstąpili my, a tam sklepy luksusowe, nadzwyczajna Artykułów, towarów obfito i

publiczno ci kwiat dystygowanej, tam Magazyny wielkie, i cukiernie. Tam Rembieli ski senator sakiewki ogl dał, a ja afisz, na którym słowo „CARAVANAS” wypisane, zobaczyłem i mówi do pana Czesława w ten dzie jasny, Zgiełkliwy, gdy my to tak sobie chodzili, chodzili:

— li... widzisz pan, panie Czesław, te Caravanas?

Ale zaraz na statek wraca musieli my, gdzie kapitan Prezesów i Przedstawicieli tutejszej Polonii podejmował. Zeszła si tych Prezesów i Przedstawicieli du a kupa, a ja zaraz sobie jak w lesie, zgubiony, w godno ciach i tytułach si gubiłem, ludzi, sprawy i rzeczy mieszałem, to wódk piłem, to znowu nie piłem i jak omackiem po polu chodziłem. Tak e i JW. minister Kosiubidzki Feliks, poseł nasz w tym kraju, obecno ci swój Przyj cie zaszczycał i, szklaneczk w dłoni trzymaj c, stał ze dwie godziny, to tego to tamtego najuprzejmiej staniem swoim zaszczycaj c. W mów, rozmów odm cie, w lamp nie ywym l nieniu, ja jak przez teleskop na wszystko patrzałem i wsz dzie Obco widz c, Nowo i Zagadk , jak niko ci i szaro ci zdj ty, domu mego, Przyjaciół i Towarzyszów wzywałem.

Owo i mało co z tego. Ale co niedobrze. Bo ju tam, panie, gdzie tam co tam si kielbasi, a cho i pusto jak w nocy na polu, tam za Lasem, za Gumnem, trwoga i skaranie bo e i jakby si na co zanosilo; ale ka den my lał, e mo e rozejdzie si po ko ciach, a z du ej chmury mały deszcz i tak to jak z bab , co tarza si , ryczy, j czy z Brzuchem wielkim, Czarnym ach Niemiłosiernym, e chyba Szatana porodzi, a to j tylko kolki sparty; wi c po stra chu. Ale co niedobrze i co niedobrze chyba, oj, niedobrze. W ostatnich tych dniach przed wojny wybuchem ja z panem Czesławem, Rembieli skim senatorem i Mazurkiewiczem ministrem na wielu Przyj ciach byli my, bo to i JW. poseł Kosiubidzki i Konsul i Markiz a jaka w hotelu Alvear i Bóg raczy wiedzie kto i co i gdzie i z jakiej przyczyny, a z czym do czego i po co; ale gdy my z tych przyj wychodzili, to na ulicach o uszy nam si obijał gazet krzyk „Polonia, Polonia” uprzykrzony. Ju tedy coraz nam ci ej, coraz markotniej, a ka den uszy po sobie, jak struty chodzi, tyle Troskami, co Frykasami wypełniony. A tu Czesław do kajuty naszej (bo wci na statku mieszkali my) z gazet wpada; „Wojna dzi , jutro wybuchn musi, nie ma rady! Owo kapitan rozkaz wydał , aby jutro statek nasz wypłyn ł, bo cho do Polski ju si nie przedostaniemy, to pewnie gdzie do Anglii, Szkocji brzegów dobijemy”. Gdy to wyrzekł, ze łzami w obj cia

sobie padli my i zaraz na kolana padli my, pomocy Bo e j wzywaj c i Panu Bogu si ofiarowuj c. A tak kl cz c, powiadam do Czesława — Pły cie , pły cie z Bogiem.

Czesław do mnie:

— Jak e to, przecie z nami płyniesz! Powiadam wi c (a umy lnie z kolan nie wstawałem):

— Pły cie i oby cie szcz liwie dopłyn li.

Mówi:

— Co ty ty mówisz ? To ty nie popłyniesz?

Powiadam:

— Ja bym do Polski popłyn ł? Tu zosta .

Tak jemu półg bkiem mówi (bo całej prawdy powiedzie nie mogłem), a on patrzy si na mnie i patrzy.

Ozwał si , a ju bardzo zafrasowany:

— Nie chcesz z nami? Tu wolisz si zosta ? Ale ty do Poselstwa naszego pójd , tam si zamelduj, eby ci za dezertera albo i co gorszego nie ogłoszono. Pójdiesz do Poselstwa, pójdiesz?

Odpowiedziałem:

— Co sobie my lisz, pewnie e pójd , przecie wiem co jako obywatel powinienem, ju si o mnie nie bój. Ale lepiej nikomu nie mów, mo e jeszcze zamiar swój odmieni i z wami odpłyn . Dopiero wtenczas z kl czek powstałem, bo ju najgorsze przeszło, a Czesław pocziwy, ale i zafrasowany, nadal serdeczn mnie darzył przyja ni (cho jakby tajemnica jaka mi dz y nami była).

Ja człowiekowi temu, Rodakowi, prawdy całej nie chciałem wyjawi , ani ty innym Rodakom i Swojakom moim... bo chybaby mnie za ni ywcem na stosie palono, ko mi albo kleszczami rozrywano, a od czci i wiary ods dzono. Trudno za najwi ksza moja taka, e, na statku mieszkaj c, adn miar potajemnie jego opu ci nie mogłem. Dlatego to, jak najusilniej si przed wszystkimi maj c na baczno ci, ja niby to w tym rozgardiaszu powszechno ci całej, w biciu serc, w zapału wykrzykach i piewkach, w cichych l ku i troski westchnieniach ty za innymi wołam albo piewam, albo biegam, albo wzdycham... ale gdy ju liny odwi zuj , gdy statek lud mi rozkołatany, od ludzi Rodaków czarny, ju ju odbija ma, odpływa , ja z człowiekiem, który za mn dwie walizki moje niósł, po schodkach na l d zost puje i oddala si zaczynam. Owo tak si oddalam. A wcale za siebie si nie ogl dam.

Oddalam si , a nic nie wiem, co tam za mn . Ale oddalam si po wirowanej alei i ju do daleko jestem. Dopiero, gdym ju dobrze si oddalił, przystan łem i za siebie spojrzalem, a tam okr t od brzegu odbił, na wodzie stoi, a ci ki, p katy.

Wtenczas na kolana pa chciałem! Jednakowo wcale nie padłem, a tylko tak z cicha Blu ni , Wyklina silnie, ale do siebie samego, zacz łem:

— A pły cie wy, pły cie Rodacy do Narodu swego! Pły cie wy do Narodu waszego wi tego chyba Przekl tego! Pły cie do Stwora tego w. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechn nie mo e! Pły cie do Cudaka waszego w., od Natury całej przekl tego, co wci si rodzi, a przecie wci Nieurodzony! Pły cie , pły cie , eby on wam ani y , ani Zdechn nie pozwalał, a na zawsze was mi dzy Bytem i Niebytem trzymał. Pły cie do lamazary waszy w. eby was ona dali limaczyła! Okr t ju skosem si zwrócił i odpływał, wi c jeszcze to mówi :

— Pły cie do Szale ca, Wariata waszego w. ach chyba Przekl tego, eby on was skokami, szałami swoimi M czył, Dr czył, was krwi zalewał, was Rykiem swym ryczał, wrykiwał, was M k zam czał, Dzieci wasze, ony, na mier , na Skona nie sam konaj c w konaniu swoim Szału swojego was Szalał, Rozszalał! Z takim wiec Przekle stwem od okr tu si odwróciwszy, do miasta wst piłem.

Miałem wszystkiego 96 dolarów, które mnie co najwy ej na dwa miesi ce najskromniejszego ycia starczy mogły, wi c zaraz trzeba było si pogłowi , co i jak uczyni . Umy liłem najprzód do pana Cieciszowskiego si skierowa , którego jeszcze z dawnych lat znałem, bo matka jego, owdowiawszy, pod Kielcami u Adasiów Krzywnickich zamieszkała, o mil dwie od Kuzynów moich, S zymuskich, do których ja czasem z bratem moim i z bratow zaje d ałem, a głównie na kaczki. Ten wi c Cieciszowski, od kilku lat tu przebywaj cy, mógł mnie słu y rad i pomoc . Z tłumokami zaraz do niego pojechałem i tak szcz liwie si zło yło, em go w domu zastał. Najdziwniejszy to chyba człowiek był, jakiego ja w yciu spotkałem, bo chudy, drobny, od Bładaczki, której w dzieci stwie si nabawił, bardzo Błady, przy całej grzeczno ci, układno ci swojej, jak zaj c pod miedz słuchami strzy e, wiatr łapie, a nieraz łapu capu Krzyknie albo i Ucichnie. Ujrzawszy mnie zawołał:

— Kogo widz ! I ciska, siada prosi, stołków przystawia, a w czym by po yteczny mógł by , zapytuje.

Prawdziwej, a ci kiej Blu nierczej przyczyny zostania mego jemu wyjawi nie mogłem, bo, Rodakiem b d c, mógł mnie wyda . Powiadam wiec tylko, e siak,

owak, widz c, e od kraju odci ty jestem, z wielkim Bólem, alem moim tu zosta postanowiłem, zamiast do Anglii lub do Szkocji na tułaczka płyn . Z równ mnie odpowiedział ostro no ci , e ju to pewnie w tej potrzebie Matki naszej serce poczciwe Syna ka dego do niej, do niej ptakiem si wrywa, ale, powiada, trudna Rada, rozumiem Bole twoje, ale przecie przez ocean nie przeskoczysz, wi c ty postanowienie twoje pochwalam albo nie\ pochwalam, i dobrze zrobił, e si tu został, cho mo e niedobrze. Tak mówi, a palcami młynka kr ci. Widz c tedy, e on tak temi palcami kr ci, kr ci, pomy lałem „co ty tak kr cisz, to mo e i ja ci pokr c " i ty jemu młynka zakr ciłem, a zarazem mówi :

— Tak pan mniemasz ?

— Nie jestem ja na tyle szalonym, ebym w Dzisiejszych Czasach co mniemał albo i nie mniemał. Ale gdy tu si został, to id e zaraz do Poselstwa, albo nie id , i tam si zamelduj, albo nie zamelduj, bo je li si zameldujesz lub nie zamelduj esz, na znaczny przykro mo esz by nara onym, lub nie nara onym.

— Tak s dzisz pan?

— S dz , albo i nie s dz . Rób e co sam uwa asz (tu palcami kr ci), albo nie uwa asz (i palcami kr ci), bo ju głowa twoja w tym (znów palcami kr ci), eby ci co Złego nie spotkało, albo i spotkało (i znów kr ci).

Dopiero ja jemu zakr ciłem i mówi :

— Taka rada twoja? Kr ci, kr ci, a tu do mnie przyskakuj:

— Nieszcz sny Człowieku, a to ty lepiej Zgi , Przepadnij i cicho sza, a do nich nie chod , bo jak si do ciebie przyczepi , to si nie odczepi ! Słuchaj rady mojej, lepiej ty z obcemi, z cudzoziemcami si trzymaj, w cudzoziemcach zgi , rozply si , a niech e ciebie Bóg broni od Poselstwa, a ty od Rodaków, bo li, Niedobrzy, skaranie bo e, tylko ciebie gry b d i tak ci zagryz ! Dopiro powiadam:

— Tak uwa asz ? Na to wykrzykn ł:

— A niech e ci r ka Boska broni, eby ty Poselstwa albo Rodaków tutaj b d cych unikał, bo jak ich unika b dziesz to gry ciebie b d , a tak ci zagryz ! Palcami kr ci, kr ci, ja ty kr c , a ju od tego kr cenia mnie si w głowie zakr ciło, ale przecie co pocz trzeba, bo pusta sakiewka, wi c w te słowa ozwałem si :

— Nie wiem czybym jakiego zaj cia nie dostał, eby to przynajmniej pierwsze miesi ce przetrzyma ... Gdzie by tu co znale ? W ramiona mnie złapał:

— Nie bój się, zaraz coś uradzimy, już cię z Rodakami poznam, to ci dopomogę lub nie dopomogę! Tu zasobnych naszych kupców, przemysłowców, finansistów nie brak, a już cię jako wkręcę, wkręcę lub nie wkręcę... I palcami kręci cię.

Rada w radę. Owo, powiada, tu trzech wspólników jest, którzy Spółkę mają i Interes Koszyski ty i Psi Dywidendowy założyli a oni by tobie pomogli albo nie pomogli i może na urzędnika albo pomocnika zgodzili z pensją 100 albo 150 Pezów, bo najzaciejszemi, najpocziwszemi lub nienajpocziwszemi są ludźmi, Spółka za Komandytowa, Subhastowa lub nie Subhastowa; ale w tym są, żeby każdego z nich na osobno ci zdybać i na osobno ci Prywatnie się rozmówić, bo tam z dawnych czasów dużo o Jadu, Swaru i tak już jeden drugiemu obmirzły, a jeden przy drugim obmirzły i tylko by mierzył. Ale w tym są, a jeden drugiego na krok nie odstępuje. Owo już bym cię Baronowi przedstawił, bo to człek hojny, wspaniały i łaski ci swojej nie odmówi; ale cóż kiedy Pyckal wtenczas cię skinie i Baronowi ci wyzwie od Jasnej Cholery, Baron cię Pyckalowi ofuknie, zadmie się, z fumami na cię Pyckalowi wjedzie, Ciunkała za Baronowi, Pyckalowi cię okantuje, może osmaruje. Owo w tym są, żeby cię Baronowi przeciw Pyckalowi, Pyckalowi przeciw Baronowi (tu palcami kręci cię). Długo jeszcze gadaliśmy o tym i o tem, a te przyjaciół z dawnych czasów wspominaliśmy, a w końcu (a może już druga południem była), do pensjonatu, który mnie wskazał był, z pakunkami memi pojechałem i w nim pokoiki mały za pezów 4 dziennie wynajmłem. Miasto jak miasto. Domy jedne wysokie bardzo, drugi niski stoi. Na uliczkach ciasnych tłok duży, a ledwie przecisnąć się można, a pojazdów mnóstwo. Huk, stuk, trąbienie, ryczenie, powietrza nieznośnie na wilgotno.

Nigdy tych pierwszych dni moich w Argentynie nie zapomnę. Nazajutrz, jakem tylko w moim pokoiku zbudził się, doszedł mnie przez cian Staruszka płacz, jęki i biadolenie, a ze skarg jego to tylko zrozumiałem „guerra, guerra, guerra”. Jako gazety krzykliwym głosem wybuch wojny obwieszczały, ale i co tam kto wiedział, bo jeden mówi „tak”, drugi, „nie siak”, a rozejdzie się po kociach, nie rozejdzie, bij się, nie bij i tak nic, a Szaro, Głucho, jak w polu na deszczu. Dzień był jasny, pogodny. Ja w tłumie zgubiony, moim zgubieniem się cieszyłem i nawet do siebie na głos powiadam: „Nic piskorzowi kiedy raka bij”. A tam bij! Przed Redakcjami gazet wielkie ludzkie mrowie. Do taniej garkuchni wstąpiłem, żeby coś przekąsić i Bife za 30

ctvs. zjadłem, ale powiadam (a wci do siebie): „Zdrów czy yk cho tam barana sztorcuj ". A tam i sztorcuj ! Potem wiec nad rzek poszedłem, gdzie pusto, cicho, wietrzyk Wieje i mówi do siebie: „Otó to makol gwa czyrka, a borsuk w potrzasku, mało co ze skóry nie wyskoczy". A tam ze skóry mało co nie wyskakuj ... i za Gumnem, za Stawem, za Lasem niemiłosierny Wrzask, Ryk, Bij , Morduj , o zmiłowanie prosz , Pardonu nie daj i Diabli wiedz co, a pewnie i Diabli!

Powiadam tedy: „Na co mnie do Poselstwa i , do Poselstwa ja wca le nie pójd , a e Chuda Szkapa była, to niech zdycha". A tam i Zdychaj . Powiadam wi c: „Na wszystko moje zaklinam si i przysi gam, nie b d ja si w to mieszał, bo nie moja sprawa i, je li kona maj , niech konaj ", ale wzrok mój na małym Robaczkuz spocz ł, który po d ble trawy do góry si wspinał i widz , e Robaczek ten w tem miejscu i czasie, w tej wła nie chwili i na tem brzegu, za tem oceanem, wspina si i wspina, wspina si i wspina, a wówczas najokropniejsza mn owładn ła trwoga i my l , e lepiej do Poselstwa pójd , o pójd , tak, pójd , pójd , Jezus Maria, pójd , lepiej pójd ... i poszedłem.

Poselstwo okazały gmach na jednej z bardziej dystyngowanych ulic zajmowało. Doszedłszy do gmachu tego, przystan łem i my l , i , czy nie i , bo po co ja b d do Biskupa chodził, gdy m kacierz, od Wiary odst pca, blu nierca. I zaraz najokropniejsza Pycha, Duma moja, która od lat dziecinnych mnie przeciw Ko ciółowi memu kierowała! Bo przecie nie na to mnie Matka urodziła, nie na to Rozum mój, Wzniosło , Twórczo moja i lot Natury mojej niezrównany, nie na to Wzrok przenikliwy, Czoło dumne, My l ostra gwałtowna, abym ja w ko ciółku swojskim gorszym, mniejszym od Mszy ach chyba gorszej, ta szej, w chórze ta szym, marniejszym, kadzidłem miernem, marnem si odurzał wraz tam z innemi swojskimi Swojakami swemi! O, nie, nie, nie na to ja Gombrowicz, abym przed Ołtarzem ciemnym, niejasnym, a mo e nawet Szalonym ukl kał (ale Bij), nie, nie, nie pójd , kto wie co mi zrobi (ale Strzelaj), nie, nie chc tam i , kiepsk a, marna Sprawa (ale Morduj , Morduj !). I w Mordzie, we krwi, w Bitwie, do gmachu wst piłem.

A tam cicho i schody du e, dywanem wysłane. Przy wej ciu wo ny pokłonem mnie przyj ł i do sekretarza po wschodach prowadził. Na pierwszym pi trze sala du a, kolumnowa, a w niej dosy mroczno, chłodno, i tylko przez okien kolorowe szybki p ki promieni wpadaj , na gzymsach, ci kich sztukateriach i złoceniach

przysiadaj . Wszedł do mnie Podsrocki radca w ciemnogrnatowym czarnym garniturze, w cylindrze, oraz w r kawiczkach, a z lekka cylindra uchyliwszy półgło no o powód mej wizyty wypytywał. Gdym mu powiedział, e z JW. Pośłem pragn si rozmówi , zapytał:

— Z JW. Pośłem? Powiadam wi c, e z JW. Ministrem, on za mówi:

— Z Ministrem, z samym pan mówi chcesz Panem Ministrem? Gdy wi c mówi , e, owszem, z JW. Pośłem chciałbym rozmówi si , w te słowa mi odpowiedział, głow na pier chyl c:

— Powiadasz pan, e z Pośłem, z samym Panem Pośłem? Mówi wi c, e owszem, z Panem Ministrem, bo wa n mam spraw , on za powiada:

— A! Nie z Radc , nie z Attache, nie z Konsulem, z samym pan pragniesz widzie si Ministrem? A po co? A w jakim celu? A kogo pan znasz tutaj? A kim pan jeste ? Z kim si przyja nisz? Do kogo chodzisz? Tak to on zacz ł wybadywa i coraz ostrzej do mnie Dorskakiwał, przyskakiwał, a wreszcie z tego wszystkiego rewizj zacz ł robi i sznurek mnie z kieszeni wyci gn ł. Wtem drzwi si w gł bi otwieraj i JW. Poseł wyrzał, a e to ju znany mu byłem, na mnie kiwn ł; za spraw kiwni cia tego Radca, w ukłonach si rozpływaj c i kuprem wierc c, a cylindrem wymachuj c, do gabinetu mnie wprowadził.

Minister Kosiubidzki Feliks jednym z najdziwniejszych był ludzi, na jakich ja w yciu mojem natrafiłem. Cienki grubawy, cokolwiek tłustawy, nos ty miał do Cienki Grubawy, oko niewyra ne, palce w skie grubawe i tak nog w sk i grubaw , lub tłustaw , a łysinka jemu jak mosi na, na któr włoski czarne ry e zaczesywał; lubił za okiem łypa i coraz to łypnie. Zachowaniem i układem swoim niezwykły wzgl d na wysok godno swoj wykazywał i ka dem swem poruszeniem honor sobie wiadczył, a ty i tego z kim mówił sob silnie bez przerwy zaszczycił, e ju to prawie na kolanach z nim si rozmawiało. Zaraz wi c, płaczem wybuchn wszy, jemu do nóg padłem i dło całowałem; a słu by swoje, krew, mienie ofiarowuj c, o to upraszałem, aby mnie w takiej chwili w., wedle woli w., rozumienia swego, u ył i moj rozporz dzał osob . Najłaskawiej mnie a siebie słuchaniem w. swoim zaszczycaj c, pobłogosławił i okiem łypn ł, a potem mówi:

— Ju tobie wi cej jak 50 pezów (sakiewk wyj ł) da nie mog . Wi cej nie dam, bo nie mam. Ale jakby chciał do Rio de Janeiro pojecha i tamtejszego

Poselstwa si czepia to, owszem, na podró dam i nawet co na odczepne doło , bo literatów nie chc tutaj mie ; bo tylko doj a i obszczekuj . Jed e tedy do Rio de Janeiro, dobrze ci radz .

Owo Zdumienie, Zdziwienie moje! Znów tedy mu do nóg padłem i (s dz c, e niedobrze mnie zrozumiał) osob swoj ofiarowywałem.

Powiada wi c:

— Dobrze ju , dobrze, masz tu 70 pezów i wi cej nie dój, bom nie krowa.

Widz wi c, e on mnie pini dzmi zbywa; a ju nie tylko pini dzmi, ale Drobniakami! Na tak ci k obraz moj mnie krew do głowy uderza, ale nic nie mówi .

Dopiro mówi :

— Widz , e JW. Panu bardzo drobnym by mu sz , bo mnie Drobniakami podobnie JW. Pan zbywasz, a pewnie mnie mi dzy Dziesi Tysi cy literatów zaliczasz; a ja nie tylko literat, ale i Gombrowicz!

Zapytał:

— A jaki Gombrowicz?

Powiadam:

— Gombrowicz, Gombrowicz.

Łypn ł i powiada:

— Ano, jak Gombrowicz, to masz e tu 80 pezów i wi cej nie przychod , bo Wojna i Pan Minister zaj ty.

Ja powiadam:

— Wojna.

On mówi:

— Wojna.

Ja mówi :

— Wojna.

On mnie na to:

— Wojna.

To ja jemu:

— Wojna, wojna.

Przestraszył si nie na arty, a mu jagody zbiełały, łypn ł na mnie okiem:

— A co? Masz e wiadomo jak ? Mówiono ci co? Nowiny jakie?... — ale si pomiarkował, chrz ka, kaszle, za uchem si drapie i mnie klepn ł:

— Nic to, nic, nie bój si , ju my wroga pokonamy!

A zaraz gło niej krzykn ł:

— Ju my wroga pokonamy!

Wtedy wi c jeszcze gło niej krzykn ł:

— Ju my wroga pokonamy! Pokonamy!

Powstał i krzyczy:

— Pokonamy! Pokonamy!

Słysz c te wykrzyki jego, a widz c, e z fotela wstał i Celebduje, a nawet Zaklina, ja na kolana padłem i, w tej Celebracji w. si stowarzysza j c, krzycz :

— Pokonamy, pokonamy, pokonamy!

Odsapn ł. Okiem łypn ł. Mówi:

— Pokonamy, psia jego ma , ju ja ci to mówi , a to ci mówi , eby nie mówił, e ja ci mówiłem, e nie Pokonamy, bo ty ci mówi , e Pokonamy, Zwyci ymy, bo w proch zetrzemy dłoni mocarn najja niejsz nasz , w proch, pył rozstrzaskamy, rozbijemy, na Pałaszach, Lancach rozniesiemy a zgnieciemy i pod Sztandarem naszym a w Majestacie naszym o Jezus Maria, o, Jezus, o, Jezus, rozmiad emy, Zabijemy! O, zabijemy, rozniesiemy, zdruzgo czemy! A co si tak patrzysz ? A przecie ci mówi , e zgnieciemy! A przecie widzisz, słyszysz, e ci sam Minister, Poseł Najja niejszy mówi, e Zgnieciemy, widzisz chyba, e sam Poseł, Minister tu przed tob chodzi, r kami macha i ci mówi, e Zgnieciemy! A eby nie szczekał, e ja przed tob nie Chodziłem, nie Mówiłem, bo przecie widzisz, e Chodz i Mówi !

Tu si zdziwił, baraniem okiem na mnie spojrzeł i powiada:

— A to ja przed tob Chodz , Mówi !

Potem powiada:

— A to sam Poseł, Minister przed tob Chodzi, Mówi... To ty chyba nie byle p telka je eli sam JW. Poseł tyle czasu z tob siedzi, a i Chodzi przed tob , Mówi, nawet wykrzykuje... Siada j e Pan Redaktor, siadaj. A jak godno , prosz ?

Powiadam, e Gombrowicz. Powiada:

— Owszem, owszem, słyshałem, słyshałem... Jak ebym nie słyshał, je eli przed tob Chodz , Mówi ... Trzeba Panu Dobrodziejowi jako z pomoc przyj , bo ja obowi zek swój wobec Pi miennictwa naszego Narodowego znam i jako minister

tobie z pomoc przyj musz . Owo , e to pisarzem jeste , ja bym tobie pisanie artykułów do gazet tutejszych wychwalaj ce, wysławiaj ce Wielkich Pisarzów i Geniuszów naszych zlecił, a za to krakowskim targiem 75 pezów na miesi c zapłać ... bo wi cej nie mog . Tak krawiec kraje, jak materii staje. Wedle sta wu grobla! Kopernika, Szopena lub Mickiewicza ty wychwala mo esz... Bój e si Boga, przecie my Swoje wychwala musimy, bo nas zjedz ! Tu si ucieszyl i mówi:

— Otó to dobrze mnie si powiedziało i Najwła ciwsze to dla mnie, jako Ministra, a ty i dla ciebie, jako Pisarza.

Ale powiadam:

— Bóg zapła , nie, nie. Zapytał:

— Jak e to? Nie chcesz wychwala ? Rzekłem:

— Kiedy mnie wstydn. Krzyknie:

— Jak to ci wstydn? Mówi :

— Wstydn, bo swoje! Łypn ł, łypn ł, łypn ł! — Co si wstydzisz g...! — wrzasn ł.

— Je li Swojego nie b dziesz chwalił, to kto ci pochwali?

Ale odsapn ł i mówi:

— Nie wiesz to, e ka da liszka swój ogon chwali?

Rzekłem tedy:

— Dopraszam si łaski JW. Panie, ale bardzo mnie wstydn.

Mówi:

— Có e ty zbaraniał, zgłupiał ze szcz tem, czy ty nie widzisz, e wojna, a teraz w ty chwili M ów Wielkich na gwałt potrzeba bo bez nich Diabli wiedz co mo e by , i ja tu od tego Minister, eby Wielko ci Narodowi naszemu przysparza , o, co ja z tob zrobi , ja chyba tobie pysk zbij .., Ale urwał, znów łypn ł i mówi:

— Czeka e. To ty Literatem jeste ? Có e ty tam wyskrobał, co? Ksi ki jakie? Zawołał:

— Srocza, Srocza, chod no tu... gdy za pan Radca Podsrocki przybiegł, okiem na niego łypn ł, a potem z nim po cichu gada, na mnie Okiem łypie. Owo słysz tylko, e mówi :

— G...rz! Potem znowu:

— G...rz!

Dalej Radca do Ministra mówi:

— G...rz!

Minister do Radcy:

— G... rz pewnie musi być, ale Oko, nos dobry!

Mówi Radca:

— Oko, nos niczego, 20 cho g...rz, ty i czoło dobre!

Mówi Minister:

— G...rz to, nic innego, bo wszyscy wy g...rze jesteście, ja ty g...rz, g...rz, ale oni ty g...rze i co tam kto się pozna, kto tam co wie, nikt nic nie wie, kto się na czym rozumie, g... g...

— G... — powiada Radca. — No to dali go! — powiada Minister. — Ja tu zara trochę Pochodzę, a potem lu! I patrz, a to on Chodzi zaczął i Chodzi, Chodzi po salonie, brew marszczy, głowę schyla, sapie, szumi, puszy się, a Huknął i Łypnął:

— Zaszczycił to dla nas! Zaszczycił, bo my Wielkiego Pisarza Polskiego go cimy, moją Największego! Wielki to Pisarz nasz, moją i Geniusz! Co się gapisz, Sroka? Powitaj wielkiego g..., to jest ten... Geniusza naszego!

Tu mnie Radca niski ukłon składa. Tu mnie JW. Minister się kłania!

Tu ja, widząc, że szydzi, artykuły odprawuję, chcąc w ciemnej obrazie mojej bić człowieka tego! Ale Minister mnie na fotel sadza! Podsrocki Radca bućki wylizuje! Sam Minister Poseł o zdrowie moje wypytuje! Radca za słowo by swe ofiarowuje! Wtedy JW. Poseł o moje życzenia i rozkazy pyta! Wtedy Radca o wpisanie do Księgi Pamiętkowej prosi! Wtedy Minister pod ramię bierze, po salonie oprowadza, a Radca dookoła mnie skacze, doskakuje! I Minister:

— Wiem to bo Gombrowicza go ciemny!

A Podsrocki Radca:

— Gombrowicz go ciemny jest naszym, sam Geniusz Gombrowicz! Minister:

— Geniusz to Narodu naszego Sławnego! Podsrocki:

— Wielki Mój Narodu naszego wielkiego!

Owo to dziwny, najdziwniejszy Przypadek mój i Sprawa moja! Bo wiedziałem przecie, że to g...rze są, którzy mnie za g...rzą mają i to wszystko g..., g..., a ja bym g...r y tych po łbie pobijał... A przecie nie kto inny to był, tylko sam Poseł, Minister, ty i Radca... a stać! Nie miało moja, I k mój, gdy mnie tak ważne Osoby czczą i honorują. I gdy w tym salonie Minister z Radcą na mnie naskakuje, Honorują, gdy za mną biegają, ja, znając wysoki Urząd, godność, wagę tych g...rów, nie mogłem

zby , pozby si Honorów owych! A te to ja jak liwka w g... wpadłem! A odsapn ł Poseł i ozwał si , a ju bardziej dobrotliwie:

— No pami taj g...rzu, e tu przez Poselstwo jak nale y uhonorowanym został, a tera o to dbaj eby nam wstydu przed lud mi nie zrobił, bo my ciebie ludziom Cudzoziemcom jako Wielkiego G. Geniusza Gombrowicza poka emy. Tego Propaganda wymaga i trzeba by wiedziano, e Naród nasz w geniuszów obfity. A co, poka emy, Sroczo?— Poka emy— powiedział Radca — poka emy; g...rze to i na niczem si nie poznaj !

Dopiero na ulicy folg dałem wzburzonemu uczuciu mojemu! O, co to, jak to, sk d to, o, co to si stało?! O, a to podobnie znów mnie złapano, złapano! O Jezus, o Bo e, znowu mnie w yciu mojem przyłapano, a jak liszk w potrzask! Nigdy tedy ja si z Losu mego nie wyzwol ? Czy znowu powtarza musz Wieczny Los mój i Wi zienie moje?! A gdy Przeszło moja mn jak słomk miota, gdy przepadłe wracaj odm ty, ja jak ko si wspinam, jak le w dr , Rycz , w furii łapami wybijam i o krat nowego rzucam si wi zienia! O, po có em ja do tego Poselstwa przekł tego chodził?! Otó to g...rzo m si Wielko ci zachciało, Wielko ci im trzeba, Geniuszów wielkich Bohaterów, eby to przed lud mi si pokaza , a e to niby Geniusza Gombrowicza mamy, wi c co to znaczymy, jaka chwała nasza, a jaka zasługa, jaki to Pałac nasz, jakie mebelki, szory, pychy, szychy; i, bójcie si Boga, nie dajcie eby nam po ladców zbito, bo my Geniusza Gombrowicza mamy! Tym e to c hamskim szwurclem chciał JW. Poseł g... g... oczy ludziom Cudzoziemcom mydli , słusznie uwa aj c, e w Amerykanów owych łatwo swoje wmówi, a je li mnie si nisko kłaniał b dzie, to ja jemu jak ciasto przed Lud mi urosn . Nie mo e to by ! Nic z tego! I dopiro w gniewie okropnym moim ja raz po razie tego Ministra g... g... g... wyrzucałem, odprawiałem, pał , kijem przeganiałem, wyganiałem! Przekł ty Minister g... co Narodu swego nie szanuje! Przekł ty naród, co Synów swoich nie szanuje! Przekł ty człowiek i Naród, którzy siebie wzajem nie szanuj ! I, w zapami taniu, ja Ministra, urz dy wszelkie, godno ci, zaszczyty, czasy nasze, ycie nasze, Naród, Pa stwo g... g... g... rozganiaj c, przeganiaj c, kijem, pał kropi c, znowu Ministra tego g...rza płatnego zwalniałem; a gdy ju z 50 lub 60 razy 22 go zwolniłem, przegoniłem, jeszcze i znowu go zwalniałem, wyganiałem! A tu spostrzegłem, e miech przechodniów wzbudzam, którzy na mnie spod oka spogl dali.

Nagl cy stan finansów moich do działania mnie zniewalał; i trzeba mnie było zaraz na ulic Florida i , gdzie z Cieciszowskim byłem umówiony. Florida ulica, jak ju wspomniałem, ze wszystkich miasta ulic najbardziej luksusowa; tam sklepy, tam gustowne Zakłady wszelkiego rodzaju, kawiarnie, cukiernie; a dla pojazdów wzbroniona, spacerowiczów rojem wypełniona, słó cem rozja niona, skrzy si , mieni, pawim ogonem si puszy. Wrodzona nie miało , mo e i Niepor czno jaka , nie pozwalały mnie dokładniejszej zda Cieciszowskiemu relacji o tem, co z Ministrem było, i tyłkom nadmienił, e w gniewie my my si rozstali. — Oj, zawołał, młynka palcami kr c c, po co ty tam chodził, przecie ci mówiłem, eby tam nie chodził, cho mo e dobrze zrobił e chodził! I dobre to, e mu nosa utarł, cho mo e Niedobre, bo, oj, on teraz tobie, niebo , utrze, utrze, utrze! Ukryj si , skryj w mysi jam , bo je li si nie skryjesz, to ci znajd ! Ale nie skrywaj si , nie skrywaj, mówi , bo je li si skryjesz to ci szuka b d , a jak ci poszukaj to ci znajd . — Lecz my w rozmowie ulic Florida idziemy! Tam za szybami bogactwo l ni i oko wabi i szumny gwar, przechodniów rój, ukłony, pozdrowienia. Raz wraz Cieciszowski mój znajomkom u miech, lub r ki gest, lub pokłon niski zasyła, a do mnie z cicha mówi:

— Patrz, patrz, czy widzisz pan Rotfederow ? A to dyrektor Pindzel, to prezes Kotarzycki, hej, ola ola, Prezesie! To Mazik jest, a to Bumcik, to Kulaski, a to Polaski! Ja, obok niego id c, ty grzecznie kłaniam si , u miechy moje w prawo, w lewo rzucam i mieni si Floridy w , paraduj Seniority! — Patrz, tam Klejnowa stoi! A to jest Lubek, urz dnik. Lecz coraz g stsze ludzi mrowie i przed wystawami przystaj , na nie spogl daj , a jak od jednej wystawy odchodz , to zaraz do dru giej podchodz , i dopiero ka den a to na Krawaty ółto-szare, modne za 5,75, a znowu Trzeci z on na dywan bordo z Dróbk za 350, czwarty na Klamry Angielskie za 99, pi ty na maszynki albo wentylator, tamta na dezabil jedwabny z piank , owa Buciki spiczaste podwójne Nelso skie, ów Tytu Fajkowy Perski Astracha ski, albo Serwis, albo ty Cynamon. Wi c na walizk ółt gemzowan za 320 patrz i mówi ; co za walizka! — Ale te Kubeł za 85, tak e niczego, albo ty ten Szlafrok, albo tamten Szpadel. — Ja bym te mycyne kupił za 7,20. — A ja ten sweater. — Mnie by si ten Termometr nadał, albo ten Barometr. — Zmiłuj si pan, a to parasol ten z r czk zagi t 42 kosztuje, gdy ja lepszy, angielski za 38 wczoraj ogl dałem! I

tak od sklepu do sklepu, to na to, to na tamto, Spogl dali i Mówili, a potem znowu do innego sklepu i znowu Mówi i Spogl da.

Wtem Cieciszowski za r k mnie złapał:

— W czepku si rodziłe ! Widzisz Barona? Baron stoi, Barona samego zdybałe , on to przed t wystaw , a sam, bez Wspólników, chod my do niego albo i nie chod my, to o posadzie twojej pomówimy lub nie pomówimy! Witam, witam Barona drogiego, jak zdrowie, powodzenie, lub niepowodzenie, a to pan Gombrowicz, który wskutek odci cia od kraju tu si został i z nami niepewno nasze i trwog prze ywa, a te jakiego zatrudnienia szuka! Spojrzał na mnie Baron. I najserdeczniej porwał mnie w ramiona! Dopiro uradowany, odskakuje, znowu przyskakuje, do piersi tuli, a mo e by co przek si , a mo e by wypi , do domu swego mnie zaprasza i szuka ony, która jemu gdzie si zapodziała, bo onie swojej przedstawi mnie pragn ł. — Zajd e Pan do nas we wtorek! B dziemy radzi! Ale rzekł Cieciszowski:

— Jemu by si jakie zaj cie zdało, bo w potrzebie, a ja jego jak w dym do Barona łaskawego; gdzie suto zastawiaj , suto podawaj . — Co tam! — krzykn ł Baron. — W potrzebie ? Ju wszystko załatwione! Ju si Pan nie kłopotcz! Zaraz dzisiaj ka , eby Pana drogiego na sekretarza mego do Współki przyj to z pensj 1000 lub 1500 pezów! Co tam! Załatwione! Godziny pracy sam sobie wyznaczysz! Załatwione tedy, a teraz czym zapi , przek si potrzeba! Idziemy wi c z Baronem na jednego, a w blasku sło ca ju wszystko zda si uładzone i ja chyba Opiekuna, Ojca i Króla znalazłem wspaniałego o, dzi ki ci, Bo e, ju mnie łatwiej y b dzie, ju przepadły, znikn ły troski i zgryzoty, ale co to, Bo e, Bo e mój, co ty to si dzieje, dlaczego to Król, Baron mój, przygaśł, ucichł i mnie markotnieje, mizernieje, czemu słonko moje za chmur zachodzi?... A to Pyckal, Pyckal doskakuje!

Pyckal, Barona wspólnik, ni szy od niego był, bardziej kr pawy, a o ile tamten wietnym, wspaniałym, rosłym, dumnym był m czyn , o tyle ten, jak psu z gardła, albo z za stodoły. Na pró no Baron jemu rozkazuje i o wiadcza, e to mnie, przyjaciela swego, na urz dnika przyj ł; Pyckal za cał odpowied tylko wypi ł si , najprzód na mnie, potem na Barona, a splun wszy rzekł:

— Co e pan z byka spadł, eby bez porozumienia ze mn Urz dników nowych do Interesu bra , a có pan kretynelem jeste , no to ja tobie tego urz dnika twojego przep dz , won, won, won! Chamstwem tak okropnem oburzony, Baron w pierwszej chwili słowa przemówi nie mógł, potem za — Zabraniam! — krzykn ł — Zakazuj !... na co Pyckal rozdziawił si je mu:

— Sobie a nie mnie zabraniaj! Komu ty zabraniasz?! Krzykn ł Baron:

— Prosz nie robi skandalów! Krzykn ł Pyckal:

— Delikacik, delikacik, ju ja ci go zbij delikacika twojego, ja ci go pobij !... i do mnie z pi ciami, a ju chyba mnie Zbije, zabije, mo e mnie pobije, ju ten zwierz, ten kat mnie zakatrupi, wi c Zguba, Zagłada moja, ale co to, czemu k townik mój si zatrzymuje, czemu mnie nie bije?... A to Ciumkała, trzeci Barona współnik, sk dsi , z boku si nadarzył!

Ciumkała, ko cisty, blondyn wyłupiasty, ry y, kaszkiet zdj ł i do mnie r k du czerwon wyci ga:

— Ciumkała jestem! Gzem Pyckala w nagłe osłupienie wprawił. — Ratujcie mnie — wrzasn ł Pyckal — to ja go tu bij , a ten si z łap pcha, a przecie ja wi kszego Kretyna, Bałwana na oczy swoje nie widziałem, co si pchasz, co si wtr casz? — Zabraniam — krzykn ł Baron. — Zakazuj ! Ciumkała, krzykiem przestraszony, zawstydział si , r k du do kieszeni wsadził i w kieszeni r k grzeba zacza; ale zaraz zawstydział si grzebania swego i ze wst ydu swego udał, e czego po kieszeniach szuka; czem jeszcze bardziej Barona, Pyckala rozw cieczył. — Czego tam szukasz, gamoniu — krzykn li — czego szukasz, gapie, czego szukasz!... a Ciumkała, od wstydu ledwie ywy, jak burak czerwony, z kieszeni nie tylko r k , a i korek od butelki, papirki jakie zgniecione, ty eczk , sznurowadło i rybki suszone wyci gn ł. Ale gdy rybki zoczyli zaraz cisza nastala... bo jako im si od tych rybek markotno zrobiło.

Ja przypomniałem sobie, co mnie Ciecisz mówił, e tam mi dzy nimi, jak to mi dzy Wspólnikami, dawne Zadry, Kwasy, Jady były, podobnie o Młyn jaki , Zastaw ; wła nie z tej przyczyny Pyckala, na widok rybek owych, a zaparło i „Karasie moje, karasie" wrzasn ł „ju ty mnie za to zapłacisz, ja ciebie z torbami puszc "; ale Baron tylko grdyk ruszył, przełkn ł, kołnierza poprawił i powiada „Rejestr", Na co odrzekł Ciumkała: „Stodoła si spaliła od ty gryki", wiec Pyckal koso spojrział, „Woda była" mrukn ł i tak stali, stali, a Ciumkała za uchem si podrapał;

gdy za on za uchem si drapie, Baron w kostk u nogi si poskrobał, Pyckal zasie w prawe podudzie.

Powiada Baron:

— Nie drap si .

Mówi Pyckal:

— Ja si nie drapie.

Ciumkała rzekł:

— Ja si drapałem.

Rzekł Pyckal:

— Ja ciebie podrapie.

Mówi Baron:

— A podrap, podrap, bo od tego.

Mówi Pyckal:

— Ja ciebie drapał nie b d , niech ciebie Sekretarz podrapie.

Powiada Baron:

— Sekretarz mój mnie drapał b dzie, jak ja mu ka e.

Rzekł Pyckal:

— Ja twojego Sekretarza do siebie zgodz i tobie sobie go we zm , a mnie b dzie drapał, gdy zechce, bo cho ty Pan z Panów, a ja Cham z Chamów, on tobie mnie drapał b dzie gdy zachce si mnie albo i nie zachce. Drapa b dzie.

Mówi Baron:

— Kto Cham z Chamów, a kto Pan z Panów, a ty mi tego Sekretarza nie zgodzisz, ja jego sobie tobie zgodz i mnie nie ciebie on podrapie.

Zawoła Ciumkała, płaczem rzewnym, wielkim wybuchaj c:

— O, Rety, Rety, o, co to wszystko dla siebie sobie chcecie drapa z moj krzywd , z moj Strat , Bid , o, to ja jego wam sobie zgodz , ja jego z godz ! Dopiro ci gn mnie, szarpi , jeden drugiemu wrywa, ci gn , ci gn , i tak a do domu jakiego zaci gn li, tam schodki, po tych schodkach ci gn , szarpi , jeden drugiemu wydziera, tam drzwi małe z boku, na których tabliczka „Baron, Ciumkała, Pyckal, Ko ski Psi Interes", a za drzwiami przedpokój du y, ciemnawy, w nim krzeselka. Na krzeselku Baron Ciumkale, Ciumkała Baronowi, Pyckalowi, Pyckal Ciumkale, Baronowi mnie posadzili, a najuprzejmiej poprosiwszy bym troch

począł, do innego pokoju odeszli, na którego drzwiach napis był „Dóbr i Interesów Zarząd, Wstęp wzbroniony”.

Sam zostawszy (bo Ciecisz dawno już był zemknął) w cichoci, która nastąpiła po rozgłoszeniu nadejściu naszym, naokoło z ciekawością się rozglądaliśmy. Ludzi takich dziwno (a trudno bym dziwniejszych odszukać w całym życiu moim) oraz burda, jak mi się zdawało, wiedli, bardzo mnie do wszelkiej z nimi styczności zniechęcały; ale nadzieja stałego, a może wieszkiego, zarobku zmuszała mnie do pozostania. Przedpokój, jak powiadam, był ciemnawy, ciemnym papierem wyklejony, ale papier bardzo wystrzępiony... to znów tłusta plama... albo dziura i znów naddarte, ale załatane, muchami popstrzone i lichtarz ze świec, stearyn wszędzie nakapane. Deski podłogi wystrzępione, od chodzenia wywichtane, a tam w kącie stara gazeta, tu szpicróżga tajemnie gaworzy, gdy gazeta rusza się z szelestem, bo pewnie myszki pod nią siedzą. Zaraz też się rusza i zaczyna do tabaki się przybliżać, a robaczek mały, ze szpary w podłodze wylazłszy, do cukru pracowicie zmierza.

Wśród tych szelestów drzwi uchylilem, które do następnego sali prowadziły. Sala duża, długa i ciemnawa, i stołów rzęd, za którymi urzędnicy siedzą, pilnie nad Skryptami, Rejestrami, Foliałami pochyleni, a już papierów tyle, tak nawalone, zawałone, że prawie ruszać się nie można, bo i na ziemi wszędzie papierów mnóstwo i szpargałów; a Rejestry z szafy wystają i nawet pod sufit wylażą, na okna zachodzą, całe biuro zawałają. Jeżeli który z urzędników się ruszy, to szeleści jak mysz w tych papierach. Wszelako wśród papierów wiele innych przedmiotów, jak flaszki, albo blacha zgięta, dalej spodek stłuczony, tyłka, szalika kawałek, szczotka wyłysiała, dalej cegły kawałek, obok tyrbuszon, ogryzek chleba, duży bućków, te śmietanie, pierze, imbryk i parasol. Najbliżej mnie stary, chudy urzędnik siedział i stałówek pod światło oglądał, palcem jej próbując, a jakby fluksję miał, bo w uchu wata; za nim drugi urzędnik, młodszy i rumiany, na szczotkach rachował, a razem kiełbasę gryzie, dalej urzędniczka wyfiokowana, wycupiowana w lusterku się przegląda i loczków poprawia, a dalej inni urzędnicy, których może o miu lub dziesięciu było. Tamten pisze; ten w Rejestrze szuka. Wtem przedwieczorem wniesiono, wieści kubki z kawą i bułki na tacy, a wówczas urzędnicy wszystkie, przerwawszy czynności swojej, do jedzenia się zabrały, i zaraz też, jak zwyczajnie, rozmowa zabrzmiała. Niech mnie zdziwi na widok Picia Kawy urzędniczek owych! Bo od pierwszego wejrzenia widać było, że od lat ze sobą razem w tem biurze przesiadując, co dzieje się sam wiecyst

kaw pij c i wieczn bułk swój zagryzaj c, temi samemi arcikami swojemi staremi si racz c, w lot wszystko swoje rozumieli.

Wi c urz dniczka loczków odgarn ła i „plum” powiedziała (a pewnie ju i z tysi c razy to mówiła) na co gruby kasjer, który za ni siedział, tak zawoła:

— A to kotka w kotka u Mamy Zawijas! Z czego rado nadzwyczajna, miej si wszystkie urz dniki, za brzuchy si łapi ! Zaledwie miech gdzie w papiry wsi kł, Rachmistrz stary palcem pogroził... i ju wszyscy z a brzuchy si łapi , bo wiedz co powie... on za powiada „Zawijas, podbijas, bum cyk cyk Kopijas!” wi c jeszcze bardziej si ciesz urz dniczki, w papirach szeleszcz . Ale urz dniczka małym paluszkiem r ki lewej prawy policzek podparła! Ale urz dniczka ma tym paluszkiem policzek podparła!... a wtenczas Rachmistrz silnie po plecach młodszego, rumianego urz dnika klepn ł i szepcze jemu „Szkoda łez, łez szkoda, Józef, Józef, bo przecie scyzoryk, talerzyk, mucha, mucha była!...”

Zrozumie nie mogłem, czemu Rachmistrz o łzach jemu mówi, gdy wcale nie płakał... ale wła nie w tej e chwili rumiany Ksi gowy ten szlochtem stłumionym si zaniósł na widok paluszka owego! Znów tedy miech mnie złapał; bo wida od lat mo e całych, a od wieków, paluszek ten, razem z policzk iem, ksi gowemu rany serca jego stare j trz ce rozdrapywał i od lat pewnie ten towarzysz jego go pocieszał; ale zamiast eby najprzód Ksi gowy zapłakał, a potem dopiero Rachmistrz go pocieszył, im si kolejno działa pomyliła i co na ko cu było, na pocz tek przeszło! Wyrzuciła w gór chusteczk swój urz dniczka! Kasjer kichn ł! A buchalter stary nosa utarł! Wtem mnie zobaczyli i, najokropniej si zawstydzwszy, w papirach si swoich jak myszy zaszyli.

Ale zaraz do Pryncypałów wezwany zostałem. Ciemnawy p okoik, do którego mnie wprowadzono, równie papirami, szpargałami wypełniony, a do tego łó ko stare, elazne, pod cian stało, ty i wiadro, ty i miednica, dubeltówka na oknie, buty, lep na muchy. Pyckał Baronowi skrzynek jak trzymał, Ciumkała za z Rejestru kwity odczytywał. I wszyscy trzej do mnie:

— Mnie podrap! Mnie podrap! Mnie podrap!

W yciu moim wiele miejsc dziwnych, a dziwniejszych jeszcze osób mnie si nastr czyło, ale po ród miejsc tych i osób adne tak dziwaczne, jak obecny ycia mojego przypadek. Zadawniona mi dzy Baronem, Pyckalem i Ciumkała zwada w Młynie miała pocz tek, który młyn im z eksdywizji przypadł w równym dziale; potem

w karczmach trzech dzier awnych silniej jeszcze si roz agwiła, a gdy Gorzelni z propinacji na subha cie wzi to, e to na słaty, podobnie wi cej jeszcze swaru, jadu narobiono. Funduszów rozdział prawie niepodobnym był do przeprowadzenia, bo wyrok s du dwukrotnie a z trzech stron apelowany, w prawnym rozpatrzeniu sze kro odraczany, a wreszcie z braku pisemnych dowodów do Wizji odesłany, która Wizja sprzeczno oczywist pomi dzy pierwszym a drugim Subhasty rejestrem wykazała. Do tego za pozew wzajemny o Zabór Mienia, pogró ki i ch morderstwa, Zabójstwa, a dwa pozwy o Najazd i jeden o przywłaszczenie sze ciu perłowych spinek i Pier cienia... a tak to pozwy, najazdy, gwałty, swary, jady, ch U miercenia, z Mienia wyzucia, wyniszczenia, z Torbami puszczenia. Wi c gdy z powodu Zabezpieczenia Subhasty interes Handlu ko mi, psami, z Rejestru obj tym by musiał, wszyscy trzej w równym dziale do interesu tego przyst pili, a psy, konie po ludziach skupuj c, z du ym zyskiem sprzedawali na Szpront lub na Ganacj . Wszelako, pomimo nadzwyczaj powa nych z tego Interesu zysków, spółka bankructwem była zagro ona, gdy , panie, tyle ty to Gniewów dawnych, Gwałtów, tyle u erania, arcia wzajemnego, tyle goryczy, Kwasów, piekłowania si zaciekłego, nieustaj cego.

Ta za swarliwo nie tyle mo e z finansowych rozrachunków, ile z natur sprzeczno ci. A bo Baron jak b k huczy, buczy i ta cuje, jak paw ogon puszy, jak sokół w gór polatuje; a Pyckal, jak byk, wrzaskiem krzykiem swoim chamskim chamskim si nawala; a Ciumkała gmyrze; a Baron jakby w karecie jechał, w cztery konie, rozkazy wydaje i na tr bce tr bi; a Pyckal chamstwem nadziany tylko si rozdziawia; a Ciumkała z czapk w gar ci, bo mu si limaczy; wi c Baron fumami, humorami, kaprysami, fantazjami, wi c Pyckal w mord chce albo ł portki zdejmuje, wi c Ciumkała li e si albo i guzdrze... Owó jeden drugiego by w ły ce w ody utopił, ale w Procesów, pozwów, swarów nieustannym ci gu, w nieprzerwanem wiec owem za artem obcowaniu, tak jedno z drugim jak bigos, jak kapusta i z grochem zmieszane, zduszone, e chyba jeden bez drugiego y nie mo e, a w Syrze starym, w Bucie zadawnionym swoim, jak Palce u Nóg krzywe, straszne i ze sob tylko! Owó oni! z sob ! Owó mi dzy sob ! I o wiecie bo ym zapomnieli, ze sob tylko, mi dzy sob , wsobnie, a tyle im z dawnych czasów si starzyzny nazbierało, tyle to wspominków, uraz, słów rozmaitych, korków, flaszek starych, dubeltówek, puszek, szmat najprzeró niejszych, ko ci, sztyftów, garnków, blaszek, pukłów, e ju i kto

obcy, je li do nich przyst pował, wcale nie mógł przeczu co jemu powiedz lub zrobi ; bo korek,] lub flaszka, albo słówko jakie niebacznie rzucone, zaraz im i co Dawniejsze a Zapiekle przypomina i jak kurkiem na ko ciele kr ci.

Owó , gdyby nie rybki stare, co Ciumkale wtenczas z kieszeni wypadły, gdyby nie Rejestr i Nogi drapanie, ja bym pewnie przez nich na urz dnika zg odzony nie został. Ale podobnie z przyczyny flaszeczki małej, czy te skrzynki, zamiast 1000 lub 1500 Pezów, które przez Barona przyrzczone były, tylko 85 Pezów pensji mnie przyznano. A ty najstarsi 30 Urz dnicy, gdy do Pryncypałów z aktami, sprawami szli, nigdy nie wiedzieli co tam, panie, si wysma y, jakie postanowienie Pyckal Baronowi, Baron Ciumkale, Ciumkała Baronowi Pyckalowi wyda. Owó du o zarz dze , rozkazów, spraw du o, a to Konie z cesji, a to hipoteczne przepisanie, dalej por ka, rozdział dywidendy, Psy pod zastaw, same Buldogi, propinacja, egzekucja; wiec akta pisz , smaruj , Rachunki, pozwy wydaj , egzekwuj , licytuj , dalej Hipotekuj , albo Subhastuj ; ale có , panie, kiedy za tym, pod tym, ledzik bardzo dawny, albo bułka co j siedemna cie lat temu Baron Pyckalowi wygrzył. Gdym nast pnego ranka do pracy si zgłosił i po ród Urz dników, teraz Kolegów, zasiadłem, trudno nowego obowi zku mego wyra nie mi si objawiła. Urz dniki w swoich zagł bione szpargałach, swoim oddane rachunkom, w swo ich czynno ciach, działaniach zapami tałe na mnie, obcego, ani patrze chciały; mnie za ich szczyпки, ich dawne słoiki, niezrozumiałemi i niepoj temi były.

Popacki, Rachmistrz stary, mnie Akta dał do wci gania, ale diabli tam wiedz czy jaka potrzeba tego wci gania zachodziła, bo człowiek ten wzrostu niewielkiego, bardzo chudy, w okularach ciemnych, rogowych, a jak mumia wysuszony, włosy miał rzadkie, które jemu wiankiem dokoła czaszki du ej tysej si obwijały; do tego za palce długie, chude. Przygl daj c si robocie mojej, coraz mnie jak literk poprawi, a za uchem si drapie, albo nos uciera, pyłek sobie jaki z ubrania strzepuje; a ju najch tniej wróbelkom kruszynki za okno wyrzuca. Oj, wida e Rachmistrz pocziwota, pocziwota z ko ciami, a cho guz dralstwo jego i nadzwyczajna we wszystkim drobnostkowo nieraz do miechu mnie pobudzały, wystrzegałem si wszystkiego co by staruszka miłego urazi mogło; a nawet tabak jego za ywałem, która, myszka przed laty wyl gni ta, a nie wiadomo jakim grzybkiem przyprawiona, kamizelki jego kaszmirowej zapach miała.

Ale, prawd mówi c, nie do miechu mnie było. Bo cho tam jakie takie zabezpieczenie bytu uzyskałem, zespół wszystkich warunków i okoliczno ci, jako to; Kraj Nieznany, obco miasta, brak przyjaciół, lub towarzyszków zaufanych, dziwaczno pracy mojej... jakim i ktem mnie wypełniały; do tego za Bój silny za wod i z krwi rozlewem, a wiele osób, przyjaciół moich lub krewnych ju tam nie wiadomo gdzie były, co robiły, mo e i Bogu dusz oddawały. Cho te dy i daleko, za wod to było, przecie człowiek jakby ostro niejszy, ciszej mówi, spokojniej si rusza, eby to jeszcze czego złego nie wywoła i jak zaj c pod miedza by przycupn ł. Dlatego to, kruszynk mał z chleba na kałamarzu zauwa ywszy, cz stokro na t kruszynk spogl dałem, a nawet jej ko cem pióra dotykałem.

Najbardziej jednak mnie moja z Poselstwem sprawa doskwierała. Nie po to chyba JW. Poseł Celebracj ze mn odprawował;, eby to tak po ko ciach rozej si miało; i gdy ja tu za biurkiem| siedz , Akta wci gam, to oni tam pewnie swoje i kto wie, czyi dalej czego tam ze mn , cho bez wiedzy mojej, nie wyrabiaj . Siedz tedy, pisz , a my i co ty tam oni ze mn , jak ty to tam mnie za ywaj i do czego u ywaj . Jako nie omyliły mnie przeczucia moje, bo gdym na wieczór do pensjonatu; powrócił, du y bukiet fluksji biało-czerwonych od Ministra mi wr czono, a z nim list od Pana Radcy. Powiadał wi c Radca w najuprzejmiejszych słowach, e jutro po mnie zajedzie, aby do malarza Ficinati mnie zabra na wieczór, który przez Pisarzów i Artystów tutejszych b dzie zaszczycony. Prócz tego listu i kwiatów, jeszcze dwa bukiety mnie wr czono, które od tutejszych swojskich Prezesów pochodziły, oba za ze wst gami i stosownymi napisami. Prócz tego małe dzieci podobnie przybyły i przed mojem oknem kantyczk piewały,, A niech ci diabli! To gdy ja przycupn chc , oni mniej na wiecznik! Hołdów obfito ci zadziwiona wła cicielka Pensjonatu mego słysze nawet nie chciała, abym dalej w małej mojej ciupce mieszkał i do najlepszego pokoju mnie przeniosła; a tak w tym czasie trudnym, niebezpiecznym moim ja, zamiast w małym pokoiku by , w du ym salonie z dwoma oknami si znalazłem. Ju te wiadomo o nadzwyczajnej, al si Bo e, wybitno ci, wielko ci mojej, lotem strzały po wszystkich Rodakach si rozeszła; nazajutrz w biurze niskimi bardzo pokłonami mnie przyj to i nawet wszelkich rozmów, artów; 32 w przytomno ci mojej zaniechano.

A niech to Diabli, Diabli! Coraz tedy silniejsza powstawała Celebracja, a wida JW. Poseł wbrew woli mojej i nie bacz c na gwałtown niech moj , swoje robił i

Celebracji na wszystkie rozprzestrzeniał strony. A niech e go, a po có ja jemu na oczy si pokazywałem! A do tego niebezpieczna rzecz! Mo na w zwykłym czasie takie szpryncy urz dza , ale gdy tam Mordowanie, Zarzynanie, to ju lepiej cicho siedzie i przeczeka , a o to dba , eby czego złego na siebie nie ci gn .

Przysi galem wiec i postanawialem, e ja na to przyj cie wcale nie pójd , ani na adn dalsz Celebracji w. ach Głupi chyba, Marn , osoby mojej nie pozwol . Wszelako w tem s k; bo, jakbym teraz wyra nemu yczeniu JW. Posła si oparł, to ju chyba przez wszystkich za zdrajc byłbym poczytany, co w obecnym stosunków układzie nadzwyczaj niebezpiecznym było. A przecie i słodki hołd współziomków człowiekowi, który od najwcze niejszych dni dzieci stwa swego tylko wzgardy doznał... tu za , jakby za spraw dobrej wró ki jakiej, głowy przed nim chyli zaczynaj i jemu czapkuje . Przekl ty tedy, kłamliwy hołd i marny jak diabli! Ale wi ty, błogosławiony, prawdziwy hołd bo Czoło moje, Oko moje, My I moja i prawda moja i szczeró serca mojego i piew mój i dostojno Moja! To wi c prawo moje, to płaszcz mój, to korona moja! A co ja darowanemu koniowi w z by patrzył b d ! Oj, wi c chyba pójd na zebranie owe i pozwol aby to ze mn na niem uczyniono, bo przysi gam na Boga i na Matk moj przed Bogiem, Ołtarzem, e ten kto przede mn czapkuje wcale le nie czyni, owszem, najlepiej on, najśluszniej post puje!

Owó wy tam g...rze Chytrkujcie, M drkujcie a za swoj korzy ci jak kury dziubajcie. Ja, co z waszej Natury t pej a chytrej pocz te, wedle Natury mojej przyjm i gdy mnie g... karmicie ja to jak Chleb i Wino jadł b d i si najem. Gdy za mistrzem prawdziwym na owem przyj ciu zabłysn , gdy jako Mistrz przez cudzoziemców uznany obwołany b d , ju mnie niestraszne JW. Posła głupstwo a on mnie tak e uszanowa musi... Siadaj e tedy, siadaj, na tego konia, co ci daj , a na nim daleko zajedziesz! Pójd , pójd tedy! Jako , powróciwszy do pen sjonatu mego, zaraz kufer otworzyłem. O, czemu siebie samych nie szanujemy i nie szaszczycamy! O, dlaczego tak płasko, tak płasko?! Wi c do siebie wzajem przyskakuj , jeden drugiemu Honor wiadczy, jeden do drugiego „Maestro, maestro" a „Gran Escritor" a „Que Obri" a „Que Gloria", có kiedy zaraz im si rozlazło i w roztargnieni znów Skarpetki ogl daj .

— Czekaj e — rzekł Radca — czekaj e... Ju my im poka emy! Ale stojemy. Szepn ł do mnie Radca blady i spotniały:

— Poka e co, g...rzu, tym g...rzom, bo wsty d b dzie Mówi jemu:

— G...rzu, co ja im pokażę? A za mną mi stoj i widzcie, że nikt na mnie uwagi nie zwraca chyba mnie za g...rza mają, jeśli jak diabli, chybaby mnie w łycie wód utopili! Diabła tam, diabła tam, diabła tam! Ki diabeł! G chyba Niedobrze! A tu widzcie, że nowe osoby wchodzi, a nie były jakie, bo zaraz ku nim Ukłony, Honory powiały.

Owo pierwsza szła dama w gronostajowej pelerynie z piórami strusiami, pawiami i z dużymi sakiewkami, tu obok kilku Lizusów, a za Lizusami kilku Sekretarzów, dalej kilku Skrybów i kilku Błazenków, którzy w białe benki uderzali. Ty mi dźwiży niemi człek Czarno Ubrany, a widziałem znaczniejszy, bo gdy wszedł, głosy słyszeć się dały: „Gran escritor, maestro”, „Mi estro, maestro”... i z tego podziwu chybaby na kolana padł lecz ciasteczka jedli. Zaraz ty koło słuchaczy się wytoczył on za pomocą rodka silnie Celebrować zaczął.

Człowiek ten (a pewnie tak dziwnego człowieka ja pierwszy raz w życiu oglądałem) nadzwyczaj był wydelikacowany, a do tego jeszcze siebie delikacował. W sakpalcie, za dużymi czarnymi okularami, jak za płótnem, od wszelkiego wiatu odgradzeni wokół szyi szalik jedwabny w groszki półperłowe, na rękach rękawiczki czarne, zefirowe, półpalcowe, na głowie kapelusz czarny półrondowy. Tak opatulony i odosobniony, coraz z większego pociągł flakonu, albo chusteczek czarnymi się ocierał i wachlował. W kieszeniach papierów pełno, skrypta które nieustannie gubił, a pod pachami książki. Inteligeni nadzwyczaj subtelnej, którą w sobie wciąż subtylizował, destilował, w każdym odezwaniu się swoim tak inteligentnie inteligentnym, i kobitami i mężczyznami zachwycone cmoki wywoływał (choć to Skarpetki, krawaty sobie oglądaj). Głos swój nieustannie ciszał, ale, im ciszy, tym właśnie nie donośniej, bo inni, ciszej cichli, jeszcze bardziej go nasłuchiwali (choć i nie słuchaj); i tak on w Czarnym Kapeluszu zdawał się w Ciszy Wiecznej swój czered prowadzić. Do księzek, notat swoich zaglądając, je gubił, w nich się tarzał, nurzał, on cytatami rzadkiemi myśli swojej okraszał i z nimi tam sobie dokazywał, a już do siebie, jakby na odludziu. I tak w sobie papirem i myśli kaprysząc się, coraz inteligentniej był inteligentnym i ta inteligencja jego, sama sobie pomnożona i sama na sobie okraciem, tak już Inteligentna stawała się, że Jezus Maria!

A tu Pyckal, Baron mnie do ucha:

— A huzia, huzia! Ty i Radca z drugiej strony:

— Huzia, huzia, bierz go, huzia! Powiadam:

— Ja nie pies. Szepnij Radca:

— Bierz go, bo wstyd, bo to ich Najślawniejszy Pisarz i nie może być, żeby tu z nim celebrowali gdy Wielki Pisarz Polski Geniusz jest na sali! Ugryż go, g...rzu, geniuszu ugryż, bo jak nie, my ciebie ugryziemy!... Jako za mną cała moja czereda stoi... Poznałem, że innej rady nie ma, tylko ja jego ugryż muszę, bo mnie Swojacy spokoju nie dadzą; a ja, jeżeli libym ja tego Bawołu ugryzł, sam bym Lwem na placu ostał. Ale jak ugryż, gdy bestia jak z księgi marcypani, marcypani, a nie mgliło, i coraz inteligentniej jest inteligentnym, subtelniej subtelny...

Odezwałem się wtedy do sędziego, a dosygnęło, żeby to mnie słyszał.

— Nie lubi się ja gdy Masło zbyt Małane, Kluski zbyt Kluskowe, Jagły zbyt Jaglane, a Krupy zbyt Krupne.

Odezwanie się moje w powszechnym ciszeniu jak trąba zabrzmiało i na mnie powszechną uwagę zwróciło, a ów Rabin celebracji swojej przerwał i na mnie okulary nastawiwszy, niemi spoglądał z ciemni swojej; potem zaś zagadnął po cichu sędziego, kto zaczął... Powiada sędziemu, że Cudzoziemski Pisarz, wiec trochę się stopił i pytał, czy Anglik, Francuz, lub może Holender; ale sędziemu powiada, że Polak. — Polak — zawołał — Polak, Polak, Polak... i dopiero, kapelusza poprawiwszy, nogi sobie silnie rozgrymasił, a potem w notatkach swoich, w papierach pogrzebał i rzecze, ale nie do mnie, tylko tam do Swoich:

— Tu powiadaj, że masło ma łane... My I, owszem, ciekawa... ciekawa my I... Szkoda że niezbyt jest nowa, bo to już Sartoriusz powiedział w swoich Bukolikach.

Chyba poczuj to, odpowiedź jego smakuj, jakby to najprzedniejsze marcepany były. Wszelako, cmokaj, jak gdyby własnym cmokaniem gardzili i z tego powodu im się cmokanie już rozlaź. Gdy on do Swoich się zwrócił, ja w gniewie do Moich się zwróciłem i powiadam:

— A mnie po diabła co Sartoriusz powiedział, gdy Ja Mówię ?!

Owó moi mnie zaraz poklask daj:

— Cześć, cześć Mistrzowi naszemu! Dobrze mu się odciła! Niech żyje Gombrowicz Geniusz! Ale przyklaskuj, a jakby przyklaskiem swoim pogardzili... i zaraz się rozlaź. Wtenczas tamten w księżkach, papierach pogmerał, kielbasę c silnie nogi, a wci tylko do Swoich się zwracać:

— Tu powiadaj, że co mnie Sartoriusz gdy Ja Mówię. A to wcale niezła my I i może na byj z rodzenkowem sosem podać, ale z tem bida, że już Madame de Lespinasse co podobnego powiedziała w jednym z Listów swoich, i Znowu

cmokaj , smakuj , cho Cmokiem, Smakiem swoim pogardzaj ... i w roztargnieniu on im si rozłaził. Ja wi c do Swoich si zwracam, eby jemu co dobrze powiedzie a tak ugry , eby ju si jemu szczeka odechciało! A tu widz : moi jak ogie czerwoni; czerwony wi c, jak burak, Radca, czerwony Pyckal wraz z Baronem, a Cieciszowski silnym rumie cem po uszy si oblał i tak stoi! O Bo e, co to, dlaczego tak nagle spłoni, przecie przed chwil jeszcze Uwielbiali, sk d taka przemiana... ale nic, stoj , czerwieni si ... Mnie jakby kto w pysk strzelił od Rumie ca Swojaków, który te tak mnie Zarumienił, e z nagła przed lud mi cały czerwony si stałem jak w Koszuli! A diabła, diabła tam! Ju nawet mnie si uszy szczerwieniły!

Owó to M ka moja, e ja, jak g...rz, czerwony, i jakbym z czapk w gar ci pod płótem boso stał; a ju najgorsze, e nie z przyczyny jakiego wstydu mojego, a tylko Rumie ca cudzego, cho to i Swojskiego. W strachu wiec e ja za spraw tych to g...rzów moich co mnie za g...rza maja, g...rzem przed g...rzami tamtemi wypadn , a ju chc c tego g...rza pogr y , krzykn łem:

— Ci... g... g...

Odpowiedział:

— Owó to wcale niezła My l i z grzybkami dobra, tylko ja nieco przysma y i mietanki podła ; ale có kiedy ju przez Cambronne'a powiedziana... i, w sakpalcie swoim si zamkn wszy, nog rozkaprysił.

Ja si bez słowa zostałem! A bo ju j zyka w g bie zapomniałem! A łajdak, tak mnie oniemił, e i słów nie miałem, bo co moje nie Moje, podobnie Kradzione!

Stoj wi c przed lud mi wszystkimi, a tam z tyłu moi mnie kuksy daj , ci gn , odcigi gaj i chyba czerwoni, czerwoni... Tu za , przede mn , tamci oklask cudakowi swemu daj , cho zarazem, jakby oklask swój lekcewa yli, skarpetki, koszule, spinki sobie ogl daj . Ju na nic nie bacz c, wszystko porzucaj c, od ha by mojej, wstydu uciekaj c, ja do drzwi przez cał sal i zacz łem i Uchodz ! Uchodz , bo do diabła wszystko i diabli, diabli, wszystko diabli wzi li! Uciekam, uchodz ! A tu, gdy w jawnej ucieczce mojej prawie do drzwi doszedł , , znów diabli mnie bior , diabli, i my l , e co ty b dziesz do diabła uciekał, co b dziesz uciekał! Zawróciłem i wracam, id przez cały salon, a wszyscy si przede mn rozst puj ! A diabli, diabli, a niech to diabli, Szatani!

Id tedy, a byłbym pysków porozbijaj! Ale, jakem ju do ciany doszedł, znowu zawróciłem i z powrotem do drzwi i zacz łem, bo my l sobie: lepiej nie bi . Gdy

za ju prawie do drzwi dochodziłem, znowu zawróciłem (bo ju mnie si Chód w przechadzk jak po tym salonie przemieniał) i znów przez sal id ... Powszechnie wi c osłupienie, g by porozdziawiano, patrz , a mo e mnie za półgłówka maj , ale diabli, diabli, o nic nie dbam, a Chodz , jakbym tu sam był, jakby nikogo nie było! A chód coraz silniejszy, Pot niejszy... i tak ju diabli, diabli, Chodz i Chodz i Chodz , a ju Chodz , Chodz , i Chodz i Chodz ...

A to ju tak Chodz ! Z trwog spogl dano, bo chyba nikt nigdy na adnem przyj ciu tak nie Chodził... otó tam pod cianami, a jak trusie, przycupn li, siaki taki i pod mebel wlażł, albo si meblem odgradził... a ju Chodz , Chodz ; i ju nie tylko Chodz , a tak Chodz , e a Chód jak diabli, e wszystko chyba porozbijam... O, Jezus, Maria! To ju Moi nie moi ogon pod siebie, dudy w miech, patrz , a ja Chodz i wci Chodz , Chodz , a ju Chód mój jak po mo cie dudni, diabli, diabli, i ja nie wiem, co z tym Chodem poczn , bo to, Chodz , Chodz , a ju jak pod gór Chodz , Chodz i ci ko,i ci ko, pod gór , pod gór , o, co to za Chód, o, co ja robi , o, ju chyba jak Szaleniec jaki Chodz i Chodz i Chodz , a to przecie za Wariata mnie b d mieli... ale Chodz , Chodz ... i diabli, diabli, Chodz , Chodz ...

A tu patrz , a tam jeden kole pieca ty chodzi zaczai i Chodzi i Chodzi, a ju tak Chodzi, Chodzi, e gdy ja Chodz to ty i on Chodzi. Dopiro ja od ciany do ciany, a on tam pobok od pieca do okna... i gdy ja chodz to ty i on Chodzi...

Mnie diabli bior : a co on si przyczepił, czego chce, mo e przedrze nia?... czemu ze mn Chodzi? Alem Chodu mego przerwa nie mógł. Owó ze strachu samego oni by pewnie i jego i mnie za łeb, za drzwi!... Ale, cho to si boj , a ty i gniewaj , przecie i gniew i strach własny lekce sobie wa , wi c im si rozłazi... i dopiro , cho to jeden zbladł, drugi brew zmarszczył, trzeci nawet kułak wystawił, zarazem ciasteczka, bułki z szynk j jedz i jeden do drugiego:

— Wyszła ta rewista? — A ja sobie Kafelki sprawiłem... — Ja tom nowy Poezji wydaj ... Owó tak gadaj , gadaj , cho to si gniewaj , mo e i strachaj , ale ty widz , e si wy miewaj i, cho tam jeden z bułk , drugi mo e z kieliszkiem, a za stołkami, pod stołkami, gniewaj si ; gadaj , strachaj , ale ty chyba si i wy miewaj ... a ja Chodz , Chodz i on ty obok Chodzi, Chodzi, a diabli, a diabli!... My l tedy, a co to, a jak, a dlaczego do mnie ten człowiek si przypl tał?... i baczniej jemu si przyjrzałem... Przyjrzałem v si i widz : człek słusznego wzrostu, Brunet silny, a nawet niet pego, owszem, do szlachetnego oblicza... Ale czerwone

ma wargi! Wargi ma, powiadam, Czerwone, Ucierwienione, Karminowe! I tak z Wargami Czerwonymi chodzi, Chodzi, Chodzi! A to ju jakby mnie kto w pysk strzelił! A to jak rak sczerwieniłem ! Dopiero ja, jak oparzony, czerwony, Chód mój, diabli, diabli, do drzwi skierowałem i przez te drzwi, o ju nie Chodz , Chodz , a tylko Uchodz ... Uchodz , jakby mnie diabli, szatani gonili !

Przekl te Ludzko ci spaczenie! Przekl ta ta winia nasza w błocie utyłana! Przekl te to bajoro nasze! A to ten co tam Chodził, chodził, z którym ja Chodziłem, nie Bykiem był, a tylko krow !

M czyzn co, m czyzna b d c, m czyzn by nie chce, a za m czyznami si ugania i za nimi Lata jak w Koszuli, ich uwielbia ach kocha, do nich si zapala, ich po da, na nich si łakomi, do nich si wdzi czy, mizdrzy, im si podlizuje, lud tutejszy wzgardliw darzy nazwa: „puto”. Wargi te ujrzawszy, które ró em kobiecym, cho Mskie, krwawiły, ani cienia w tpliwo ci mie nie mogłem, e los mój Puto takiego mnie zdarzył. Z nim to ja wobec wszystkich Chodziłem, Chodziłem, jak w parze jakiej na zawsze sparzony!

Nic dziwnego przeto, e jak Szalony po schodach od wstydu mego uciekałem. Ale gdy tak przez ulic biegn , czyj bieg za sob posłyszałem i tak biegn c, słysz , e kto za mn biegnie ; a nie kto inny to był, jeno Puto, który za r kaw mnie złapał. O! — zawoła. — Wiem ja wzgard twoje i wiem, e ty tajemnic moje odkrył (a jemu si wargi czerwieniły) ale wiedz, e we mnie Przyjaciela masz i Wielbiciela, bo ty chodem swoim wszystkich przemógł... A ty ja razem z tob tam Chodzi zacz łem, eby tobie jak tak pomoc da i aby sam przeciwko wszystkim nie był... Chod my tedy, Chod my! (To mówi c, mnie pod rami uj ł i oddechem swoim mskim a kobiecym mnie przysmala.) Ja mu si umkn łem, a bo i nie wiedziałem ju w pomieszeniu i oszołomieniu mojem czego chce ode mnie i czego da, a mo e Po da, do tego za przed lud mi wstyd mnie było (cho pusta ulica). Lecz miechem wybuchu i jak kobita cienko, piskliwie zawoła:

— Nie bój si , ty ju za stary dla mnie jeste , ja z Młodymi tylko zadaj si Chłopcami! Tak wzgardzony, ja z gniewem jego odepchn łem, ale on czule si przycisn }; — Chod my, chod my, chod e ze mn , razem troch sobie Pochodziemy!... Ja nic na to. Ale, e to razem po ulicy szli my, on mnie swoje opowiada zacz ł. Owó szeptem mnie wszystko swoje opowiada, a ja słucham, Owó człowiek ten, Metys chyba, Portugalczyk, z perskiej tureckiej

matki w Libii urodzony, Gonzalem zwał si ; a bardzo Bogaty, około 11 -tej lub 12-tej z rana z łó ka wstaje i kaw wypija, a potem na ulic wychodzi i tam po niej chodzi, a za Chłopcami albo Chłopakami. Gdy sobie jakiego upatrzy, zaraz do niego podchodzi i jego o jak ulic zapyta; a tak z nim zapocz wszy, gaw dzi zaczyna o tym a o owym, eby tylko wymiarkowa czy Chłopca owego namówi do grzechu mo na za 2, 5 albo i 10 Pezów. Przewa nie tedy w strachu, trwodze mówi o tym si nie wa ył i go tam zbywali, jak zmyty odchodził. Wi c tedy za innym Chłopcem, Młodzie cem albo i Chłopakiem, który mu w oko wpadł... i tam, panie, znowu o ulice rozpytywanie, rozmawianie, to znowu o Grac h jakich, albo Ta cach, zagadywanie, a wszystko eby jego za 5 lub 10 pezów skusi ; ale mu Chłopiec ten co ostro powiedział, albo splun ł, On tedy ucieka, ale rozogniony. Wi c znowu za innym Brunetem albo Blondynem, zagadywa , rozpytywa . Gdy tedy j si zm czy, do domu wypoczywa wraca, i tam, na szezlongu nieco wypoczawszy, znowu na ulic szuka , chodzi , zagadywa , rozpytywa , a to Rzemie Inika jakiego, a to Robotnika, albo Pomocnika, albo Pomywacza, albo ołnierza, albo Marynarza. Przewa nie jednak w l ku, strachu, co przyst pi, to zaraz Odst pi; albo ty , panie, idzie za jakim, to tamten gdzie. do sklepu wszedł, albo z oczu zginał, i nic z tego. Znowu wi c do domu swego zm czony, znu ony, cho w ogniach powraca, a przek siwszy co i wypoczawszy na szezlongu znowu na ulic bie y, aby jakiego Chłopca, byle zgrabnego, upatrzy ,, przygada . Je li wi c takiego zdybał, a z nim za 2, 5 lub 10 Pezów si ugodził, zaraz jego do mieszkania swojego prowadzi i tam, na klucz drzwi zamkn wszy, kurtk , krawat, spodnie zdejmuje, na podłog rzuca, do Koszuli si rozbiera i wiatło przyciemnia, Perfum rozpyła. A tu dopiro Chłopak go w mord i do szafy jemu bielizn wybiera , albo pini dze wydziera!

Zmartwiały od strachu okropnego Puto krzycze si nie wa y, wszystko jemu zabiera pozwala i bolesne razy jego znosi. Od Razów tych, Kuksów, jeszcze wi kszy ogie jego! Gdy wi c wyszedł Chłopak, on znowu na ulic rozogniony, rozpalony, zachwycony, a te wystraszony, um czony, i dalej e za Czeladnikami , Rzemie Inikami młodymi, ołnierzami lub Marynarzami; ale co przyst pi to odst pi, bo cho dza wielka, strach wi kszy od dzy. A ju noc pó na i coraz pu ciejsze ulice: do domu wiec swojego Puto wraca, do koszuli si rozbiera i ko ci zm czone na łó ku samotnie utula, a to eby nazajutrz znów wstał, kaw wypijał i za Młodymi uganiał chłopcami. I dnia nast pnego znowu wstaje, spodnie, kurtk przywdziewa i

znowu za Młodymi ugania chłopcami. A dnia następnego z łóka swego wstawszy, znów na ulicę, żeby za Chłopcami się ugania.

Dopiero powiadam:

— Jest e to mo liwe, człowieku nieszczęsny, żeby pokusie twojej Rzemie Inik, lub Czeladnik, lub ołnierz ulegał, gdy ty w nim tylko wstrętność, odrazę wzbudzi mo esz wdzi kami swoimi? Zaledwie to wyrzekł, zawołał, a bardzo, widać, uraony:

— Mylisz się, bo ja oczy mam du e, pałace, a ręk biały, stop delikatna! I zaraz kilka kroków naprzód wybiegł, mnie figur swój w przegibach i szarmantach pokazując i silnie ni drobić.

Ale potem mówi:

— Zreszt w potrzebie się, grosza potrzebuj. — Dlaczego jednak — powiadam — dlaczego ty więcej im pieniędzy nie dasz, a tylko 2, 5 lub 10 Pezów, skoro bogatym jesteś, a tyle trudu ciebie kosztuje którego namówi?

Odpowie:

— Spójrz pan na ubranie moje. Ja jak zwykły Subiekt, albo Fryzjer ubrany chodzę i koszulę mam za 3 Pezy, a to żeby z Bogactwem się moim nie zdradzi; bo już do tej pory pewnie dziesięć razy byłbym uduszony, albo No em, albo Łeb rozkiełbaszony; i je libym ja Chłopcowi jakiemu więcej dał Pezów to zaraz o więcej by prosił i dopiero do domu nachodzenie, Groenie, Przeładowanie, żeby tylko więcej jeszcze wydusi, wyłudzi. Dlatego ja, choć pałac mam, własnego lokaja udaję. I własnym swoim lokajem jestem w moim pałacu!

Tu zakrzyknął rozpaczliwym głosem, ale cienko:

— Przeklęty, przeklęty Los mój! Lecz zaraz, wznosząc ku niebu ręce, czy te raczki, zawołał cienko, przeraźliwie:

— Błogosławiony, ach, słodki, cudowny mój los i ja innego nie pragnę! Drobnymi kroczkami naprzód przez powietrze sady, a ja obok klusem jak na bryczce. Okiem duym, wilgotnym, omdlałym na prawo, na lewo oczkuje, a ja obok jak Ko przy Kobyle! To mieszkam perlistym wybuchem, to łyżdu e i kobice roni, a ja, panie, jak na tatarskim weselu! Wtem w bocznej uliczce skoczył i ni goni, a bo ołnierza zobaczył... lecz zaraz przystaje, za w głębi się chroni, bo jaki Czeladnik przechodził... to znowu zza w głą tego wyskakuje za jednym Subiektem i znowu przystaje, wypatruje, opłótkami kluczy, a bo Pomywacz przeszedł rośnię, młody... I tak, młodymi Chłopcami miotany, przez nich, jak przez Psów, na wszystkie

strony rozrywany, to w prawo, to w lewo p dzi, goni a ja za nim... bo ju mnie ponosił! A grzech jego Ciemny, Czarny mnie ulg jak sprawiał w tym okropnym wstydzie moim, którego ja na przyj ciu si najadłem. I w nocy, w grzechu, na plac wypadli my, na którym wie a przez Anglików zbudowana: tam wi c wzgórze ku rzece opada, a miasto do portu zst puje i cichy wody wiew jak piew jaki w ród placu drzew... Tam wielu było młodych Marynarzy.

Lecz ona, która za jednym z nich wła nie goniła, ni to piorunem ra ona, przystan ła. — Czy widzisz Chłopaka tego Blondyna, co przed nami ? Cud to chyba, a mo e i szcz liwa wró ba! Jego to nade wszystkich kocham, za nim ju kilka, razy si uganiałem, goniłem, ale zawsze mnie z oczu gin ł. O szcz cie, rado e znów jego widz , znów za nim, za nim, ach, za nim biec mog !

I, ju na nic nie bacz c, za tym Młodzie cem pomkn ł; a ja za nim! Z dała niewiele te z tego Chłopca Blondynka widziałem, a tylko jego kurtka, głowa mnie si miga... ale widz , e on do wrót parku taniej, ludowej zabawy zmierza, który „Parkiem Japo skim" nazwany i po jednej placu stronie t krzykliwymi lampami si jarzy, a tam przystan ł w wietle migoc cym la tar , którymi deski, słupy były obwieszane.:

Owo on tam stoi, jakby czekał. A ona mi dzy drzewa, co na placu były jak Łasica wbiegła i, w ich cie si schroniwszy, stamt d t skni do niego i wzdycha zac ła.

Owó my I sobie: a co to, gdzie ja jestem, co ja robi ? I dawno bym ju jego odbiegł, ale mnie al było jedyne go towarzysza mojego porzuca . Bo to Towarzysz był. Tylko e, gdy on tak pod drzewem ze mn razem, mnie dziwno troch , bo ni pies ni wydra. Owó włoski czarne m skie miał na r ku,, ale r ka R czka Pulchna, Biała... a pewnie i stopa... a cho policzek ciemny od zarostu zgolonego, przecie policzek ten jemu si wdzi czy, przymila, jakby nie ciemny był, a wła nie biały... a ty cho Noga M ska, ona jakby Nók by chciała i w dziwacznych si wdzi czy podrygach... i cho głowa m czynny w sile wieku na skroniach wyłysiała, pomarszczona, głowa jemu jakby z głowy si wymyka i główka by pragnie... On wi c jakby siebie nie chce i siebie przemienia w ciszy nocnej, a ju i nie wiadomo czy to On czy Ona... i chyba, ni tym ni ". owym b d c, Stworzenia a nie człowieka ma pozór... Przyczał si , szelma, stoi, nic nie mówi, a tylko na Chłopca swojego milkliwie spogl da. My I tedy ki diabeł Wilkołak i po co ja tu z nim, gdy on mnie wstydu

przysparza, a za spraw jego ha ba moja na Przyj ciu owym, ale diabli, szatani, niech e ju i Diabeł, a ja jego i tak nie porzuc , bo przecie ze mn chodził i razem Chodziemy.

Wtem m czyzna starszy, szpakowaty do chłopca owego przyst pił; co widz c Puto okropnie si wzburzył, mnie znaki , dawa zacz ł i powiada:

— Przekle stwo i Nieszcz cie moje! Co to za dziad, czego on chce od niego, a pewnie oni si tu umówili i on jemu fundowa b dzie!... Id e, posłuchaj, co mówi ze sob ... id e, posłuchaj, bo ju z zazdro ci umieram... id e, id e...

Szept jego gor cy omal mnie ucha nie osmalił. Spod drzew wyszedłszy, zbli yłem si do młodzie ca, który redniego wzrostu, jasny włos, stopa, r ka redniej miary, a tak jemu oczy, tak z by, czupryna, e szelma, szelma, o, szelm a Gonzalo! Ale co ja słysz ! Przecie Swojska Mowa!

Jak oparzony od nich pr dko odskoczyłem i do Gonzala przyskoczyłem:

— Rób co chcesz, ale ja odchodz i nie cha nic z tym mie , bo to Rodacy s moi, a pewnie Syn z Ojcem! Nic ja z tym nie chc mie i do dom u pójd !

Za r k mnie złapał.—O! — zawoła.— Bóg mi ciebie zdarzył, przyjacielu mój, i ty mnie pomocy swojej nie odmówisz! A gdy rodakami twoimi s , łatwo ci przyjdzie z nimi poznajomi si ! A wtenczas i mnie poznajomisz i ja przyjacielem twoim serdecznym po wsze czasy b d , a nawet 10,20,30 tysi cy tobie dam, albo i wi cej! Chod my , chod my za nimi, ju do parku wchodz !

Ja bi jego chciałem! Ale przysuwa si , przytula:

— Chod my , chod my , przecie ju razem chodzimy, chod , chod , chod my , chod my ! I tak mówi c, naprzód ruszył, a ja do Chodu mego, w Chód mój uderzyłem i Chod my, Chod my, Chod my! Do parku wbiegamy! A tam kolejki z hukiem zza skały, ówdzie pajace lub pró ne butelki, to znowu karuzele, albo hu tawki, albo trampolina, dalej za na koniach drewnianych kr cenie, do celu strzelanie, grota sztuczna, lub krzywe zwierciadła i tak wszystko, panie, kr ci si , lata, strzela w łoskocie zabawy, a po ród lampionów, rac i fajerwerków! A ludzie chodz i sami nie wiedz , jeden na hu tawk patrzy si , d rugi na pajaca i tak od zwierciadła do butelki chodzi i pogapuje si na to lub na owo; wszystko za rozp dzone, rozedrgane, tu wi c Potwór, a tam Magnetyzer! Dopiro tedy zabawa wre, Hu tawki bujaj , karuzele kr c si za własnym ogonem, a ludzie chodz , chodz i chodz i chodz i chodz , a ju od Hu tawki do Karuzeli, lub ty od Karuzeli

do Hu tawki. Kr c si tedy Karuzele. Bujaj Hu tawki. A ludzie tak Chodz . I tylko Zwierciadła lampionami wabi , Butelki głosem zachwalacza krzycz i tak, je li nie Butelki, to Kolejka co z hukiem wypada, lub Jezioro w sztucznej grocie, albo Pajac; od czego blask i huk i wszelkich zabaw, Rozrywek kr cenie si i wiercenie i latanie. Gdy za Rozrywki si bawi , ludzie chodz , chodz !

Gonzalo p dem biegł z obawy, eby tamci jemu w tłumie nie zgin li i, odnalazłszy ich, mnie znaki dawał bym po pieszał. I do mnie:

— Oni do Sali Ta ców poszli! Ja mówi :

— Lepiej Karuzelem si pokr my. Powiada:

— Nie, nie, do Sali Ta ców! My tedy do Sali Ta ców. Tam dwie orkiestry, co na przemian graj . Tam na bezmiernej przestrzeni tysi c mo e stolików lud mi obsi dzionych, a po rodku wielka podłogi tafla jeziorem si mieni. Owó muzyka zagrała, a wtenczas pary wychodz , kr c si ; gdy za muzyka przestała, to i pary kr ci si przestaj . Tak za przestronna ta sala, tak wielki jej bezmiar, e od kra ca do kra ca, jak w górach, gdy z wysoko ci, z wy yny, a tam dolina i oko ginie, tonie, a ludzie jak mrówki... z dala za szum i głos muzyki ton cy dobiega. Owó robotnicy, słu ce, subiekci albo praktykanci, marynarzów du o i ołnierzów, tak e urz dnicy, szwaczki albo Sprzedawczynie i przy stolikach siedz , albo na rodku si kr c w takt muzyki; gdy za muzyka urwie to ustaj . Sala bardzo biała.

Młody z ojcem swoim (bo to ojciec był) przy stoliku sie dzieli i piwo pili; my z Gonzalem przy s siednim stoliku usiedli my i Gonzalo do mnie, ebym ja si z nimi poznał. — Id do nich, przepij, jak to z Rodakami, a ja ty przepij i w kompanii sobie popijemy!

Ale sala du a, wiatel mnóstwo i ludzie si patrz , wi c mnie znów nijako si zrobiło i powiadam:

— Tak nie mo na, bo zbyt obcesowo... a ju tylko w my lach jakiego powodu szukałem, eby odej , bo nawet mnie Wstyd z człowiekiem takim przy stoliku siedzie . On na mnie nastaje. Ja si wzdragam. Wino pop ijamy, a muzyka przygrywa i pary si kr c . Gonzalo tedy znowu, ebym to ja do nich szedł, a jak upojony na wybranka swojego spogl da i chc c jemu si przypodoba , a w oko wpa , Oczko przymru a, r k R czk rusza, chichocze, a na siedzeniu podskakuje... i dopiro na kelnera, jemu sójk w bok, jeszcze wina woła, a tak e gałki z chleba robi i nimi wystrzela, miechem huczny wita c te Figielki swoje! Mnie wstyd coraz wi kszy,

bo ju i ludzie si patrz ; wi c powiadam, e za potrzeb swoj musz si oddali i do ust pu poszedłem; a w tej intencji, eby to jemu z oczu zej i przepa . Id do ust pu, id ... Ale kto mnie za r k w tłumie złapał, a kto? — Pyckal! Za Pyckalem Baron, a obok Ciunkala!

Dopiero zdumienie moje. Sk d tu oni?! A ty patrz , czy burdy jakiej nie szukaj , bo mo e tu za mn po to przylecieli; i za ten wstyd, którego si przeze mnie na Przyj ciu najedli mnie co zrobi pragn ... Ale gdzie tam!

— A, panie Witoldzie drogi, Szanowny! A to znowu si spotykamy! A chod my si Napi ! Na jednego! Na jednego! Chod my , ja funduj ! Nie, nie, ja funduj ! Nie, nie, ja funduj ! Pyckal zaraz wrzasn ł:

— Co ty kpie fundowa b dziesz! Widzieli cie woka! Ja funduj ! Ale Baron pod r k mnie bierze, na bok odprowadza, a silnie furczy, jak b k jaki bzczy:— Nie słuchaj e Pan ich, ju od chamstwa tego uszy puchn , my si czego razem napijemy, prosz , prosz Pana mego! Ale Pyckal mnie za r kaw złapał i odci ga, a do ucha mówi:

— Co ciebie ten francuski Piesek Mopsik nudzi fumami swoimi głupimi kretynicznymi, chod e ze mn , my si napijemy, a bez ceregieli!

Powiadam wi c:

— Bóg zapła , Bóg zapła , wi kszego dla mnie honoru nie mo e by jak z Panami przyjacielami moimi popi , alem w kompanii.

Jakem to powiedział, oni łokciami si tr cają , jeden dru giego a ty oczy mru , głowami kiwaj :

— W kompanii, w kompanii! A wła nie e to w kompanii! Owszem, podobnie to z Gonzalem jeste , a niech ci diabli! Z Gonzalem si zaprzyja nię , z Gonzalem chodzisz, a niech ci kaczk! Przecie ten człowi ek; na milionach siedzi! Ju ty nie taki wariat, jak tam ludzie mówi . Chod my na jednego, na jednego! Napijmy si ! Ja funduj ! Nie, nie, ja funduj !

Coraz wi c serdeczniej, poufalej nast puj , a e to mnie łokciem tr ca si nie powa aj , siebie wzajem pod ebro tr cają , kuksy sobie daj , tam mi dzy sob dokazuj i ju jeden do drugiego: chod my , napijmy si ! Ja widz , e oni! tak niby ze sob , ale chyba do mnie... i ju ciska , całowa si z sob zacz li (bo ze mn tej miało ci nie mieli) i Chod my , Chod my , ja funduj , nie nie, ja funduj ! Sakiewk

potrzeba Pyckal, ty i Baron swój, Ciumkała pini dze z papira wyjmuję, dopiero jeden drugiemu pokazuje, jeden drugiemu pini dze pod nos pcha. I krzyknął Pyckal:

— Co ty mnie będziesz fundował, ja tobie zafunduję, a jeszcze ci może ze 100 pezów dam, jak mnie się zechce! Baron zawołał:

— Ja tobie dam i 200! A Ciumkała:

— Ja tu 300 mam, tu mam 300 i jeszcze 15 drobnymi!

Widz, chociaż oni tak sobie fundują, siebie zapraszają, i sobie te pini dze pokazują, mnie by chyba fundowali i mnie by chyba je pokazywali... tyle tylko że nie mają ... a ja chyba mnie o romans jaki z arcybogatym Puto powiedział ... i z tej przyczyny chyba mi złote góry dali, a ja sami nie wiedziałem czym raczy, jak prosi! Na tak cię obraz mój, a te w tym wstydzicie, że oni mnie widzą za kochanka jego mają, małym w mord którego nie strzelił; ale tylko krzyknął, żeby mnie głowę nie zawraca, bo czasu nie mam!... i prędko odszedłem, do ustępu wchodzi, oni za mną. Tam jeden był człowiek, który się do urynału załatwiał. Ja do urynału, oni do urynału. Ale gdy ten człowiek, co się załatwiał, wyszedł, oni hurmem do mnie i krzyknął Baron do Pyckala „masz tu 500 Pezów”, a Ciumkała do Barona „masz tu 600”, a Pyckal do Ciumkały „tu 700, 700 masz, bierz, kiedy ci daj!”. Pini dze wyciągnij, nimi sobie, mnie, przed nosem wytrząśnij i sobie wtykaj! Szaleni chyba!

Rozumiałem więc, chociaż oni sobie tak te pini dze między sobą dają, mnie by ich chętniej dali, żeby to sobie łaskę mój kupić ... tyle tylko, że im niezręcznie było, bo ze mną miało ci nie mieli. Owo powiadam:

— Nie gorszcie się Panowie, z wolna, z wolna. Ale oni tylko szukali, którzy to mnie te Pini dze wcisną i w końcu Baron za głowę się złapał:

— A to ja dziuraw mam kiesze, ot, lepiej tobie Pini dze moje dam, bo jeszcze zgubi!... i zaczął mnie Pini dze wciska, co widząc, tamci ty mnie swoje wtykaj:

— Weźcie i moje, i moje, bo u mnie kiesze też dziurawa. Ja powiadam:

— Bójcie się Boga, panowie, po co mnie dajecie?... ale w tej chwili wszedł ktoś za potrzeb, więc oni do urynału, portki rozpinają, pogwizdują, że to niby nic, że za potrzeb ... Dopiero gdy ten! co był wszedł, wyszedł, oni znów do mnie, a ja już kiesze miało ci nabrali, więc mnie Pini dze wciska i „bierz, bierz” wołają. Ja powiadam:

— W imi Ojca i Syna, panowie, po có wy mnie to dajecie, na co mnie pini dze wasze? W tej chwili jednak kto wszedł, za potrzeb, wi c oni do urynału, pogwizduj ... ale jak tylko sami zostali my, znowu przyskoczyli i krzykn ł Pyc kal:

— Bierz, bierz, gdy ci daj, a bierz e, bierz, bo on 300 albo 400 ma Milionów! — Nie bierz od Pyckala, ode mnie we — krzykn ł Baron, furcz c i bycz c jak osa ode mnie bierz, bo, bój e si Boga, on mo e i 400 albo 500 Milionów!

Ciumkała za j czał, płakał, wzdychał:

— Dopraszam łaski, a mo e i 600 Milionów, we e Pan Wielmo ny i mój grosik! Gdy tak nastaj rozczewienieni, rozpaleni i Pini dznj tymi wymachuj, mnie je tkaj, pchaj, a jeden z drugim i z trzecim, jeden przez drugiego, trzeciego, i ta k Razem Mi dzy sob na mnie, na mnie, nie chciałem ju dłu ej wstr tów czynili i pozwoliłem, eby mnie Pini dze wetkn li. Wtenczas wszyscy do urynału: bo wła nie kto wchodził. Ja z pini dzmi tymi we drzwi i z ust pu na sal wybiegłem; a tam muzyka gra, pary si kr c. Przystan łem z pini dzmi i widz, e Gonzal mój przy stoliku wci figluje i figluje i figluje...

A to wi c R czk machnie; a to oczkiem strzeli; to znów gałki z chleba podrzuca, to szklaneczk brz czy, to paluszkciem drobi, a tak po ród tych figielków swoich jak Indor mi dzy Wróbelkami... i miechem huczny wita własne figle swojej! Owó ci co tam bli ej siedzieli pewnie my leli, e zawieruszony, ale ja wiedziałem jakie to wino jego i do kogo on owe figielki; kieruje. Cho wi c, zbrzydzone, do domu chciałem wraca, umyka, a wszystko to rzuci, widok ten jakby mnie no em pchn ł (a tu pi t do góry zadziera) bo przecie to towarzysz mój (a tu chusteczk zamachał), to mój poplecznik (w dłonie klaska, kolanami strzela) z którym ja chodziłem (dalej e palcami przebiera) wi c na to pozwoli nie mog aby on mnie przed lud mi takie hece robił (na tr bce papierowej tr bi). Do stolika tedy na powrót si skierowałem.

On, zobaczywszy mnie, z figłów macha, kiwa na mnie zacz ł. Dopiro, gdy si zbli yłem, zawołał:

— Hej ha, siadaj, siadaj, to si zabawimy! Hej ha, hej ha, sasanka, cacanka! Cacy cacy jest Pankracy, Cho i gładki ty Ignacy!

I gałk w nos mnie ciska, w papier tr bi, a po cichu mówi:

— Zdrajco, gdzie byłe, co robiłe, tobie Nudna moja sprawa! Z araz ty szklank wina ze mn si tr ca, bibułki rozrzuca i mnie wino do szklanki nalewa.

Napijmy si ! Napijmy si ! Mama ta ców zakazuje, A ja Skoczkiem dokazuj Oj, bawmy si ! Oj, u ywajmy! Wina mnie nalewa. Mnie trudno odmówi , bo hucznie zaprasza. Pijemy. Ale obok, przy drugim stoliku, Baron, Pyckal, Ciumkała zasiedli i wina wołaj ! Niech e to diabli! Wida e, gdy mnie pini dzy dali, ju mielsi si czuli, a gdy Gonzalo popija, oni ty do kuflów, do kieliszków, kuflami, kieliszkami, kubkami si tr caj , pij , wychylaj , wykrzykuj , a hej e ha, a hoc hoc, a było nie było! Jednakowo tyle miało ci nie mieli, eby do nas przepija , wi c tylko mi dzy sob przepijali. My te z Gonzalem do siebie przepijamy.

„Oczko moje co tak strzelasz Ubij, zabij, idzie Grz ela! A po cichu mówi:

— Id e do Starego, popro ich do kompanii. Poznajomimy si . Powiadam:

— Nie mo na.

Mnie do r ki pod stołem co pcha i mówi:

— We to, we to, masz to, trzymaj to... a to Pini dze były. We , mówi, w potrzebie jeste , poznaj Przyjaciela, Wielbiciela, a byłe mnie Przyjacielem był ju ja ci Przyjacielem b d ! Ja bra nie chc , ale mnie sił pcha i wepchał. Owó byłbym mu te pini dze na ziemi cism ł; ale, e to ju tamte pini dze miałem, a tera do tamtych nowe mnie doło ono, sam nie wiem co robi ; bo chyba ju razem ze cztery tysi ce si zebrało. Tymczasem Baron z towarzyszami swymi mi dzy sob popijaj ; ale i di mnie przepija zacz li. Z pini dzmi ich w kieszeni, ju tego im nie mogłem zrobi ebym do nich nie przepił; oni wie znowu do mnie; Gonzalo do mnie; ja do Gonzala; oni do Gonzala; Gonzalo do nich! Pijemy, popijamy. Dopiro zabawa Buziak, buziak, ojejjóziak, Nie dla Józia moja buzia !

Tr bi w papier, r czk , nó k macha! Hoc, hoc, hoc! Ju tedy my wszyscy razem do siebie od stolika do stolika przepijamy, ale prawd mówi c nie do nich a do tamtych Gonzalo pił, to jest do Starego i do syna. Powiada ty do mnie:

— Id popro do kompanii!

Dopiro wstaj i, do starego si zbli ywszy, w te słowa ozwałem si :

— Wybacz pan natr tno , ale mow nasz posłyszałem wi c Swojaka pozdrowi pragn .

Zaraz, najuprzejmiej powstawszy, przedstawił si jako Kobrzycki Tomasz, dawniej Major, teraz Emeryt, a i syna swojego Ignacego przedstawił. Potem siada prosi. Przysiadłem si , on piwem cz stuje, ale wida było e mu niezbyt do smaku kompania moja była, a to z przyczyny tamtych Kompanów moich. A głównie, e tam

Rycz , Pij , Hałasuj ! Widz c wi c, e nadzwyczaj porz dny, przyzwoity człowiek w te słowa odzywam si :

— Ja w kompanii, ale podobnie troch sobie podkurzyli; a ju to Panu Szanownemu wiadomo, e nikt tutaj znajomo ci nie wybiera; nieraz i lepiej byłoby, eby si Znajomi w Nieznajomych przemienili.

A tam hałasuj . Ale powiada:

— Rozumiem przymusowi Pana poło enie i, je li wola, prosz z nami spokojniejszej za y zabawy. Dalej tedy rozmawiamy. Człowiek ten nadzwyczajnie zacnym, przyzwoitym był, rysów suchych, regularnych, silnie szpakowaty, oko jasne, siwe i bardzo krzaczaste, twarz sucha, ale omszała, głos tak e omszały, r ka sucha a równie omszała, nos orli, ale krzaczasty i bardzo omszały i tako uszy, k pkami włosów siwych, starych zaro ni te. Syn z bliska do zr cznym, składnym mnie si wydal, a tak jemu r ka, noga, tak z by, czupryna, e szelma, szelma, o, szelma Gonzalo! A tam krzycz , pokrzykuj ! Dopiro Stary do mnie, e Syna Jedynego do wojska wyprawia, a je li on do Kraju si nie przedostanie, to w Anglii lub we Francji si zaci gnie, eby cho z tej strony wrogów szarpał. Owó , mówi, my do Parku tego zaszli my, eby mój Ign c przed odjazdem troch si rozerwał i jemu Ludowe Zabawy pokaza pragn . Mówi, a tam pij . Co wi c w tym człowieku uwag zwracało, to nadzwyczajna jaka w mowie i w całym zachowaniu si roztropno , a ju tak roztropnym, tak to ostro nym był w ka dem słowie i uczynku swoim, e jak Astronom jaki wci tam w sobie bada, nasłuchuje. Nadzwyczaj ty grzeczny.

Wobec takiej Grzeczno ci, a we wszystkim Roztropno ci, Honorowo ci jakiej , wobec widomej nadzwyczajnej czysto ci, prawo ci wszystkich spraw, zamysłów, mnie coraz wi kszy wstyd za Kompanów moich i sprawy a sprawinki moje. Ale, nie chc c si jemu z tych kłopotów moich wyznawa , to tylko mówi :

— Najlepiej ja ycz zacnej W. Pana intencji, a niech i z Synem jego za pomy lno zamiarów zacnych, szlachetnych wypij . To my si stukn li. Ale, gdy ja z Synem si stukn łem, tam Gonzalo do mnie przepił — i tako Baron, Pyckal, Ciumkała do mnie przepili. — Hoc, hoc, hoc, pijmy, u ywajmy! Musiałem tedy do nich przepi ; oni do mnie. Dopiro Stary:

— A to, widz , pij .

— Owszem, pij .

— Do pana ty przepijaj .

— Przepijaj bo po znajomo ci.

Zamy lił si , zaalterował... a wreszcie mówi, troszki ciszej:

— Oj, chyba nie pora na zabawy takie... nie pora...

Mnie wstyd! Dopiro , nachyliwszy si , jemu do ucha w te słowa po cichu ozwałem si :

— Na rany Chrystusa, odejd pan lepiej st d razem z synem swoim i po przyja ni ja tobie to mówi , a bo Pij , ale nie do mnie! Naburmuszył si Stary:

— A do kogo pij ? Powiadam:

— Oni tam do tego Cudzoziemca, Kompana mego pij , ale on nie do nich, ani do mnie, tylko do Syna twojego.

Nasro ył si , zd biał:

— Do Ignasia pije? Jak e to?

— A do Ignasia, do Ignasia i uchod ty z Ignasiem swoim, bo on za Ignasiem si ugania! Uchod , uchod , mówi !

A tu Hucz , Doj , Tr bi , Hałasuj , raz wraz szklanki kufle, ki eliszki wychylaj ! A hoc, a hoc, a Jasio Małgosia Rejwach, huk jak na jarmarku! Sczerwienił stary jak pomidor:

— Ja ty zmiarkowałem, e co on tu na Syna mi zerka, ale nie wiedziałem z jakiej przyczyny.

— Uchod , uchod z Synem, bo tylko na miech ludzki si narazisz!

— Ja z Ignacem (a wci po cichu do ucha rozmawiamy) ja z Ignacem uciekał nie b d , bo mój Ign c nie panienka! Na Boga, ty mnie do tego nie mieszaj, Ignacowi nie mów! Ju ja to sam z tym człowiekiem załatwi . Tymczasem do Gonzala silnie Baron z Pyckalem przepili, a Gonzalo ku nam chusteczk machn ł i kubek wychyla, oj, cieszymy si , oj, u ywajmy!

Stary kubek swój uj ł, jakby do Gonzala przepi chciał,, a nagle kubkiem tym o stół trzasn ł, od stołu si zerwał! Powstał te Gonzalo! Zaraz ty in ni powstawa zacz li, bo widz , e co na Bicie si zanosi. Jeden tylko Syn nie ruszył si , ale jemu nijako było bo chyba zmiarkował co w trawki piszczy i tylko si nieborak jak rak zaczerwienił.

Otó tak stoi Stary; i stoi Gonzalo. Ten, pomimo zniewie cia to ci swojej, dosy okazałym był m czynn ; ale, gdy tak Biciem zaleciało, zmi kł bardzo; a tak Puto si boi, a stary stoi; Puto si boi, a stary stoi; Puto si boi, a Stary stoi. I tak dosy długo

było. Gonzalo palcami lewej ręki z lekka cicho pofiglował, a jakby ogonem merdając i o to się prosił, żeby wszystko w końcu, w figielek obrócone było. Ale stary stoi i ju Gonzalo ze strachu swojego, w twódcę, w niepewność, kubek co go w drugiej ręce trzymał do ust podniósł, Zapił. To nieszczęście jego! Zapomniał chyba, że właśnie o to Picie zwad. była! Jako Starego dało się słyszeć zapytanie:

— Do kogo pan pijesz?

Ale do kogo on tam pił? Do nikogo nie pił. Pił ze strachu i od ust kubka nie odejmuje, bo gdyby odjął toby odpowiedzieć musiał! Pije tedy pije, żeby zapił. Ale bida z tym, diabli, diabli, że gdy poprzednio do Syna pił ukradkowo, teraz jemu Picie znowu do Syna się kieruje (Syn przy stole siedział, ani się ruszył) i tak to stoi Szelma Ona, a do Chłopaczka ciut, ciut, swego Pije i Przepija! Spozobegł się i, gniewu straszego Tomasza się i jak c, zmiął jak szmata, a przecie ze strachu jeszcze bardziej pije i tym Piciem na gniew Tomasza się wydaje... a gniewu coraz bardziej się i jak c pije i pije i pije! Wykrzyknął Tomasz:

— A, do mnie pan pijesz!

A przecie nie do niego pił; tylko do Syna. Widać jednak Tomasz umyślnie tak krzyknął, żeby od Syna picie Gonzala odwrócić. Tam Pyckal, Baron, Ciunkała miechem się zanieśli! Gonzalo na starego okiem zerka, a pije i pije i, choć już wszystko wypił, wciąż pije i pije... Ale już teraz wyraźnie do Chłopaczka pije, już picie tym swoim siebie w Kobitę przemienia i w Niej, w kobicie, ucieczkę, ochronę przed gniewem Tomasza znajduje! Bo już i nie Moczyzna! Już Kobita! Zawołał Tomasz, od gniewu jak pomidor straszny:

— Zakazuje ja panu do mnie pić i zabraniam, żeby kto Nieznajomy pił do mnie!

Ale jaki to pan? Nie pan a Pani! I nie do niego przecie pije, a do Syna. Ale pije, pije i, choć już pusty kubek, pije, pije, i tak picie swoje w nieskończoność i Piciem się broni, Piciem tym zapija i pije i pije i Picie nie przestaje. A dopiero, pić już nie mogąc, gdy Picie już jemu się skończyło, kubek od ust odjął, w Starego cisnął!

Dopiero trzasnął! Tomaszowi kubek w drobne kawałki nad okiem się rozprysnął!

Ale Tomasz ani się ruszy, tylko stoi. Wtenczas syn się zerwał; ale krzyknął Tomasz:

— Nie wtrącaj się Ignac!

I nic tylko stoi. A krew jemu ukazała się i jedna do kropla po policzku się stoczyła. Owó to tam już widać, że bitka, za łby się pobior... więc Pyckal, Baron, Ciunkała od stołu się ruszyli i za co b d j li bra, jeden za kufel, drugi za buty trzeci może za kołek jaki albo zydeł; ale Tomasz ani się ruszy tylko stoi! Ze łbów się kurzy, a ciemno! Ci co dalej byli, bliżej, się przysuwaj, a już Pyckal, Baron, nie miejcie tam bitki z kim zaczyna, mi dzy Sob tarnosi Siebie zaczynaj i a kudły, a już chyba łbów rozbijanie, uszów obrywanie... i ciemni mnie w oczach, Szum, Tuman, bom te wypić. Ale Tomasz stoi. I jemu druga kropla ukazała się, która ładem pierwsze ciekła.

Ja patrz; ale nic tylko stoi Tomasz; i stoi Gonzalo. Tomaszowi trzecia kropla powoli wyciekła, ładem dwóch pierwszych i na kamizelkę spadła. Na miłosierdzie Boże, co to dlaczego nie rusza się Tomasz? Ale tylko stoi. I nowa, czwarta kropla, jemu ciekła. Od kropel tych Tomasza cichych cicho się zrobiło i Tomasz na nas patrzy a my na Tomasza; i tyłka jemu pi ta kropla ciekła. Kapie tedy, Kapie. My wszyscy stojemy. Gonzalo ani się ruszy. Wtem do stolika swojego powrócił, kapelusz bierze i powoli odszedł... a plecy jego nam z oczu zginęły. Owó .. gdy odszedł Gonzalo, już tam ka den się zakrzywił, kapelusz; wziął, do domu poszedł i tak wszyscy się rozeszli, wszystko się rozeszło.

Nocy tej długo oka zmrużyć nie mogłem. O, po cóżem ja Poselstwu być powolny? Po cóż na to Przyjcie chodziłem; Po cóż ja na tym przyjcie Chodziłem? Przecie mnie tego; wstydu tam w Poselstwie nie daruję, a pewnie ja już od wszystkich wy miany, wzgardzony, za pajaca ogłoszony. A gdy jeden jedyny człowiek, który mnie uznania swego a może i jakiego takiego uwielbienia nie odmówił, potem się okazał i gdy on mnie do swoich załotów na raj fura wciągnął, jaka Ha ba i Sromota moja! Dopiero, na łóku się przewracając wzdycham, j cz, o, Gombrowicz, Gombrowicz, o, gdzie wielko i wybitno twoja, już ty chyba Wybitny, ale Rajfur Wielki, ale Łotra Przyjacieł na zgub Rodaka swojego zacnego dobrego, a i Syna jego młodego, dobrego. A gdy tam w dali, za wod krew, tu ty krew; i Tomasza krople za sprawą m wyciekają. O, jakże mnie ta kre w Tomasza ciekła, jak ona mnie zwiżkiem swoim z tamtejsz krwi wyciekająca przestraszała! I na łóku bólem miotany to czułem, że krew z krwi poczęta, tu wylana, do jeszcze cieższej krwi mnie doprowadzi...

Z Gonzalem zerwa , jego od siebie precz odrzuci ... Wszelako ju my my razem Chodzili, Chodzili, oj, przecie ju my razem Chodziemy, Chodziemy i jak e ja bez niego Chodził b d gdy razem chodzimy... Tak mnie noc zesła; ale z nastaniem poranka dziwna Rzecz, a ju tak ci ka, uporczywa jakby łbem o cia n ; bo Tomasz przybywa i, za odwiedziny o wczesnej porze przeprosiwszy, o to uprasza abym Gonzala w jego imieniu wyzywał! Zbaraniałem tedy i powiadam, e jak e to, po co, na co, przecie wczoraj ju dosy Gonzala pogr ył, a jak e jego wyzywa , jak z nim si strzela , przecie Krowa... Ci ko mnie odpowiedział, uporczywie:

— Krowa nie krowa, ale w spodniach chodzi, a obraza publiczna była i nie mo e to by ebym ja na tchórza wyszedł, a jeszcze przed Cudzoziemcami!

Daremne wi c perswazje moje, e jak e z krow , jak tu krow wyzywa , a ludzkim j zykom eru przysparza i mo e nowy miech ludzki rozdmuchiwa . Lepiej cicho sza, a ko ce w wod , bo i dla Ign ca wstyd. Wykrzykn ł:

— Krowa nie krowa, takie tam gadanie! I nie do Ignaca on pił, a do mnie starego! I nie w Ignaca kubek cisn ł, a we mnie! Mi dzy nami zwada i obraza była po pijanemu, jak to mi dzy M czyznami!

Ja jemu, e Krowa. Ale on si zawzi ł i wci ostro krzyczy, e Ignacy nic do tego nie miał, e tamten nie krowa. W ko cu za powiada:

— Otó ja jego wyzwa musz , strzela si z nim b d , aby ta sprawa po m sku mi dzy M czyznami załatwiona była; ju ja z niego M czyzn zrobi aby nie mówiono, e za Synem moim Puto chodzi! Owó je li mnie nie stanie, jak psa zastrzel i to jemu powiedz, eby wiedział. On mnie stan musi!

Zdumiała mnie zaci to jego, i ju to wida było, e człowiek ten nie spocznie póki Gonzala do M czyzny nie przymusi; bo chyba znie nie mógł eby jemu syna na po miewisko wystawiano; a tak on wbrew oczywisto ci samej na oczywisto si rzuca, j przemienia pragnie! Jak e tu jednak Gonzala do stawania zmusi ? Rada w rad . Rzekł mnie Tomasz, ebym najprzód sam do Gonzala pojechał i prywatnie jemu przedstawił, e Wóz albo Przewóz i albo on stanie, albo z Tomasza r ki na mier pewn si narazi. Potem dopiero drugi raz do niego jecha miałem, a ju z drugim wiadkiem, eby go pro forma wyzwa ?

Trudna rada. Niedobre, oj, niedobre to było. Lepiej by da pokój, bo ty ten post pek jak gdyby wbrew naturze samej był; jak e tu Puta wyzywa ? Ale na przekór oczywisto ci, rozs dkowi, jaka we mnie nadzieja si kołatała, e mo e on! to

wyzwanie przyjmie, jak mój czynna stanie, a wtenczas już i mnie nie taki wstyd, że z nim na przyjęciu chodziłem, a ty do Parku Japońskiego z nim chodziłem. Pójdź tedy, rzuć jemu to wyzwanie, zobacz co zrobi. Tak więc (choć mnie to Niczym Dobrym nie pachniało) pro bież Tomasza zadość czynię, do Gonzala się udałem.

Przed pałacem zajechałem, który za krótko, złocony, opuszczeniem, pustką zalatuje. Długo przed drzwiami czeka! musiałem, a gdy wreszcie otworzono, Gonzalo w nich stanął, ale w kitlu lokajskim białym, ze szczotką od podłogi i ze cirką. Przypomniałem sobie, że on ze strachu przed Chłopakami chłopakami swym własnego lokaja zwykł udawać, ale nic. Wchodzi, on cofa się, poblądł, a ręce mu zwisły jak cirką. Dopiero gdym rzekł, że z nim pogadać przyszedłem, trochę spokojniejszym stał się i mówi:

— Owszem, owszem, ale chodźmy do pokoiku mego, tam lepiej sobie pogadamy, Przez pokoje duże, złocone, do małego Pokoiku mnie prowadzi, który brudny, że nie daj Boże, a nawet łódka w nim nie było tylko na gołych deskach barłóg. Na barłogu siada i do mnie:

— Co tam? Co tam słychać? Wtenczas ja splunęłem.

Uszy mu zbieleły, zwiotczał i jak cirką zwisał. Powiadam:

— Ciebie na pojedynek Starzec, którego obraził, wyzywa. Na szable lub na pistolety.

Zamilkł, milczy, mówi więc jemu:

— Ciebie na pojedynek wyzywaj.

— Mnie na pojedynek wyzywaj?!

— Ciebie — powiadam — na pojedynek wyzywaj.

— Mnie na pojedynek wyzywaj?!

Pisał cienko bardzo, rękami zamachał, oczkiem spojrzał i rzekł Głosikiem swoim:

— Mnie na pojedynek wyzywaj?! Dopiero powiadam:

— Zostaw ty Głosik, zostaw Oczko, ręką i lepiej spełnij swój! A po przyjęciu ni ja ci to mówi, bo wiedz, że jeśli Tomas zowi nie staniesz on ciebie jak psa zabi poprzysięgnął. Masz wóz, albo przewóz.

Myślałem, że krzyknie, ale tylko sfolgował jak szmata i jemu miśki stopy duże na podłodze leżały; a włoski czarne, co na rękę ma, jemu ty tak zmiękły, sfolgowały, że jak z waty. Bez ruchu na mnie Baranim Okiem spogląda, jak krowa. Zapytałem:

— Co ty na to? Nic nie mów, a mi knie, mi knie, jak zmokła kura, i dopiero gdy tak zmiął, rozkosznie jak Królowa chił się przeciwko niej i lubo wyszeptał:

— Wszystko przez Ignatkę, Ignatkę moją!

Ze strachu więc w Kobitkę zmiął; a gdy Kobitka jest, już się nie boi! Bo i cóż Kobiecie do pojedynku! Wiąca jeszcze próbował do rozstrzygnięcia mu przemówić i powiadam:

— A, panie Arturo, zastanów się, że Starca obraził (on krzyknął):

— Starzec to furda) który Honoru swojego szarpać nie pozwoli (on krzyknął):

— Honor to furda!) a do tego w przytomności innych ziomków jego (on krzyknął):

— Ziomki to furda!) a już ci nie pozwoliłby Ojcu nie stanąć (on krzyknął):

— Ojciec to furda!) a ty i Syna sobie z głowy wybij (on krzyknął):

— Syn to mi dopiero, to rozumiem!).

W płacz; a płacząc jęczy:

— Myśmy, że ty mnie przyjacielem jesteś, przecie ja ci przyjacielem jestem. Co cię ten stary tak przekabacił, lepiej by cię, zamiast starego Ojca stron trzymał, z Młodymi się złączył, im jakiejś takiej swobody pozwolił, Młodego przed tyranami Pana Ojca bronił!

Powłada:

— Pójdź no tu bliżej, co ci powiem. Ja mówię:

— Z dala dobrze słyszysz. On mówi:

— Bliżej podejdź, tobym ci coś powiedział. Mówię:

— Po co mi bliżej, gdy słyszysz. On mówi:

— Co bym ci może powiedział, ale na ucho. Powiadam:

— Do ucha nie potrzeba, sami jesteście my. Ale powiadam:

— Wiem ja, że ty mnie za potwora masz. To jednak sprawi, że moją stroną przeciw Ojcu temu będziesz trzymał, a takich jak ja za Sól Ziemi uznasz. Powiedz mi, adnego ty Postępu nie uznajesz? Mamy w miejscu drepta; A jakże ty chcesz, żeby coś Nowego było, gdy Stare wyznajesz! Wiecznie wtedy Pan Ojciec syna młodego pod batogiem swoim ojcowskim mielibyście, wiecznie ten młody za Pana Ojca ma klepać pacierze? Da trochę luzu młodemu, wypuść go na swobodę, niech pobryka!

Powiadam:

— Szalony człowieku! Za post pem i ja jestem! ale ty Zboczenie post pem nazywasz. Rzekł mi na to:

— A jakby tak troch zboczy , to co?

Dopiero , gdy to rzekł, mówi :

— Na Boga, mów e takim jak sam jeste , a nie człowiekowi przyzwoitemu i honorowemu. To ju chyba ja Polakiem nie byłbym, gdybym Syna przeciw Ojcu buntował; wiedz e my, Polacy, nadzwyczaj Ojców naszych szanujemy; i ju ty tego Polakowi nie mów aby on syna Ojcu i jeszcze na Zboczenie uprowadzał. Wykrzykn ł:

— A po co tobie Polakiem by ?!

I mówi:

— Taki to rozkoszny był dot d los Polaków Nie obrzydła tobie polsko twoja? Nie do tobie M ki: Nie do odwiecznego Um czenia, Udr czenia? A to dzisiaj znowu wam skór łoj ! Tak to przy skórze swojej si upirasz? Nie chcesz czym Innym, czym Nowym sta si ? Chceszli aby wszyscy Chłopczy wasi tylko za Ojcami wszystko w kółko powtarzali? Oj, wypu ci Chłopaków z ojcowskiej klatki a niech i po bezdro ach polataj , niech e i do Nieznanego zajrz ! Owó to Ojciec stary dot d na rebaku swoim oklep jechał, a nim powodował wedle my li swojej... a niech e ten rebak na kiel we mie, niech Ojca swego poniesie gdzie oczy ponies ! I ju Ojcu mało oko nie zbieleje bo go Syn własny ponosi, ponosi! Hajda, hajda, wypu cie wy Chłopaków swoich, niech Lec , niech P dz , niech Ponoisz !

Krzykn łem tedy:

— Milcz, zaprzesta namowy swojej bo niepodobna rzecz abym ja przeciw Ojcu i Ojczy nie, a jeszcze w takiej jak obecna chwili! M ruku ł:

— Do diabła z Ojcem i Ojczyzn ! Syn, syn, to mi dopiero, to rozumiem! A po co tobie Ojczyzna? Nie lepsza Synczyzna? Synczyzn ty Ojczyzn zast p, a zobaczysz!

Jak o tej „Synczy nie” wspomniał, ja w pierwszym gniewie moim uderzy go chciałem; ale ju słowo to tak niem drze uszom brzmiało, e mnie miech z tego chorego a chyba Szalonego człowieka wzi ł i tak si miej , miej ... on zasi mruczy:

— Co ty tam z tym Starym... Ale tak naciskasz, e ja bym mo e (po przyja ni tobie to mówi) jemu do pojedynku stan ł. Owszem, stan łbym, gdybym za wiadka przy pojedynku Przyjaciela miał zaufanego, który by kule w r kaw przy ładowaniu

pistoletów wpu cił. Rzu starego! Co tam ze Starym! Stary niech samym prochem strzela, a tak i wilk syty i koza cała. A po poje dynku zgod zrobi i nawet by si czego napi ! Gdy ja dzielnie jemu stan i m sko swój oka , ju chyba on mnie wypii z Ignasie kiem swoim-moim nie wzbroni...

Ja znów w miech; bo ty to i miszna my l jego; ale powiadam:

— Nie jeden tylko wiadek bro ładuje, s inni wiadkowie.

Mówi:

— Co si maj spostrzec, ju to gładko obmy li mo na, przecie nie pierwszyczna to przy pojedynku Kule w R kaw. Ja mu na to:

— A jak z R kawa na ziemi upadn ? Powiada:

— W r kaw Zar kawek wszy trzeba, to do Zar kawka wpad n ; nie ma strachu.

I tak do długo bez słowa siedziemy. A w ko cu mówi (bo znów mnie miech brał):

— Ano, czas na mnie. Do drzwi mnie samych wej ciowych odprowadził, które ty zaraz zatrzasn ł eby go Chłopiec jaki z ulicy nie dojrzał. Gdy sam si znalazłem przez ulic id , ale zaraz mnie ta „Synczyzna" napadła i ju jak mucha uprzykrzona kole nosa lata, a ty jak tabaka w nosie wierci, a znowu mnie miech pusty złapał. Synczyzna! Synczyzna! A to Głupie to, Szalone, a to wariacja czysta! I marna, n dzna gadanina jego abym ja Kule w R kaw wpuszczał, a dla Puta tego Ojca i Ojczyzn zdradzał...

Ale co robi ? Oczywiście było, ze Gonzala siła ludzka nit zmusi aby przed pistoletem nabitym stan ł; a gdy zaprzysi gł Tomasz e jego jak psa zabije je li mu nie stanie, rzecz cała kryminałem zako czy si mogła. Do czego ja przecie dopu ci: nie mogłem, je li przyjacielem Tomaszowi byłem. Innej tedy rady nie ma (je li ja Tomaszowi dobrze ycz) jak tylko zwiesi Gonzala ułudn prochu samego nadziei ; gdy za on na płaci stanie, pewny, e Tomasza z ma ki za ył, my, wiadkowie, po cichu Kulami pistolety nabijemy i Kule zagwi d ! O nie, ja Tomaszowi przyjacielem byłem! Je elibym ja podstepu u ył, to tylko dla Tomasza dobra! Ale rzecz cała bez jego wiedzy załatwiona by musiała, bo on, nadzwyczajnie honorowym b d c, za nic by zgody swojej nie udzielił na intrygi tak ; i do głowy mnie przyszło, eby Gonzalowi na wiadków Barona i Pyckala narai (z którymi ja łatwo w porozumieniu wej mogłem), i z nimi wszystko, a gładko, ukartowa . Najprzód jednak z nimi rozmówi si musiałem... a ostro nie, gdy diabli tam wiedz , czy oni po

wczorajszej Tomasza klótni dalej z Gonzalem trzymaj , czy mo e ich sumienie ruszyło i (cho to, panie, mnie Pini dze wciskali) mo e im si odmieniło.

Poszedłem tedy do biura, dok d i tak mnie obowi zek do pracy mojej wzywał, ale ju to, przyznam si , jak na ci cie szedłem, bo co te to tam, jak to tam mnie po wczorajszym na owym przyj ciu Chodzeniu urz dniki koledzy moi przyjm ; gdy zamiast Sławy, Chwały Wieszcza Geniusza Wielkiego, wstyd tylko jak w Koszuli ci ki, a do tego z Puto. Dopiro my l , e najlepiej b dzie wszystko na sznapsa, lub na wini zwali i chusteczk do skroni przykładam, wzdycham, ledwie Chodz , jak to po Przepiciu. Urz dniczki z dala na mnie spogl daj , ale nic nie mówi , a tylko szeptaj i tam mi dzy sob w kupie, a po ród papierów, na mnie jak na Raroga spogl daj i szeptaj a szeptaj . Mnie nikt jednego słowa nie powiedział mo e z przyczyny nie miało ci, trwo liwo ci, ale tam mi edzi sob wci szeptali i jeden drugiemu Bułk gryzie, tamta tego tr ca; a nic tylko szepty, jak zza plotu. Mo e ty mówili, em si wczoraj str bił; a mo e i co tam Gorszego szeptano. Rachmistrz stary w papierach si swoich zagrzebał i z nici na mnie jak sroka z gał zi spogl dał, a mo e mu si co dawnego przypomniało, bo tylko szepcze, szepcze „Znajka majka Bałabajka”. Ja pijanego, a raczej jak to po Przepiciu, udawałem. Zapytałem tedy o Barona. Ale mówi mnie, e Baron z Ciumkała podjezdaków wie o kupiony ch próbuj . Poszedłem tedy, a wci z Synczyzna owa (bo ju to t Synczyzn jak zadr jaka w głowie miałem) do Szopy, która za Rajtszul , po drugiej stronie podwórza, a tam, widz , Baron na podwórzu stoi, przed nim Stajenny na kobyle du ej, szpakowatej, to st pa, to truchtem, to klusem, albo z nogi hiszpa skim lub francuskim szprynclem; dalej za na ławie Pyckal z Ciumkał siedz , piwo popijaj i podjezdka cisawego ogl daj , któremu kopyto si zalaksowało. A Pyckal wołał:

— Liposki, Liposki, gdzie masz Chom to? Baron szpicrózga machał:

— Halt! Halt! Na drabinie wróbel. Mnie do nich ci ko było wyj z szopy, a nawet bym zawrócił, wcale nie wychodził, ale Psi, które w psiarni były, ujada zacz ły i ju trudna rada; wyszedłem. Wszelako chusteczk do czoła przykładam i słabo id , a wzdycham, jak to po Przepiciu. Im te chyba nijako było ze mn po wczorajszym, wi c zaraz chusteczki przykładaj , j cz , a st kaj i rzekł Baron:

— Oj głowa boli, głowa boli, podobnie to wczoraj za du o tego dobrego było, ale niech tam, niech tam! Napij e si z nami Piwa, bo cho nie w smak piwo, po przepiciu najlepsza rzecz!

Pijemy piwo i st kamy. Ale mnie ich Pini dze doskwiraj , a ty nie wiem jak z nimi gada . Przy Ciumkale nie chciałem mówi (bom na wiadków tylko Barona i Pyckala upatrzył) a tak tylko pijemy i st kamy. Gor co i na deszcz si zbiera. Ciumkał poszedł z kołkiem do szopy, bo kluczyk zgubił, wi c to powiadam, e Tomasz Gonzala wyzwał, ale e w tym S k, Szkopuł, bo Gonzalo boi si jemu stan i za nic nie stanie. Powiadam wi c:

— Ju to niepodobna rzecz, bo przysi ga Tomasza taka, e on jego jak psa zabije, je li mu nie stanie, a to, panie, kryminał byłby. A ty niepodobna, eby my Rodakowi ci ko obra onemu jakiej pomocy nie okazali w ci kiej potrzebie jego, i trzeba co Radzi , eby jemu Gonzalo stan ł. Powiadaj :

— Pewnie, pewnie, Rodak, Rodak, a jeszcze w takiej chwili, jak tu Rodaka zostawi , Rodakowi nie pomóc! Głowami kiwaj , piwo popijaj , a na mnie spod oka spogl daj .

Ja o pini dzach wolałem nie wspomina , bo mnie nijako było. Ale mówi , e chyba nie ma innej Rady i, gdy Gonzalo chce eby bez kuł strzelanie było, jemu to przyrzec trzeba; ale cicho sza, eby o tym ywa dusza si nie dowiedziała. A tak i wilk syty i koza cała. Rada w Rad . Spogl da Baron na Pyc kala, Pyckal na Barona, ale ozwał si Baron:

— Pewnie innej Rady nie ma, ale kłopotliwa rzecz. Mówi Pyckal:

— Niewyra na sprawka.

Powiadam:

— Wiem ja, e Gonzalo ch tnie by W. Panów Dobrodziejów Przyjaciół swoich za wiadków swoich miał e to przy zwadzie byli cie obecni, a tak my by my wiadkowie, za wspólnym porozumieniem wszystko gładko mi dzy s urz dzili i, jak to zwyczajnie, kule w R kaw wpu cili; a cho to, panie, kłopotliwa rzecz, przecie intencja nasza czysta, bo o wybawienie druha, Rodaka idzie, cz łowieka ju starszego a honorowego; a ty o to, eby si imieniowi Polskiemu krzywda; nie stała w tak ci kiej Ojczyzny naszej chwili. Pyckal na Barona spojrzy, Baron na Pyckala, Baron z palców strzepn ł, Pyckal nog ruszył. Rzekł Baron:

— Za nic ja Puta wiadkiem nie b d . A Pyckal:

— Ja miałbym Puta by wiadkiem! Jeszcze czego! Ale mówi :

— Oj, ci ko, ci ko, ale trzeba, trzeba i bo Rodak w potrzebie, bo dla Rodaka, dla Ojczyzny... Dopiero westchn ł Baron, westchn ł Pyckal. Siedz , na mnie spogl daj ,! popijaj a wzdychaj . Powiadała:

— Oj, ci ko, ci ko, alej trzeba, trzeba, innej nie ma Rady, a ju dla Rodaka, dla Ojczyzny! i Ju tedy Ci ko, bardzo Ci ko. A głównie, e to nie wiadoma jest intencja. Bo diabli wiedza komu oni naprawd przysłu y si c hcieli; Gonzalowi, czy te Tomaszowi? Oni ty nie znaj intencji mojej (a głównie, e im Pini dzy nie oddałem). Ale ja ty nie znam intencji mojej i cho to Ojca Starego stron trzymam, Syncyzna młoda mnie po głowie chodzi. Ale deszcz zacz ł pada i Ciumk ała z drabiny zlazł Co jednak zacz trzeba. Pojechałem do Gonzala, eby jemu Pyckala, Barona na wiadków narai ; on mnie ciskał Przyjacielem swoim nazywał, a ju pewny, e bez kuł strzelanie, mnie złote góry obiecywał. Potem do Tomasza, któremu tyle tylko powiedziałem, e Gonzalo przyrzekł jemu na placu stan . Tomasz mnie u ciskał.

Potem do Dr Garcya pojechałem, którego mnie Tomasz jako drugiego wiadka swojego wskazał; on adwokatem był wzi tym, a dowiedziawszy si , e od Tomasza przychodz , zaraz najuprzejmiej mnie przyj ł w kancelarii swojej, przed innymi klientami. Powiada tedy (bo to w kancelarii hałas, stuk, klientów mnóstwo, akta wnosz , roznosz , a coraz kto przyst puje i przerywa):

— Ja pana Tomasza znam i jego Przyjacielem jestem, ale te Akta tam wyekspediowa , za pokwitowaniem, i nie byłbym człowiekiem Honoru gdybym w Honorowej sprawie, a zapytaj pan Pereza czy otrzymał kwity, wi c ja tego jemu odmówi nie mog , o, oby Bóg Najwyszy, tu dopisa trzeba ten Ekspedient, pozwolił mnie godnie, schowaj pan t teczk , z obowi zku mego si wywi za , list ten wysła . Pojechali my tedy do Gonzala i tam wyzwanie rzuconem zostało, które Gonzalo z odwag wielk i dum przyj ł w swym Salonie!

Gdy jednak pó nym wieczorem, a ju od zm czenia ledwie na nogach si trzymaj c, do domu powróciłem, bilet od Radcy Podsrockiego zastaj ; ebym do Poselstwa na 10- rano si zgłosił, gdzie JW. Poseł ze mn widzie si pragnie. Wezwanie to jak grom z jasnego nieba na mnie spadło, bo ju to nie wiedzie czego chc , co mnie robi , a pewnie to o ten Chód na Przyj ciu, albo i o Puto! O, czemu m cz , czemu Spokoju nie daj , mało to piwa nawarzyli, mało wstydu mnie i sobie przysporzyli! A mo e i kary jakie, gromy, na mnie spadn za błaze stwa moje!

Ale, e to i musiałem, wi c id , a tylko my l , nie gry ty mnie bo ja ciebie ugryz i nie z byle wokiem ty masz spraw , a z Człowiekiem, który tobie ko ci w gardle stanie. Id tedy. Na ulicy „Polonia, Polonia” krzyk uprzykrzony, ale id , i gdy Ojczyzny bój i krzyk niemiłosierny zewsz d słysze si daje, ja z Syncyzna w głowie id i id . W Poselstwie cicho i puste pokoje, ale id , i do mnie Podrocki Radca wyszedł w spodniach pr kowanych i w surducie, a w podwójnym kołnierzyku z muszka w zyg wi zana. Najuprzejmiej si ze mn przywitał, ale bardzo zimno, i dwa razy chrz kn wszy mnie palcem długim swym angielskim drzwi ukazał. Wchodz , a tam stół, za stołem Minister, obok za inny Poselstwa członek, którego mnie jako Pułkownika Fichcika, wojskowego attache, przedstawiono . Na stole ksi ga Protokółów i kałamarz na to wskazywały, e chyba nie zwykła rozmowa b dzie, ale Sesja jaka.

J W. Poseł blady był i niewyspany, ale gładko wygolony, Najuprzejmiej si przywitał, cho ta mo e troch jemu i nijako było... ale nic, mnie sójk w bok, powiada:

— Niech ci nie znam, piwa nawarzyłe bo si wczoraj zalał, str bił jak Nieboskie stworzenie przed lud mi, ale niech tam, było nie było...

Zaraz ty okiem łpn ł a i Fichcik z Podrockim łpn li. Poznałem wi c e całe to głupstwo, co si przydarzyło, na przepiecie zwałaj i mówi :

— Trochi tam za du o Sznapsa, niech to kolka, jeszcze mnie czkawka... Zarechotał si tedy Poseł, za nim Radca, a za nim Pułkownik.

Ale miech po niewoli, przymusowy; a chybaby mnie i co zrobili. Ale powiada Minister:

— Powidz e mnie, co to z tym panem Kobrzyckim, Majorem, podobnie zwada była; a ty , jak Pan Radca do Barona pojechał wczoraj konie ogl da , to tam Baron mówił e pojedynek b dzie. Prawda to? Widz c e ju o tym wiadomo maj , powiedziałem, e o Kubek poszło, który na Tomasza był ci ni ty. Powiada Minister:

— Mówił ty Baron, e nadzwyczaj godnym, honorowym post powanie w tej okoliczno ci Majora Kobrzyckiego było, ku zbudowaniu wszystkich Cudzoziemców temu przytomnych, a ty pewnym jest, e on pojedynek iem tym wstydu nie robi, owszem, jak rycerz, jak m godny, stanie. Otó to rzecz wa na, panowie moi, eby M stwa tego naszego pod korcem nie chowa , owszem, na cztery strony wiata go roztr bi ku wi kszej sławie imienia naszego, a ty to w chwili gdy my na Berlin, na

Berlin, do Berlina! (Tu si porwali wszyscy, a pierwszy Poseł, drugi Pułkownik, trzeci Radca i krzycz :

— Berlin, Berlin, na Berlin, na Berlin, do Berlina!)

Ja na kolana padłem. Ale zaraz krzyku swojego zaprzestali, a tylko go Radca do Protokołu zaci gn ł.

Powiada dalej JW. Poseł:

— W tej my li ja tu Panów z panem Gombrowiczem na Sesja wezwałem, eby uradzi jak i co robi . A bo nie tylko Geniuszami, My licielami, nadzwyczajnymi Pisarzami Naród nasz sławny Przesławny, ale ty to Bohaterów mam y i gdy tam w kraju nadzwyczajne dzi jest Bohaterstwo nasze, niech e i tu ludzie widz , jak to Polak staje! Co i obowi zkiem Poselstwa jest eby gruszek w popiele nie zasypia , a wszem wobec Bohaterstwo nasze ukazowa , bo Bohaterstwo nasze wroga przemo e, Bohaterstwo, Bohaterstwo Bohaterów naszych nieodparte, niezmo one trwog moce piekielne napełni, które przed Bohaterstwem naszym zadr i ust pi ! (Porwali si wi c, a pierwszy Minister, drugi Pułkownik, trzeci Radca i krzycz :

— Bohater, Bohater, Bohaterstwo, Bohaterstwo!)

Ja na kolana padłem. Ale rzekł Minister:

— Dlatego to ja po Pojedynku, da Bóg szcz liwym, obiadem wystawnym w Poselstwie pana Kobrzyckiego Majora uhonoruj ; na który ty Cudzoziemców zaprosz ; a ju my Moce Piekielne zmo emy! Radca zaraz przemow t JW. Posła zaprotokulował, a gdy pisa sko czył w zapał wpadł i krzykn ł:

— Doskonała My I, JW. Panie Dobrodzieju mój, wspaniała my !!

Pułkownik zawołał:

— Niezrównana My I Pana Dobrodzieja mego!

Mówi wi c Minister:

— A co, chyba Niezła My !! Na co jemu zakrzykn li:

— Doskonała, znamienita My !!... i zaraz do Protokołu zaci gn li. Zaci gn wszy, Radca ponownie w zapał wpadł i krzykn ł:

— Niedoczekanie, niedoczekanie Wroga naszego eby przemógł sił , Odwag nasza, a ju nie ma na wiecie całym takiej Odwagi, jak nasza! JW. Panie !JA dlaczego by przy samym pojedynku JW. Poseł nie mógł by obecnym? Owó ja wnosz eby nie tylko na Obiad w Poselstwie, ale i na Pojedynek cudzoziemców zaprosi : niech widz , jak Polak z pistoletem staje! Niech widz , jak Polak z

pistoletem na wroga, a niech e to widza! Krzykn li tedy, Minister razem z Pułkownikiem:

— Niech widz ! Niech widz !

Ja na kolana padłem. Ale JW. Poseł, do Protokułu nakrzyczawszy, skrzywił si , łypn ł i, głos ciszej c, rzekł na boku do Radcy:

— Oj kapcan, kapcan z Pana Kapcana, jak e to b dziesz na pojedynek zapraszał, przecie Pojedynek to nie Polowanie. Oj, głupstwo si rzekło; a jak tu z tego wybrn , gdy ju do Protokułu zaci gni te? Szczerwienił Radca, bazyliżkowym okiem na Ministra spojrział, ale powiada, a ciszej, na boku:

— Mo e by wymaza . Mówi Poseł:

— Jak e b dziesz wymazywał, przecie to protokul. Dopiro pobledli; i wszyscy trzej na Protokul spogl daj , który na stole le y. Ja na kolana padłem. Dopiro si głowi ; a jak tu wybrn , co pocz ?

A wreszcie rzekł Pułkownik:

— Oj, głupstwo si stało i niepotrzebnie to nam si wypsn ło; ale ja sposób mam eby wszystko jak nale y uładzi . Prawda to JW. Panie, e Pan nie mo esz przy Pojedyнку by obecnym, a ty na niego i Go ci prowadzi , bo s łusznie JW. Pan powiada, e przecie pojedynek nie polowanie... ale mo na by wła nie Polowanie urz dzi z chartami na upatrzonego, a na nie Cudzoziemców zaprosi ... i tak, gdy Pojedynek odbywa si b dzie, my nie opodał, a niby to za szarakami, przeje d a b dziemy i pod tym pozorem Polowania mo esz JW. Pan cudzoziemcom Pojedynek ukaza , a ty stosown oracj o Honorze, Czci, Odwadze naszej wypowiedzie . Powiada Minister:

— Bój e si Boga, jak e my Polowanie z chartami urz dza b dziemy, gdy ani chartów nima, ani koni! Odrzekł jemu Radca:

— Charty by si znalazły u Barona, a co do koni to ty mo na by z Rajtszuli od Barona dosta , on tam sporo podjezdaków ma! Powiada Pułkownik:

— Owszem, u Barona nie tylko konie, psy, ale i szpicrózgi, sztylpy, ostrogi si znajd . W dwadzie cia lub trzydzie ci koni, Kawalkad mo na by pojecha . Owó JW. Panie w t , albo w tamt , wóz albo przewóz, bo Protokul czeka...

Dopiro jak oparzeni skacz . Ale zawołał Minister:

— Bójcie się Boga, szaleni jesteście, a to szaraków nima, szaraków! Czyście oszaleli, jak jest polowanie na Szaraków, gdy tu miasto wielkie, a jednego szaraka ze wścieki nie znajdzie! Mruknął Radca:

— W tym się kłóci, że szaraków nima! Ja na kolana padłem. Powiada Pułkownik:

— Prawda, że szaraków ani na lekarstwo.

Ale JW. Panie Protokuł, Protokuł, przecie jako wybranie trzeba, Protokuł, Protokuł.. Dopiero jak szaleni wokół Protokułu skaczą. Ja na kolana padłem. Ale zawołał Minister:

— O Boże, Boże, jak jest to Polowanie za Szarakami, a z chartami urzędza, gdy przecie wojna, wojna! Radca zawołał:

— Protokuł! Pułkownik:

— Protokuł! Ale wykrzyknął JW. Poseł:

— Boże, Boże, a jak jest to bez Szaraków a za Szarakami?! Krzyknął wścieki:

— Protokuł! Wścieki to Rada w Radę, trudna Rada, głowicie się, stęskajcie (a już Protokuł przysmała, przysmała a w końcu zawołał Poseł jak trup błądy:

— G... g... niechcie to diabli, róbmy tedy, róbmy, gdy inaczej nie można... ale co ja będę kawalkada za szarakami urzędzał, gdy szaraków nima! A co to nie tak jak trzeba i z tej męki chleba nie będzie! Ja na kolana padłem.

Stanłowieki na tym, że koni, psów od Barona weźmiesz, a tak z chartami na smyczy Kawalkada z Damami nie opodał miejsca Pojedynku przejeżdża, jakby nigdy nic, że to niby przypadkiem za szakiem zajechali. Wówczas JW. Damom i zaproszonym Cudzoziemcom Pojedynki ukazawszy, im te Mstwo, Honor, Bójka, a ty Waleczno niezmiernie, Krew Serdeczna, Cze Niezłomna, Wiara w Nieprzepart, Moc w Najwyższym i Cud w Narodu całego. Na kolana padłem. Co postanowiwszy i do Protokuła zaciągnęwszy, dał Poseł Sesję za skończone, i z nosami na kwint zwieszonymi (bo czuli że sobie piwa nawarzyli) wszyscy „chwała, chwała, cześć, cześć” zawołali; a pierwszy zawołał Poseł, drugi Pułkownik, trzeci Radca. Ja, na kolana padłem, zaraz typrędko odszedłem.

Dopiero na ulicy folgdalem wzburzonemu uczuciu mojemu. A diabli, diabli, diabli, a niechcie to diabli, a to im się Bohatera zachciało, a Bohatera oni sobie wymyśli! Ale na Sesji musiałem iść, którą z Baronem, Pyckalem, oraz z doktorem Garcyją wyznaczon miałem dla ułożenia warunków spotkania. Niczego ja dobrego

po tej Sesji si nie spodziewałem, bo ju wida było, e my tak coraz bardziej brniemy, brniemy, a zabrniemy.

Jako nie omyliły mnie przeczucia moje. Sesja w ogródku jednej kawiarni nad rzek wyznaczona była (bo upał) ale zdziwienie, zdumienie moje; Baron z Pyckalem na ogierach du ych, skarogniadych nadje d aj . Powiada Baron:

— Ogiery trochi e my obje d ali i tu przyjechali my. Ale nie dla obje d ania oni na Ogierach przyjechali, a dlatego chyba e, wiadkami Krowy b d c, o to si trz li, eby i ich za Krowy, Kobyły nie miano. Zaraz potem Dependent dr Garcycji przybył z wiadomo ci , e Pryncypał w hipotece musi podpisywa Tramitacj , a, za nieobecno swoj najusilniej przepaszaj c, jego przysyła aby w naradzie brał udział. Trudna Rada.

My tedy Narad rozpocz li my; a pod drzewem dwa Ogiery. Ja ju bym nie wiem co dał, eby to wszystko pr dko, cicho załatwi a jak nagładziej, ale có kiedy Baron, Pyckal do niepoznaki odmienieni; owó kij pólkn li i mało co mówi , a grzeczni bardzo, nad ci, od ci, raz wraz si kłaniaj . Powiadam tedy:

— Do pierwszej krwi i 50 kroków. Powiadaj :

— Nie mo e by , do trzeciej krwi by musi i 30 kroków. Tak to, Kobyły si boj c, Pojedynek ten, al si Bo e, pusty, bez kuł, najostrzejszym, najci szym chc czyni ; a tam Ogiery im pod drzewem stoj . Nadymaj si tedy, wydymaj , sapi i (cho bez kuł Pojedynek) krwi wołaj .

Do tego co tam mi dzy sob mruzc , mi dzy sob zaczynaj . A bo ju to ze mn zaczyna nie mieli, ani z Dependentem... ale mi dzy sob wi ksza miało mieli i, gdy Ogierów swoich z nami za y nie mog , mi dzy sob tam ich sobie za ywaj i ju to tak ostro z sob , jeden na drugiego mruczy, sobie dogaduj . Bo i Zadry, Urazy dawne, pradowne si przypomniały, a to Młyn, a to Zastawa, wi c na siebie koso spogl daj , mruzc , i mruczy Baron, mruczy Pyckal, mruzc , mruzc , a jakbym ci w pysk dał, jakbym ci nabił; i Baron z kieszeni Paznokie du y, stary wyj ł, ułamany. Ale, e to ze sob wadzi si nie mogli, bo ze mn Narada, wi c tylko, do mnie mówi c, sobie przymawiaj . I powiada Baron:

— Ja ta nie Cham z Chamów, a Pan z Panów, i wszystko tu nie po Chamsku z Chamska wi skim ryjem, a po Pa sku z Pa ska w cztery Konie, bo ty ; to ja Pan, nie Cham, a matka moja nieboszczka krów nie doła, ani za stodoł nie chodziła. Powiada Pyckal:

— Kto Cham i Chamów, a kto Pan z Panów, ale ja tu jak mnie się zachce za przeproszeniem portki w biały dzień przed wszystkimi zdejm i Narobi, a przed wszystkimi, bo kto mnie co zrobi i owszem mord rozkwasz, rozkwasz ...

Takie tam gadanie! Ale Pini dze doskwiraj, co mnie dali... i ju z tymi pini dzmi nie wiadomo co robi ... bo jak tu oddawa, kiedy ju Narady rozpocze te? Niewiadoma tedy Intencja, czy przeciw Gonzalowi, czy przeciw Tomaszowi podst p; a tak nie wiadomo, czy jako ludzie honoru warunki pojedynku omawiamy, czy te spisek układamy. A je li spisek, to ty nie wiadomo przeciw komu i czy to Tomasza bronimy, czy dla pini dzy, dla tej Mamony marnej ach Słodkiej, Miłej, Gonzalowi wszystko gładko uło y pragniemy. W tym zw tpieniu chciał Baron, eby nie 30 a 25 kroków było; bo ty to im bardziej; Pojedynek szalbierstwem zalatuje, tym oni go ostrzejszym chc mie i na Ostro wszelk bardzo nastawaj. Dependent ty, panie, bałwan, Holender jaki, mo e Szwajcar, Belg, i albo Rumun, wcale si na Honorowych sprawach nie rozumiał, a wniosek dał, eby obie strony Kaucj zło yły, tytułem Gwarancji, e na placu stan, która to Kaucja rejentalnie po wiadczona by miała. Tak wszystko kulawo, jak po grudzie, a Pojedynek coraz ostrzejszy, cho bez kuli.

Tam za, za wod, kule furcz. Otó to, gdyby nie tamto za Borem, za wod, ja bym tej niespokojno ci nie miał, ale wła nie pod znakiem tamtejszej a krwawej Rozprawy nie tylko mnie, a wszystkim, bardzo ci ko, kłopotliwie i ka den medytuje, czy to tam co z tego jemu na łeb nie spadnie i eby to si czego nie doigra. Otó to, zamiast w czasie tak niebezpiecznym naszym cicho sza siedzie, my tu ten Pojedynek urz dzamy, a tak, gdy tam Kule, tu ty Kula (cho to i bez kuli). O Jezus Maria! O rety, rety! A po có to, a na có to, a jak e to, a dlaczegó to, a jaki to koniec z tego b dzie? O Chryste, Chryste miłosierny, ci ko, ci ko, ci ko!... Ale trudna rada, có robi, gdy nic innego do roboty nie ma a tylko wła nie ten Pojedynek przed nami, jako jedyny cel wszelkiego działania naszego. I dlatego to ja, cho panie mroczno i mało co wida, ale wła nie, jak w lesie, gdy kto zbł kany z dala kamie du y albo pagórek mi dzy drzewami zobaczy, do tego pagórka idzie, eby to przynajmniej cel jaki miał dla chodu swego. A oni ty id, ka den z innej strony, drogami swojemi.

Szedł wi c Tomasz, a przedsi wzi cie jego Ostre, Krwawe, bo on strzałem swoim Krow chciał zabi, Byka wywoła, Byka on strzałem przyzywał, aby Krow

zbożla co jemu Syna ha biła jedynego... O Byk, byk, byk! Szła Gonzala, cichcem, boczkim pod krzakami si przemykaj c, a ju ona jak Łasica za Chłopaczkim w szy, goni, a przed Tomaszem w pustot Pojedynku pustego ucieka. Jad ty , oj, jad , Baron, Pyckal, na ogierach swoich, ale podobnie mruzc , na siebie złym okiem spogl daj , własnej niepewni intencji. Ty i JW. Minister z Radc ci gn , nadci gaj swoj Kawalkad przez polan , przez równin , pod wierzbnami, za Sosnami, Chojarami a z Damami! Ciemny las! Puszcza rozległa, wiekowa! Lesisty obszar! O Bo e Miłosierny, o Chryste Dobrotliwy, Sprawiedliwy, o Matko Naj wi tsza, a ja ty id , id i tak Id , a Chód mój na drodze ycia mojego, w znoju ci kim moim, pod Gór , w g szczu moim. Id tedy i id , Id , a tam, u Celu mojego, i nie wiem co Zrobi , a Co Zrobi musz . O, po có ja Id ? Ale Id , Id , bo inni ty Id i tak to my wzajem siebie jak owce, ciel ta, na ten Pojedynek prowadzimy i pró ne plany, pró ne zamysły i postanowienia, gdy człowiek lud mi przymuszony, w ludziach jak w ciemnym zagubiony Lesie. Otó to Idziesz, ale Bł dzisz, i postanawiasz co, planujesz, ale Bł dzisz i niby tam wedle woli swej układasz, ale Bł dzisz, Bł dzisz i rnówisz, robisz, ale w Lesie, w Nocy, bł dzisz, bł dzisz...

Ale, gdy z takimi my lami po ulicach Chodz , natr tny gazet krzyk „Polonia, Polonia" ani na chwil nie ustaje, owszem, coraz rozgło niejszy, gwałtowniejszy... i co podobnie nie72 dobrze... co tak jakby tam co nie tak, cho to, panie , ciemno, prawie nic rozezna nie mo na, a jak we mgle, nad wod , o zmierzchu... Ale co ja widz , e to co niedobrze i chyba trzeszczy, p ka, ledwie zipie. I owó chodz po ulicach, chodz , gazety kupuj , a przypadkowo przed gmach Poselstwa zaszedłem i widz , e okna JW. Posła o wietlone. Grzeszno zamierze moich, spraw moich, niejasno , niepewno uczucia mojego to sprawiały, e z trwog na ten dom Ojczyzny mojej w. ach Przekl tej chyba spogl dałem; gdym jednak cie Posła osoby na białej firance rozeznał, nie mogłem dłu ej powstrzyma dr cz cej ciekawo ci mojej; a to wiedzie chciałem, to mnie wiedzie trzeba było, jak tam, co tam, jaka jest Prawda i jak e my na Berlin idziemy, gdy na przedmie ciu Warszawskim si bij ? Nie bacz c tedy na pó n godzin nocn jam próg gmachu Ojczyzny przekroczył i po wschodach na pierwsze pi tro si udałem. Przysi ga moja taka była, i człowiekowi temu prawd wydrze musz . Id tedy, a pusto, cicho. Cicho. Chód mój mi dzy kolumnami przepadał i gin ł, z salonu za zgłusz ony Posła chód słysze si dawał i cie zgarbiony jego na szybkach drzwi to w t , to w tamt

stron si przesuwiał. Id , id , id . Do drzwi zastukałem i długi czas nikt si nie odzywał, a kroki ucichły. Znów wi c zastukałem, a wtenczas krzykn ł Poseł:

— Kto tam? Co tam? Kto tam?... Wszedłem, pod oknem stał; widz c mnie, krzykn ł:

— Dlaczego pan bez Meldowania wchodzisz ?

Spod okna pod kominek przeszedł i r ce w kieszenie wsadził. Ale zaraz mówi:

— No, niech tam, chod pan, bo i tak rozmówi si chciałem.

Siadł na krzeselku, ale powstał i dopiero do mnie, a, panie Gombrowicz, to i owo, kołuje, bokiem, opłotkami, łypie i łypie, a w ko cu powiada:

— Na miłosierdzie Bo e, powiedz e, co ty o tym Gonzalu gadaj , podobnie on tam tego w takim sposobie Madama z M czyznami, co? I na drug stron pokoju przeszedł, tam na krzeselku siada, ale wstaje i paznokcie skubie. Ja my I , co ty to on tak chodzi, siada, wstaje, co ty to tak skubie, ale powiadam:

— Gadaj , gadaj , ale dowodu nie ma, a wyzwanie przyj ł.

— Uwa aj wi c, eby jakiego wstydu nie było, bo Kawalkad robimy, a ju zaproszenia rozesłane! Kawalkad robimy cho wojna i szaraków nie ma! A to zwariowa przyjdzie! A tu nie tingel-tangel jest, tylko Poselstwo!

Krzykn ł piorunowym głosem:

— Poselstwo — krzyczy — Poselstwo... Ja my I , co ty on tak krzyczy? Ale pod konsol stan ł i ja my I ; po có on tak Staje? Dopiero my I : a po có ja tak My I , e on krzyczy, siada, lub powstaje, odk d e to mnie krzyk jego, siadanie, wstawanie dziwnymi si stały? A i bardzo Dziwne; do tego za Puste jakie , jak pusta butelka, lub Bania. Patrz si , przygl dam i widz , e w nim wszystko bardzo Puste, a mnie I k zdj ł i my I sobie, a co to tak Pusto, mo e lepiej ja na kolana padn ?...

Owó na kolana padam, ale nic. Stan ł. Kilka kroków post pił. Znów stan ł i stoi.

Ja kl cz , ale kl czenie moje bardzo Puste.

On stoi, ale stanie jego ty puste.

— Powsta pan — mrukn ł — ale mówienie jego Puste. Ja wci kl cz , ale kl czenie moje Puste. Poszedł do kanapy i usiadł, jakby Ban ia była, lub Purchawka.

Dopiero em zrozumiał, e ju wszystko diabli wzi li. e ju si sko czyło i Przegrana Wojna. A on nie Minister.

Z kl czek tedy, z kolan moich, powstaj ... I stan łem. Stoj . On te stoi.

Powiadam tedy:

— To ju chyba ty Kawalkady nie b dzie?

Odsapn ł i na mnie łpn ł:

— Nie b dzie — mówi — Kawalkady? A dlaczegó by nie miało by ?

Powiadam tedy:

— To si odb dzie Kawalkada?

Powiada:

— Dlaczegó by nie miała si odby ? Przecie tak postanowione, e odby si ma.

Mówi wi c:

— A? To si odb dzie?

Powiada:

— Ja nie kurek na ko ciele. I krzykn ł:

— Ja nie kurek na ko ciele. I mówi:

— Za kogo ty mnie masz? Ja poseł, Minister... Ale krzykn ł naraz:

— Ja Poseł! Ja Minister! I rzecze:

— G...rzu, ja nie jestem g...rz, ja tu rz du, Pa stwa przedst awiciel! I ju dalej krzyczał, a bez przestanku i jak op tany:

— Ja Poseł, Ja Rz d, tu Poselstwo, ja Minister jestem, ja Pa stwo, ja Poseł, ja Minister, ja Rz d, Poselstwo, Pa stwo, a Kawalkada si odb dzie, odb dzie, bo Pa stwo, bo Rz d, bo Poselstwo i ja Poseł, Poseł, i Rz d, i Pa stwo i na Berlin, na Berlin, do Berlina, do Berlina! Bie y tedy pod cian , pod okno, stamt d znów do szafy i krzyczy, krzyczy wniebogłosy, e Pa stwo, Rz d, Poselstwo, e on Poseł, i dalej e krzycze , e on Poseł... Lecz krzyk jego pusty i ja gmach Poselstwa opu ciłem.

Ale Pusto. I na ulicy ty Pusto. Wietrzyk mnie lekki i wilgotny owiał, ale nie wiem dok d mam i , co robi ; i, gdy do kawiarni zaszedłem, tam Pusta Herbata. Dopiro pomy lałem, e ju koniec Ojczy nie starej... ale my I owa Pusta, Pusta i znów przez ulice id , ale, gdy tak id , sam nie wiem dok d i mam. Wi c przystan łem. I otó sucho i pusto, jak wióry, jak pieprz lub pusta beczka. Stoj tedy i my I , a dok d ja bym poszedł, co robił, bo to ani Przyjaciół, ani znajomych bliskich, a tylko na rogu,

panie, stoj ... i dopiero mnie chłaska wzięła o tej godzinie nocnej abym do Syna szedł, Syna zobaczył... Pragnienie owe niezbyt dorzecznem było, a do tego w Nocy, ale w miarę przedłużej czegoś si mojego na rogu postoję, gdy nie wiem dokąd i mam (bo i kawiarnie już pozamykane) coraz ono bardziej dojmuję. Ojciec mnie dosyć dawno umarł. Matka daleko. Dzieci nie mam, a gdy ani Przyjaciół, ani bliskich żadnych, niechże przynajmniej do cudzego dziecka zajrzę, i Syna, choć o cudzego, zobaczę. Chłaska, powiadam, zgoła sfiksowana, ale ruszyłem z miejsca; gdy załóż bez celu żadnego, sam Chód w stronę Syna mnie kieruje; i tak, niestety, niestety, ja do Syna idę (a Chód mnie stał się powolny, nie miał). Syn, Syn, do Syna, do Syna! Wiedziałem, że mimo późnej godziny zamiar swój urzeczywistnić zdołam, bo Tomasz z Synem dwa pokoiki w pensjonacie zajmowali, a, jak zwykle w południowych krajach, wszystkie drzwi otworem zostawiano.

Jako bez trudu ci do pensjonatu wszedłem i pokoik ten odnalazłem, a tam widzę: goły na łóżku leży, snem zdziwiony, i tak jemu pierś, tak barki, tak głowa i nogi, że szelma, szelma, o szelma Gonzalo! Leży i oddycha. Oddech jego mnie jak ułg przyniósł, ale z nagłą złością mnie złapała, że to ja tu do niego po noc przyszedłem a i diabli wiedza po co, w jakim celu... i tak do siebie samego powiadam:

— Oj, trzeba to, trzeba dobrze młodych pilnować, a ty ich sztorcowa! Co tak leżysz, wałkoniu? A ja bym cię do Roboty zapędził! Za czym posłał! Tobie co robi kazał! Oj, już to krótko trzymać trzeba, nie popuszczać, do roboty, do Pacierza chodzę, zagania żeby na Człowieka wyrósł... Ale leży, dycha. Powiadam więc:

— Już to batem dobrze dać, aby mores znał, w cnotę się chował, bo już to, Panie zmiłuj się, wałko do góry brzuchem leży... Ale leży. Leży, a ja stoję, i sam nie wiem co robię, po co tu przyszedłem. Owó odejść chciałem; ale odejść nie mogłem, bo Leży, a ja nie wiem po co tu przyszedłem.

Owó Leży, Leży. Tu więc mnie niespokojno jaka zdziwiona i powiadam, ale nie na głos, tylko po cichu:

— Ano, przyszedłem tutaj z niespokojno ci o przyszłość Narodu naszego, który od Wrogów pokonany, że nam i nic więcej, tylko Dzieci nasze pozostały. Oby to Synowie wierni Ojcom i Ojczyźnie byli! Tak mówi, ale ty zaraz mnie strachem zdziwiasz, po co ja to mówię i dlaczego mówię ... A tu Pusto! Nagle tak Pusto! Nagle tak Pusto jako jakby Nic... jakby niczego nie było... a tylko on tu Leży, leży, leży... Pusto we mnie i pusto przede mną. Krzyknęłam:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

Daremne wszak e Boga Ojca imi , gdy Syn przede mn , gdy tylko Syn i nic oprócz Syna! Syn, Syn! Niech zdycha Ojciec! Syn bez Ojca. Syn Samopas, Syn Rozp tany, to mi dopiero, to rozumiem!

Nazajutrz wczesnym rankiem — Pojedynek. Gdy na ł czk um ówion , która niedaleko rzeki poła ona, zajechali my, jeszcze nikogo nie było; a Tomasz pacierze odmawiał; ale wkrótce bryczka z lekarzem przybyła; i zaraz potem Gonzalo z szumem, z fukiem, w czwórki rysaków i z forysiem, a za pojazdem jego B aron wraz z Pyckalem na ogierach roślących, skarogniadych, które, ostrogami sztyfowane i uzd zdzierane, skakały i chrapały. Ju e my tedy wszyscy byli. Ja z Baronem plac odmierza zacząłem, ale ab zobaczyłem, wi c do Barona mówi :

— aby tu s . Odparł:

— S bo wilgotno. Ty dr Garcyja przyst pił do mnie i mówił, eby po piesza , bo Cesj ma a ty Tramitacj .

Znak dany został i przeciwnicy na plac wst pili. Pan Tomasz skromnie, cicho, Gonzalo zasi w blasku, w fuku wszystkich szat swoich; a to jest Rapticie z niebieskiego atłasu, kamizelka taka Atłasowa ółta Szafranowa, na to Kitelek czarny i taki Półfraczek szamerunkowy te i orderowy, dalej peleryna w podwójnym kolorze, oraz kapelusz Czarny Meksyka ski z rondem, które du e, bardzo du e. Baron z Pyckalem znowu Ogierów dosiedli. Gonzalo kapeluszem powiał, konie zachrapały. Pyckal do mnie galopem nadbie ał, konia zdarł, mnie z konia pistolety podał; a Puto ponownie kapeluszem powiał. Tomasz spokojnie na miejscu swoim stał i czekał. Ja pistolety nabijam... i kule w r kaw, w zar kawek. Dopiro pistolet Tomaszowi wr czyłem, ale pusty, drugi za taki pusty pistolet Pyckal Gonzalowi wr czył. Gdy na bok ust powali my, zawołał Baron:

— Ognia! Ognia!... ale krzyk jego Pusty, bo i lufy puste. Gonzalo kapelusz swój o ziemi cish wszy, pistolet podniósł i wypalił. Huk po ł ce si rozszedł, ale Pusto. Wróble tam na krzaczkach przysiadaly (tłu ciejsze ni u nas) ale si spłoszyły; ty i krowa.

Tomasz widz c, e jego kula Gonzalowa omin ła (a bo jej nie było) bro swój podniósł i długo, długo mierzył; ale i nie wiedział, e mierzenie jego Puste. Mierzy, mierzy, strzela, ale có , pusto, pusto; i z puku jego i nic oprócz huk. Tu słonko ju

si nieco wzbiło, przygrzewa j ło (bo mgły si rozeszły), a tu zza krzaka krowa wylazła; Gonzalo kapeluszem powiał; a z dala, zza krzaków, Kawalkada si ukazała; i najprzód wi c dwóch Forysiów, z których jeden, dwa, a drugi cztery miał charty na postronku, w lad za niemi Damy i Kawalerowie w szumnym korowodzie jad , pogaduj , pod piewuj ... i otó tak przeje d aj , przeje d aj , pierwszy za z prawej strony JW. Poseł w my liwskim rajtroku, na ogierze du ym, srokatym, dalej Radca a obok Pułkownik. Jad , jad , a niby nic, za szarakiem, cho to, panie, pusto bo szaraka nie ma... i tak, panie, z wolna przeje d aj .

To e my si na nich zagawronili, a głównie Tomasz. Ale przejechali. Dopiro pistolety nabija , ja kule w r kaw, ognia, ognia, Gonzalo kapeluszem powiał, pali z pustej lufy, ale nic; i Tomasz bro podnosi, celuje, celuje, celuje... o, jak on celował! O, jak on Celował długo, długo, pilnie, a tak ju usilnie, tak strasznie celował e, cho Pusta Lufa, skurczył si , zmartwił Puto, a ju i mnie si zdawało e nie mo e by aby mier z ty Lufy nie wypadła. Hukn ł. Ale z huku jego i nic oprócz puku. Gonzalo kapeluszem Wielkim Czarnym powiał, Pyckał, Baron konie zdarli, a na zadach siadły, do mnie za dr Garcyja przyst pił i prosił, eby po piesza , bo ma Cesj .

Wtenczas dopiero ja si mało za głow nie złapałem! I zaraz jasnem mnie si stało, e my jak w potrzask wpadli a wcale tu ko ca adnego nie mo e by i Pojedynek ten wcale sko czy si nie mo e; bo przecie on do krwi, a jak e tu krew wyst pi je li bez kul pistolety? A to to niedopatrzienie, pomieszanie nasze, pomyłka nasza, e my to przy układaniu warunków przegapili!!! Przecie oni tak przez dzie cały i noc i dzie nast pny i dalsz noc i dalej przez dzie cały puka mog , bo ja im wci Kule w R kaw i ognia, ognia, i tak bez ko ca, bez wytchnienia! Bo e, co robi , co pocz ! Ale wystrzelił Gonzalo! Strzela Tomasz! I Kawalkada z dala, za krzakami si ukazała, wi c Damy i Kawalerowie, a ty charty, i jad z wolna truchtem, albo st pa, pierwszy JW. Poseł, dalej Radca z Pułkownikiem i jad za szarakiem (cho szaraka nie ma) przejechali...

Gonzalo kapeluszem powiał. Tomasz pistolet do oka podniósł. O, jak on celował! Bo e, Bo e, Bo e, z całej duszy swojej, z mocy swojej, z całej ty jakiej uczciwo ci swojej... i brew marszczy... oczy si jemu zmru yły... a ju Celuje, tak Celuje, e mier , mier , mier pewna krwawa, tu mier , Krew by musi! Hukn ł. Ale pukn ł. I pukiem pustym chyba sam siebie zabija. Powiał Puto czarnym kapeluszem.

I Kawalkada si ukazała, a tym razem bli ej cho niby nic, mi dzy sob rozmawiaj , pogaduj , pokrzykuj , za szarakiem, za szarakiem jad ! A tu Pyckalowy ogier ogiera, na którym Baron siedział, w zad ugryzł. W zad ugryzł! Baron jego trzepn ł, ale trzepn ł jego Pyckal; wi c Baron jego z konia w łeb, bez łeb, a Pyckal w łeb! Kwikn ły ogiery.

My do nich. Ale ju poniesły, po ł ce lataj ! Baron spadł! A ty widz e tam konie w Kawalkadzie chrapi , kwicz i Damy spadaj . Wtem psów, chartów ujadanie w ciekłe słysze si dało i krzyk, j k, oj, chyba kogo dopadły, tarמוש ! My, pojedynek porzucaj c, za krzaki na pomoc pobie ymy, tu konie, Ogiery wszystkie, na kiet bior , gryz si , kwicz ... a pod psami nie kto inny, tylko lgn c z Psami si przewraca, od nich k sany, szarpany! Wrzask ludzki, psów charczenie, dławienie, lgn ca j k, koni galop, dam pisk, m czyzn głosy , w dantejsk złały si symfoni .

Tomasz „Pistolet, pistolet" zawołał i mnie z r ki pistolet wyrwał, strzela do psów; ale pusta lufa.

Wtenczas Gonzalo na tych Psów si rzucił, a z gołemi r kami, tylko z krzykiem strasznym, niebogł nym... i, po ród nich upadłszy, z niemi tarza si zacz ł, z wrzaskiem, z tarמושzeniem, ich od lgn a swego odrywaj c, jego ciałem swoim, ciałem zasłaniaj c!

A ju i forysie na psów z postronkami, z batami, z czym kto miał; inni ty skoczyli. A tak tych Psów odgonili.

Tak e i konie połapali; a kto padł był, to si z ziemi gramolił i do kupy zbierał. Tomasz Syna dopadł, a widz c e, oprócz ran powierzchownych, adnej obrazy nie odniósł, na kolanach Bogu dzi kował za niezmierzone dobrodziejstwo Jego; potem za do Gonzala dło wyci ga:

— O, ju ty mnie nie wrogiem, a Bratem, Przyjacielem b dziesz, gdy syna mojego z nara niem ycia swojego wybawił! Zaraz wi c w obj cia si wzi li z wielkim wszystkich aplauzem, a Gonzala m stwo pod niebiosa wynoszono:

— Od mierci go wybawił! Wrogowi to wy wiadczył! Mało sam nie zgin ł... lgn c ty do Gonzala dło wyci ga, ten zasi w obj cia go bierze i jak brata ciska.

Owó po strachu rado . Powiada JW. Poseł:

— No, chwali Boga e si tak sko czyło, a winy w tem niczyjej nie ma, chyba tylko ogierów i forysiów... bo gdy si ogiery gry zacz ły, forysiom psy si wyrwały i na młodzie ca skoczyły, którego niespokojno o Ojca swojego do ukrycia si w tych

krzakach przywiodła. Otó to, panowie moi, wdzi czne Panie, widzie mogli cie widomy znak Łaski Bo ej, która Ojcu syna wybawiła, Patrzcie na te gaje! Patrzcie na ziola, na krzewy, na Natur cał , która pod Niebios ogromem spoczywaj i patrzcie , jak to Polak wobec stworzenia całego wybawicielowi Syna swojego przebacza! Łaska Bo a! Przychylna natury całej! O, bo rzecz to pewna, najpewniejsza, e Polak Bogu i Naturze miły dla Cnót swoich, a głównie dla tej Rycersko ci swojej, dla Odwagi swojej, Szlachetno ci swojej, dla Pobo no ci i Ufno ci swojej! Patrzcie na te gaje! Patrzcie na Natur cał ! I patrzcie na nas, Polaków, amen, amen, amen. Wszyscy tedy „Viva Polonia Martir” zakrzykn li.

Ja na kolana padłem. A tu Gonzalo na rodek wyst pił, a Kapeluszem koło zatoczył, od czego konie znowu płoszy si zacz ty, on jednak e, na konie nie zwa aj c, tak przemówił:

— Wielki, niezmierny to dla mnie Honor, em z człowiekiem tak godnym Polakiem mógł na placu stan , a bo JW. Panie od tego wstydu niech mnie Pan Bóg broni, ebym ja komu nie stan ł, i ju to ja nikomu si w tem nie umykam, a mnie Znajdzie kto Szuka; bo ty tak rozumiem, e nie ma to dla M czyzny wi kszego skarbu, jak nieskalana Cze Imienia jego. Gdy wszak e za spraw Wyratowania od Psów Syna JMo ci ten to godny Nieprzyjaciel mnie za Przyjaciela mie chce, ja od Przyja ni tej si nie uchylam, owszem Przyjacielem, Bratem jego chc by po wszystkie czasy. I ty tak my l , e mnie tej łaski nie odmówi, aby go cin w domu moim przyj ł i dla Popicia przyja ni owej wraz z Synem swoim do domu mojego si udał; gdzie ty popijemy! Zaraz wi c wszyscy krzycze i wiwatowa zacz li, tu si ciskaj , tam całuj i Gonzalo znów w obj cia brał, najprzód Tomasza, potem Syna jego. Taki Pojedyunku koniec.

Ci ka Góra moja na pustce drogi mojej i na Polu moim, ale Pustym, Pustym, jakby tam i nic nie było. Tak, z tego wszystkiego, wraz z Tomaszem pojazdem Gonzala do pałacu jego jad ; ale nie do tego, co go w mie cie miał, tylko do Estancji o mil dwie albo trzy odległej. Za nami na bryczce Gonzalo z Ignacem jad . Jedziemy tedy po tej drodze, jak pod Gór , a tam domy, zabudowania, płotów du o, trawa, drzewka owocowe; i jedziemy, a tam psy, kury, czasem kot, dzieci si bawi , a ludzie si kr c ; i tak konie ci gn powóz, jedziemy do ostro, ale Pusto, Głucho. Tomasz w milczeniu jechał; ja tak e milczałem. A za r k m nie złapał Tomasz:

— Powiedz e ty mnie, a mo e nie jecha ... po co my tam jecha mamy? Bo niby zgoda jest, niby to ten Człowiek, owszem, honorowo si spisał i Syna mi od pewnej mierci wyratował, a przecie co mnie nie w smak zaprosiny jego... Oj, nie jed m y lepiej!... Tak mówi do mnie; ale puste słowa! Odpartem:

— Nie jed ! Je li nie chcesz, nie jed . Nie jed lepi... A to nie widzisz, e on nie tobie, a sobie Syna wyratował? Człowieku Nieszcz sny, po có ty jemu do domu Syna wozisz... i lepiej by zrobił, gdyby mu Ign ca z bryczki zabrał i uciekał precz jak od Morowej Zarazy! Takem odpowiedział, ale Puste to było, Puste, bo, cho dla spokoju sumienia mego ci kiego mówiłem, przecie em wiedział, e rada moja wła nie sprzeczny w nim skutek wywoła, a wszel kiej ucieczki mo no mu odbierze.

Jako za bat złapał i koniom po bacie łupn ł, a skoczyły! — Jazda, jazda — krzykn ł — cho by tak było, jak mówisz, nie b d ja z Ignacem przed nim umykał, bo Ign c mój nie taki, eby si miał ba zalotów jego! I batem ko nie pierze a skakaj , a ja dla spokoju sumienia mego dalej mówi :

— Uchod lepiej, Ign ca na jego sidła nie wystawiaj. We dwie godziny przed bram wielkiego ogrodu zajechali my, który po ród bezmiernych Pampy równin pióropuszem palm, baobabów, orchidej wystrzelał. A, gdy si brama otworzyła, aleja przed nami mroczna, duszna, która do Pałacu wiedzie ci ko złoconego, Mauryta skiej lub Renesansowej, Gotyckiej a te i Roma skiej architektury, w dr eniu kolibrów, o — Trans Atlantyk much wielkich złocistych, motylów ró nobarwnych, papug rozmaitych. Zawołał Gonzalo:

— A to my w domu! Witajcie ! Witajcie !

Dopiro nas ciska , pod nogi obejmowa , do domu prowadzi ! Ja si zdumiałem, a zdumiał si te Tomasz z synem swoim, widz c Salonów, Sal wielkich luxusy, które Plafonami, Parkietami, Stiukami a Boazeriami, a te Wykuszami, Kolumnami, Malowidłami, Pos gami, dalej wi c Amorkami i Refektarzami, Pilastrami, Makatami, Kobiercami, ty i Palmy, ty i Wazony, Wazy Filigranowe, kryształowe, jaspisowe, korczyki, koszyki palisandrowe, truny, kotylety weneckie albo i florenckie, a tak e lite filigrany. A jedno obok drugiego natłoczone, napchane, e nie daj Bo e, e ju głowa boli; bo to Amorek obok Maszkary, a tu na fotelu Madonna, tam na pasie Waza i jedno pod stołem, drugie za Wazonem, tam znowu Kolumna nie wiedzie sk d i po co, a obok Tarcza, albo i Półmisek. Wszelako,

widz c Tycjanów, Rafaelów, Murillów malowidła, a te i inne arcydzieła nadzwyczajne sztuki, z poszanowaniem to wszystk o ogl dali my, i ja powiadam:

— Skarby to s , skarby! — A skarby — powiada — i wła nie dlatego ja, kosztu nie szcz dz c, wszystko zakupiłem i tu do kupy zgromadziłem, eby mi troch Potaniały. Owó te Arcydziała, Malowidła, Pos gi, razem tu zamkni te, je dno drugim taniej c od nadmiaru swego, tak ju tanimi si stały, e ja ten Wazon rozbi mog (i Wazon Perski, astracha ski, majolikowy, seledynowy, a urowy nog z podstawki zepchn ł, e si ów Wazon na tysi c kawałków roztrzasn ł. Pies to lizał! Pies to lizał... A tu wła nie piesek mały przez sal bie y Bono ski, cho wida z pudlem skrzy owany, bo ogon miał pudła, a szer foksteriera. Zaraz te Majordomus przyleciał, któremu Gonzalo rozkaz wydał, aby stół zastawi , bo, mówi, najserdeczniejsi to Przyjaciele, Bracia moi! Mówi c to, Panu Tomaszowi w ramiona znów upadł, potem za mnie ciskał, a te i lgn ca.

Ale powiada Tomasz:

— Co tu psi si gryz . Jako dwa pieski, z których jeden Kusy Peki czyk, ale z kit , drugi za Owczarek (ale jakby szcurzy ogon mi ał, a pysk Buldoga) razem przez pokój, gryz c si , przebiegły. Gonzalo wykrzykn ł:

— A gryz si , gryz ! Oj ty to, nie le si gryz , patrz e Pan Dobrodziej, jak ta Madonna tego Smoka chi sko-indyjskiego gryzie, a ten zielony Dywan Perski z tamtym Murillem moim si podgryza, a te gzymsiki z tymi pos gami, diabła to, chyba b d musiał klatki im posprawia , bo si i zagryz ! Tu miechem wybuchn ł i bacik mały, co na stole le ał, złapawszy, bi nim Meble zacz ł, wołaj c:

— Masz, masz, nie gry si , do budy, do budy! I uradowany, dalej e nas ciska , całowa , głównie za Pana Tomasza, cho te i lgn ca. Zmiarkowali my, e gryzienie owo nie tylko od psów pochodziło, ale te za spraw tych mebli rozmaitych, mi dzy sob sprzecznych i skłóconych, było. Lecz powiada Tomasz:

— A tam Biblioteka.

Jako w pokoju obok, du ym, kwadratowym, ksi ek, skryptów kupy na podłodze, wszystko wywalone, jak z tacek; a pod sufit góry; tam za w ród tych gór, dopiro przepa ci, zr by, jary, usypiska, rozdoły, a ty kurz, pył a w no sie wierci. Na górach tych tedy chudzi bardzo Czytelnicy siedzieli, którzy to czytali; a mo e ich siedem albo osiem było. — Biblioteka — mówi Gonzalo — biblioteka, oj, co za kłopot z tym mam, skaranie bo e, a bo najcenniejsze, najbardziej szacowne to

dzieła geniuszów samych, najprzedniejszych Ludzko ci duchów, ale có , panie, kiedy Gryz si , Gryz , a te i Taniej od nadmiaru swego, a bo za du o, za du o, i co dzie nowych przybywa, i nikt wyczyta nie mo e, bo za du o, ach, za du o! Owó ja, panie, Czytelników zgodziłem i im słono płac , bo ju mnie wstyd, e tak wszystko Nieczytane le y, ale za du o, wyczyta nie mog , cho i bez przerwy dzie cały czytaj . Najgorzej jednak, e si ksi ki wszystkie gryz , gryz i chyba jak psy si zagryz ! Zapytałem wi c, bo wła nie piesek mały przeleciał, do wilka podobny, a te do jamnika:

— A ten z jakiej rasy? Mówi:

— To pieski moje pokojowe. W tej e za chwili Tomasz innego psa zobaczył, który w sieni le ał, i mówi:

— Ten pewnie Legawiec, ale kłapouch z niego kiepski , bo jakby Chomika miał uszy. Odpowiedział Gonzalo, e suk miał Wilczur , która chyba w piwnicy z Chomikiem sparzy si musiała, a cho potem Legawcem pokryta, z Chomika słuchami szczeni ta wydała. — A hu , a pójdziesz! — krzykn ł.

Coraz wi c nam markotniej... a cho go cinno , grzeczno jego do wzajemnej grzeczno ci nas zmuszała, trudno było ukry wzrastaj ce pomieszanie z przyczyny dziwaczno ci domu tego i człowieka tego. Tomasz zasumował si , spode łba patrzy, jak karp si naburmuszył w siskami, lgn c biedaczyna jakby kij połkn ł, wcale nic nie mówi, stoi, ja, cho to niby z Gonzalem w przymierzu, sam nie wiem czego spodziewa si po miejscu owym, które nie tyle mo e poszczególnym jakim ra cym dziwactwem, ile zespołem wielu dra ni cych szczegółów o silny nas ból głowy przyprawiało. Gdy Gonzalo, przeprosiwszy nas, do pokojów swoich odszedł eby wygodniejszy strój przywdzia , sami zostali my, ale niesporo nam do rozmowy było; i, w ciszy, much brz czenie, papug krzyk, piesków warczenie, gryzienie, w dusznym wieczoru upale słysze si dało. A tu Gonzalo powraca, ale w Spódnicy! My na ten widok zbaranieli my, a Tomaszowi krew do głowy z gniewu straszego uderzyła i byłby go mo e i trzepn ł... có kiedy to spódnica nie spódnica była! A diabła tam! Wprawdzie spódnic nało ył, biały , koronkow , ale ona krojem co troch Szlafrok przypomina; bluzka za , zielona, ółta, pistacjowa, niby bluzka, niby za koszulka. Na głowie Kapeluszu du y, słomkowy, kwiatami przybrany, w r ku Parasolka, a na nogach gołych Sandałki czy mo e Ci emki.

Dopiro zakrzykn ł:

— Hoc, hoc, do stołu prosz , zabawimy si , a niech tam! Hej, słu ba, podawa !
Ale, widz c zgorzenie nasze, dodał:

— Oj co widz , e na mnie jak na raroga spogl daj , ale ja nie raróg; i niech e to wam wiadome b dzie, e w kraju moim rodzinnym powszechnie z przyczyny gor ca nadmiernego w spódniczkach po domu chodz ; a tak nic w tym złego ni dziwnego nie ma i o pozwole stwo prosz , abym mógł dla wygody swojej ten strój nosi . Co kraj to obyczaj! A ty nieco si przyp udrowałem, bo mnie skóra od gor ca 84 pierzchnie. Hej, słu ba, zastawia , podawa , wi to dzisiaj, jazda, go w dom, Bóg w dom, całym sercem prosz , a u ciskajmy si jeszcze raz, bo to ju chyba lepszych Przyjaciół, Braci ja nie miałem, a wi to, a wi t o! I ciska, całuje, a za r ce nas złapawszy, do Jadalni bie y z pokrzykami, wykrzykami, tam za stół okr gły od pucharów, kryształów, Roztruchanów, Filigranów si ugina... a zaraz te lokaje z tacami, Półmiskami, Imbrykami, ale, panie, patrzemy, a to Pokojówki chyba! Znowu jednak patrzemy, a to Lokaje bo z W sikiem; cho mo e i Pokojówki, bo w Czepeczkach; ale chyba Lokaje, bo w spodenkach. Zawołał Gonzalo:

— A prosz je , pi , sobie nie ałowa , wi to, wi to u mnie, a dalej, a wcina !

Nalał mnie grzanego piwa; ale piwo nie piwo, bo, cho piwo, winem chyba zaprawione; a syr nie syr, owszem syr, ale jakby nie syr. Dalej pasztety owe chyba Przekładance, a jakby Precel jaki lub Marcepan; nie Marcepan jednak, a mo e Pistacja, cho to i z w tróbkki. Niegrzecznie byłoby nazbyt si owym smakom przypatrowa , wi c te jemy, winem a mo e piwem albo i nie piwem popijamy, a cho kto i długo k sek uje, jako go przełyka. Gonzalo zasi huczne serdecznej go cinno ci dawał dowody i piwk za piewał:

Oczko moje co tak strzelasz, Ubij, zabij, idzie Grzela !

A tu zawołał:

— Diabła tam, a czemu to nikt nie stoi, przecie ja specjalnego Chłopaka od Parady trzymam, eby Stał przy go ciach... Czemu to Parady nima? Hej, hej, Horacjo, Horacjo! Na to wołanie Chłopak z kredensu wyszedł i na rodku pokoju przystan ł. Gonzalo na niego:

— Ty, taki, wałkoniu, czemu nie stoisz, za co ci płac , tutaj Sta masz od Parady! A do nas mówi:

— Zwyczaj taki jest w kraju moim, a głównie w porz dniejszych domach, aby jeden sługa tylko dla Parady stał; ale wałko woli do góry brzuchem le e . Pijmy, popijajmy!

Pijemy tedy. Popijamy. Ale ci ko, ci ko, o, ci ko, jakby gdzie po polu był dził, a do tego Pusto, jak w pustej stodole i jakby słoma tylko była, pusta. Owó to, w bezbrze nej pustce duszy mojej, jakby katarynk kr cił. Wszelako patrz na Bajbaka tego, który po rodku pokoju stoi i si pogapuje, a widz , e Horacjo ów co czas pewien Rusza to tym, to owym... i tak, okiem mrugnie, albo r k ruszy, albo z nogi na nog przest pi, albo lin przełknie. Poruszenia owe wprawdzie do naturalnymi były, ale i Nienaturalny miały pozór... cho i naturalne, a ty ledwie dostrzegalne... ale co mnie si zwidziało, e on nie tylko od Parady... i, lepiej si tym Ruchom jego przypatrzwszy, to spostrzegłem, e gap ten chyba tak do Ignacego rusza. Ale Gonzalo za piewał:

Matu matu , oj to Fika Ale lepiej jeszcze Klika!

Owo si patrz , cho niby nie patrz , ale ty to patrz ... i widz , e Bajbak ten z Ignacem si stowarzysza, a w takim sposobie; co Ign c si Ruszy to i on si ruszy (cho prawie nie wida) a wła nie, jakby u Ign ca był na sznurku. Je li wi c Ign c po chleb si gnie, to on Okiem mrugnie, a je li Ign c piwa popije, to on Nog ruszy; a ciut, ciut, e prawie ruchy jego si nie zaznaczaj ; ale tak swoimi Ruchami jego Ruchom odpowiada, e jakby jemu ruchem przygadywał. Pewnie te i nikt tego oprócz mnie nie dostrzegł.

A w tej samej chwili pies du y, legawy, przyszedł si łasi ; i jak baran czarny; ale nie baran to był, bo jak kot du y z pazurami; tyle tylko e z ko lim ogonem i zamiast miaucze , jak koza beczał. Zawołał Gonzalo:

— Pód , pód , Negrito, a tu masz Ogryzek! Zapytał Tomasz:

— A ten z jakiej Rassy? Gonzalo na to:

— Suk miałem San Bernarda z wy ła i szpica domieszk , ale podob nie z Kotem Mruczkiem gdzie po piwnicach sparzy si musiała; a eby nie wiem jak pilnował, nie upilnujesz. Ale chod my do sali na cukry, tam chłodniej, przewiewniej, prosz , prosz miłych Go ci moich! Powiada Tomasz:

— Niech e nam wybaczone b dzie, ale ju si ciemnia, a drogi nie znamy, do tego pilne sprawy mam; czas na nas. Ka Pan Dobrodziej konie zaprz ga .

Zawoła:

— Nic to, nic to, ani słysze nie chc , jeszcze tego nie było ebym Go ci przed noc wypuszczał! Hej ha, hej ha, kazałem ty koła z powozów pozdejnowa !

Muchy tedy du e, zlociste, z nastaniem mroku si pojawiły i pod palmami roi si zacz ły, a gdy Papug krzyki gasn , inne glosy, jazgoty, pokwiki nocne nie wiedzie jakich Zwierz t si zrywaj i noc mantyll swoj nakrywa szumne Ba obaby. My cukry nie cukry, gaw dzimy a nie gaw dzimy i, cho nie pijani, a pijani, mi dzy Meblami, które ju nie wiedzie czy Meblami s czy mo e Wazami... ale Pusto i jak na pustyni. I, cho to co pocz , postanowi trzeba, wszelka my I, wszelkie postanowienie jak r ysko, jak Słoma, jak Badył wiatrem przewiany na rozłogach suchych. I coraz wi ksza Nico , pustka nasza. Ów za Bajbak po staremu na rodku stoi i Ignacowi w takt ruchami swoimi ta cuje, cho i nie ta cuje (bo to niby Stoi). Na koniec ulg nam sprawił gospodarz, do snu daj c hasło i sług nawołuj c, aby nas do pokojów go cinnych prowadziły.

Mnie do spania wyznaczono Pokój K pielowy, obok za Tomaszowi Buduar, w którym cacek pełno rozmaitych, głównie za Wachlarzyków, Figurynek szyldkretowych lub porcelanowych ale i Piankowych, na półkach, Konsolach, stołkach, stolikach Chi skich, za Parawanami. Ignacemu w innym skrzydle pałacu sypialnia przyznana, a st d Tomasza zgryzota bo ju jawnym si stawał zamiar Gonzalowy, eby jego osobno ci mie . Gdy w pokoju sam si znalazłem, a tyłki z zapalon wic , do silna mnie schwyciła trwoga i tak d siebie samego powiadam: o, co ty robisz, czemu si oddajesz; uwa aj, eby tobie to na Złe nie wyszło... lecz słowa moje puste puste, puste . Po raz wtóry tedy powiadam do siebie: o, dlaczego tu jeste , dlaczego z Puto przeciw Ojcu zacnemu spiskujesz wszak tobie to na Złe wyj mo e... ale jak pieprz, jak badyle suche, puste wszystko. Powiadam tedy: o, dlaczego ty te Ku w R kaw wpuszczał, dlaczego Rodaka Swojaka zdradziłe ?,, ale jak makiem zasiał, pustk zalatuje, pusto, panie, pusto,, To mnie silne złapało Przera enie, ale całkiem puste. Najdziwniejszego tedy uczucia doznałem, bo nie strach chyba, a Pustka strachu mojego mnie przera a; i ju to nie sam Strach, a tylko wła nie Strach z powodu braku Strachu. Na pustyni tedy mojej to powiadam:

— Id e do Tomasza, wyznaj win swoje, wyznaj Prawd cał , niech tu Prawda nastanie, bo tobie co złego sta si mo e, id , po pieszaj!... ale widz , e zamiast eby ja tymi słowami si wzruszył, przeraził, one jak Pusta Butelka lub Skrzynia.

Widz c wi c, em si wcale nie przeraził, takim si Przeraził, e do Tomasza pokoju jak szalony wpadłem, to krzycz c:

— Wiedz Tomaszu, przyjacielu mój, e ja ciebie zdradzam i Pojedynek ten bez kul był, bo take my z Gonzalem urz dzili! Na miłosierdzie Bo e, uchod z Synem swoim, uchod , póki czas, bo tu w tym domu przekl tym Syna ci uwiod ; i nie tobie z tymi gusłami si mierzy ! Uchod , uchod , mówi ! Tomasz na t o wezwanie i wyznanie moje z łó ka wyskoczył i, w Koszuli po ród cacek, ramiona do góry wzniosłszy, zakrzykn ł:

— Prawda to, e bez kul był Pojedynek?

Przybli a si , doskakuje, za ramiona chwytając:

— Mów e, mów e! Bez kul? Bez kul? Prochem tylko!

Gdy Starzec mnie za ramiona złapał, ja na kolana przed nim padłem w skrusze, w alu i Bole ci mojej... ale Skrucha pusta. On nic, tylko dychał, a dychanie jego ci kie, sapliwe, cały pokój, zda si , wypełniało. Pyta:

— To wy cie wszyscy w zмовie byli?

— Ja z Gonzalem.

— A inni wiadkowie?

— Baron, Pyckal tak e w zмовie.

Dycha, dycha ci ko, jak pod Gór . Powiada:

— A za có ty mnie to zrobił e ? A za có ty moich siwych włosów nie uszanował? A powiedz e co ja ci zrobiłem, e to mnie zrobił e ?

Płaczem wiec ci kim, serdecznym wybuchn łem, jego za nogi stare obejmuj c; ale łzy moje pró ne, jakby z dachu ciek .

— To samym prochem ja strzelałem? To samym prochem ja strzelałem? To samym prochem ja strzelałem?

Trzy razy powtórzył. Gniew jego poczuwszy, silniej do Nóg mu przypadłem i, głowy podnie nie miej c, gniew siwej głowy Starca starego, gniew r k dr cych, palców jak szpony zakrzywionych, oczów dawnych, Wyblakłych i ko ci suchych gniew nad sob czułem. Znów tedy do nóg jemu si tul , a bezlitosne, twarde Nogi jego!

Rzekł:

— Ano, niech si stanie Wola Bo a!

Wykrzykn łem:

— Na rany Chrystusowe, co zamierzasz?...

O, Bóg widzi, em w tej chwili we wszystkim tak post powała, jak potrzeba było, i powinny L k, Strach, Dr enie okazywałem... ale straszny mnie był mój Strach wła nie Niestraszno ci swój , o, czemu to ja u Ojca nóg gniewnych i na kolanach moich alu, Bólu, L ku czu nie mog , a tylko Słoma, siano, Badył, Badył pusty! Mówi:

— Ja ha b moje zmy musz ... ja to krwi zmyj ... ale nie babsk krwi nikczemnika tego... Tu innej, Ci szej nieco, krwi potrzeba!

Ja jemu do nóg. Ja do Nóg jego! Ale twarde Nogi. Tu głos chrapliwy, tu Włos siwy; tu zmarszczki, dło wznosz ca si , dr ca, oko na pół powiek przykryte, a przekle stwo jego tu nade mn ! Owó zadr ałem , zmartwiałem, alem na pró no zadr ał, zmartwiał, bo pró no, pró no, Pusta Lufa i Pistolet Pusty!

— Podobnie mnie i Syna mego na dudków wystrychn chciano; ale Syn nie dudek! A ja ty nie pajac! I krzyczy po ród tych cacek:

— Nie pajac!

Wtenczas poznałem, e i jemu Pusto... I otó to, jak w lasku sosnowym, gdy Sucho, Pusto, a wiatr daleki Badyle, zeschę ro liny przewiewa, nimi potr ca, szele ci, do mchów zagl da, listkami, łody kami si zabawia... a w górze sosny, chojary... Daremny krzyk! Pró ny gniew! Pieprz, macierzanka, a co przepadło, to przepadło! Ale przysun ł si do mnie Stary... przysun ł si , za r k uj ł i usta swoje do mojego ucha mi przybli a:

— Z pomoc Bo krwi to zmyj , a krew ci ka, straszna b dzie, bo Syna mego!

Powiadam:

— Co chcesz robi ? Co chcesz robi ? On na to:

— Ja Syna swojego własn r k ojcowsk zgładz i jego Zabij jego t R k moj zamorduj , No em, albo nie No em, pchn ... Krzykn łem:

— Szalony chyba! Na Boga! Co mówisz? — Zabij , zabij , bo nie mo e to by , ebym z Pustego Pistoletu strzelał... i tak ja jego zabij , Zabij ! W pustocie strachu mego pusto, pusto, spiesznie, pokój opu ciłem. Z okien Gonzala salonów wiatło mdławe ksi yca padało. Owo pewnem było, e Tomasz ten zamiar swój do skutku przywiedzie, a i nie tylko dlatego e za mieszno swój si m cił i e Syna t mierci straszny ty od po mewiska chciał ratowa . Gdy w boju morderczym

Ziemia, Niebo łun obj te na zadach, chrapi c, przysiadaj , a Wali, Rozwala si i Krzyk, Ryk, Matek j k i M ów Pi w zgrzycie i szcz ku, a w Trumien i Grobów p kaniu, w ostatecznym wiata, Natury wzburzeniu Kl ska, Zagl da ach Koniec si zbli a, gdy S d nad wszelkiem jestestwem ywem si sprawuje, on, stary, te do Boju staje! Bi si chce z Ojczyzny wrogiem! I gdy wiek pod eszły jego na Niemoc skazuje, on Syna swego jedynego do wojska oddawał na mier albo na kalectwo. I otó na szal nie tylko on Syna swego Najdro szego rzuca, ale te uczucia swoje, t Ofiar Starca ci k , krwaw . Ale marna Ofiara jego. Niestraszny siwy w łos. Czcze Starca uczucie! Bo on, z pustej lufy do Puta pukaj c, pustym stał si a mo e dziecinny Staruszkim i tylko jakiej Papki mu da , niechby jadł, albo niechby dzieci iskał, albo do wron, kawek z pukawki pukał w dzie letni! Otó niemoc Pustej Pukaniny jego. A on, t Niemoc swoja czuj c, chciał j w sobie zabi Syna swego zabijaj c... i, Syna zabijaj c, on tym synobójczym strasznym mordem swoim Staruszka pustego w sobie zabija, aby Starcem krwawym, Ci kim sta si i Starcem on chciał Przerazi , Przestraszy ! I pró ne błaganie moje! Pró ne modły moje! Bo jemu Starzec od modłów moich I kliwych urastał...

A niech to Diabli, Diabli, Diabli, Diabli, Diabli! Gdy tak z my lami si bij w szmerach, szumach, piskach, skowytach nocnych domu tego, Gonzalo sk ds i wyskakuje! — A to dopiero Stary klnie! Wszystko słyzałem, bom za drzwiami był ukryty! Po có e mu, zdrajco, o pistoletach mówił?

— Je eli słyzał, to wiesz, e zabawy twoje morderstwem si sko cz , bo on, co powiedział, spełni i Syna zabije.

Wódk buchn ł... zatoczył si , mało nie upadł... Pijany jak bela! — Chciałby on mnie lgn ka mego zamordowa — wrzasn ł — ale niedoczekanie jego, bo wła nie lgnasiek mój mnie jego zamorduje!

Po pijanemu bredził. Ale co mnie w tych słowach jego si nie podobało i mówi :

— Pijany jeste . Id lepiej spa . Po có to lgn c ma ojca mordowa ? Oj, oj, id e ty lepiej, prze pij si , głowy nie zawracaj!

— Starego lgn c zamorduje! Ja ju to sprawi , bo sposób mam na to... ja na lgn ca sposób mam!

Bzdurstwa mówił. Bzdurstw jego pijanych i słucha nie warto było! Ale co na ko cu j zyka miał, wiec go za j zyk poci gn łem:

— Jaki ty sposób na lgn ca masz? lgn c patrze na ciebie nie mo e.

Obraził si :

— O, o, o! Owszem, do mnie lubi! A ja to sprawi , e Tat zabije! Tat zabije — i mam na to Sposób! A gdy tatobójca starego pryka swojego si stanie, pewnie Pomocy i Opieki mojej potrzebował b dzie, bo kryminał, to kryminałem pachnie; i ju mi mi kszym si stanie, oj, dana, oj, dana!

Jego za gardło złapałem! — Powiedz e, co zamierzasz? Co ty tu za nowe Szale stwo, Diabelstwo roisz? Co za konszachty z tym swoim sługusem, z tym Horacjem, knujesz, co on ma do lgn ca, co on tak do lgn ca si Rusza, co ty z nim umy lił? Powiedz, bo ci zadusz ! — a on mnie w r kach zmi kł, oczami wywrócił i szepn ł:

— Oj nie ciskaj, nie ciskaj, ciskaj, ciskaj, ciskaj! Jak oparzony od szyi jego odskoczyłem:

— O! zawołałem. — Strze si , gadzino, bo ja z tob si policz ! A wtenczas on wykrzykn ł:

— Syncyzna, Syncyzna! Ja oniemiałem. A on znowu:

— Syncyzna, Syncyzna, Syncyzna! — krzyczał na cały głos, a imi to dom cały, zda si , wypełniło i na Lasy, na Pola uderzyło; i znów „Syncyzna” krzyczał, jak op tany... Gdy tak krzyczy, ja Chodzi zacz łem i ju do Chodu mego, w Chód mój uderzyłem! On dalej krzyczy:

— Syncyzna, Syncyzna, Syncyzna i Syncyzna i Syncyzna i Syncyzna! Chód mój od krzyków jego coraz si stawał pot niejszy i ju tak Gwałtowny, tak Pot ny, e chyba dom cały rozsadza razem z Krzykiem jego!

Wtem patrz , nikogo nie ma. Uciekł, szelma, widocznie krzyków si przestraszywszy swoich, a mnie samego zostawił, tylko z Chodem moim. Przerwałem Chodzenie. Sala du a, przedmiotami rozmaitymi wypełniona, ale jedno na drugie, jedno z drugim, tam Tryptyk pod Waz , ówdzie na Kandelabrze Dywan, Fotel na Krzeselku, z Maszkar Madonna... i Burdel, Burdel, Burdel, a ju bez adnego wstydu jedno z drugim si parzy jak popadnie, burdel. Piski te , skowyty, szurgoty wszelkich zwierz t, które za sob latały tam po k tach, za firankami, kanapami i, zamiast eby Pies za Suk , to Pies mo e z Kocic , albo z Wilczyc , z G si , kur , mo e ze szczurzyc Rozpłomieniony, Rozogniony i Suka z Chomikiem, Kot z Wydr , Szczur z Krow mo e, a ju wesele, Burdel, Burdel i Wesele, a nic, a

nic, a niech tam, a jazda! Jezus Maria! Chryste Miłosierny! Matko Bole ciwa! A tu przede mn z jednej strony Synobójstwo, z drugiej Ojcobójstwo!

Otó pewnem było, e Stary w zawzi to ci swojej przysi g sw spełni gotów, lgn ca no em albo i nie no em pchnie... a te pewne, oczywiste, e nie na wiatr słowa Gonzala, i e on Sposób na lgn ca ma, eby go do ojcobójstwa przywie ... a tak bez zabójstwa chyba tu oby si nie mogło i tylko w tym rzecz, czy zabójstwo owe Ojcobójstwa czy te Synobójstwa posta przyjmie... Ja przed Tomaszem, ojc em moim, na kolana pada chc ... ale znów krzyk Gonzala „Synczyzna, Synczyzna”, mnie w uszach rozległ si , uszy rozsadzaj c, wi c z kolan zrywam si do Chodu mego, w Chód uderzam, Chodz Chodz i chyba dom cały rozwalam, starego zabijam! Có mi stary! Starego zar n , zakatrupi ! Starego gdzie dopa , zdusi , Starego niechby młody zdusił! Wiecznie tedy Ojciec Syna b dzie r n ? Nigdy Syn Ojca? Chodz tedy i Chodz . Ale gdy tak Chodz , chód mój jakby dok d i zacz ł i dok d mnie wiódł (cho sam nie wiem dok d)... tam za lgn c gdzie , u piony, le y... owó Chód mój chodzi i chodzi i chodzi, a tam lgn c... i Chodz , a tam lgn c gdzie w pokoju, który jemu Gonzalo wyznaczył... wiec my l , co tak Chodził b d , do lgn ca pójd , do lgn ca... i, gdy ta my l mnie nawiedziła, Chód mój na kurytarz skierowałem, który do lgnacowego wiódł mieszkania; tam za ciemno, kurytarz, szelma, długi. A tu nog na co mi kkiego, ciepłego nast puj i, wspomniawszy na psy, jakie tutaj zewsz d si ukazywały, my l : pies nie pies. Strwo ony, zapałk za wieciłem, ale nie pies to był, tylko Chłopak du y, czarniawy, który na ziemi le y i na mnie bez słowa jednego spogl da, gały wybałuszył. Nie ruszał si . Ja przez niego przest piłem i dalej id , a zapałka mnie zgasła, ale na co nog nast puj , my l „pies nie pies”, zapałk wic , patrz : Chłopak du y na podłodze le y z du ymi bosymi stopami, ze snu zbudzony na mnie spogl da. Dalej tedy id , ale zapałka zgasła i znowu na dwóch Chłopaków nast piłem, z których jeden biały, Ry awy, drugi drobniejszy, chudy, a obaj na mnie spogl daj , ale nic nie mówi , tylko na drugi bok si przewrócili.

Id dalej. Kurytarz długi. Poj łem, e tutaj Parobcy zatrudnieni przy gospodarstwie legowisko swoje na noc maj ... co mnie i zdziwiło, bo wła ciwsze byłoby gdyby w zabudowaniach folwarcznych jaka im sionka wyznaczona była... ale ju to ka den gospodarz wedle swojej głowy rz dzi i Kiepska Rada od Pana S siada. Jednakowo od tych Chłopaków nadmiaru jaka mnie obrzydliwo

zdział, a splunęłam, ale myślała na co ty spluniesz? I, stan wszy, zapalę nową za wiecikiem Jako tam Chłopak czarniawy, do duży, leżał, na którego ja, nie chcąc, naplułam i jemu po uchu plwocina ciekła On nic nie mówi, tylko na mnie spogląda. Zapalę mnie zgasła W gniew wpadłam i myślę: co ty się bdziesz we mnie Wlepię, gdy na ciebie Pluj ... i drugi raz na niego naplułam Ale nic, cicho, nie rusza się ... Zapalę tedy za wiecikiem i widzę leżą a plwocina moja jemu ciekła. Ale zapalę zgasła, a ja myślę, cóż do wszystkich diabłów, pierwo, to ja pluj na ciebie a ty nic, draniu, łajdaku, to jeszcze raz ci Napluj w pysk w mord, żeby wiedział!... I Naplułam, ale, gdy zapalę za wiecikiem, widzę, leżą, nic, na mnie spogląda. I zgasła zapalę, a ja już na głos powiadam:

— Ty taki owaki, już ty mnie pierwo, draniu, nie przemoesz, a może ty mylisz, że ja plu przestanę, ale niedoczekanie twoje, już ja ci Napluj i plubd, ile mnie się zachce! Jako mu Naplułam, ale ani się ruszy, gdym zapalę za wiecikiem, widzę, leż na mnie spogląda. Myślę więc taka moja:

— A może on myśli, że ja tak dla przyjemności, dla Rozkoszy mojej?... I, zdrętwiawszy, dłuższy czas na nic zdobyć się nie mogłem i stoję, stoję, on leży, leży i nic, nic, czas mija, upływa... a wreszcie skoka przez niego dałem, uciekam jak od Morowej Zarazy i pędzę, lecąc, o cian jak się rozbijam, do pokoju jakiego czy te sionki wpadłem i stanęłam... bo czuję, że znowu coś przede mną leży. Cholera, draństwo, jeszcze jeden, a to końca nie ma, a to ja ci mord rozkwasz ... i zapalę wic. Owó na łóku przy cianie Ignoc leży, goły jak go matka porodziła, snem zdjety i nic, pi, oddycha. Ujrzawszy go, zmartwiałem. Owó to z pozoru jak przyzwoite spał chłopiec. Ale gdy on pi, w nim pi Łajdactwo i, o Boże, Łajdak on, nic innego, Łajdak, Łajdak, do Łajdactwa wszelkiego sposobny, a niechby tylko mu popuści, on by Łajdakiem stał się jak tamte Łajdaki!

Ranek dnia następnego gorętszy jeszcze od poprzedniego popołudnia się okazał i powietrze duszne, wilgotne; od czego poty silne, koszula mokra. Do tego duchota nieznośna na pierś, na rozum, a po kociach, miśnięch wszystkich, darcie, które do nieustannego przeciżania się, rozciżania zmuszało. I tak my niemrawo w tym poranku się babrzemy, ledwie z łódek powstajemy, z Gospodarzem się witamy i niądanie, ciżko dysząc, spływamy. Gonzalo, w szlafroku porannym, A urowym, Safianowym i w ciemkach, pi mem silnie w nosie wierci, a dłonie białe,

wypieszczon , paluszki białe, cukrowe, do kawy podsuwa. Piesków, psów rozmaitych du o... ogonem, je li który ma, to myrda. Jemy co daj , chwalemy! A Bajbak znów stoi i znowu do Ign ca ciut, ciut si Rusza, a wła nie jakby jemu na fujarce Ruchami swoimi przygrywał, ale tak nieznacznie, tak subtelnie, e i nie wiadomo czy on to do Ign ca robi, czy mo e i bez intencji adnej mimowolnie tak oko mru y lub z nogi na nog przest pi. Wszelako tak zr cznie a melodyjnie ten Błazenek Horacjo z ka dym Ign ca poruszeniem si na boku ł czył, e nic innego, jak tylko na flecie przygrywa. I sam Gonzalo to spostrzegł, bo mówi:

— Przyjemniej je przy le nym graniu.

Tomasz, któremu przez t noc chyba ze dwa krzy yki przybyło, spod powiek opadłych wzrokiem Siwym, zapadłym. a prawie przedwiecznym na te igraszki spogl da... ale nic nie mówi... i tylko „Owszem” powiada „tej niewdzi czno : Gospodarzowi naszemu okaza nie chc za Go cinno jego ebym tu dni kilka z Synem nie został; a sprawy, cho pilne poczeka mog ". Zdziwił si Ignacy, oczy wybałuszył (zaraz ty Bajbak, stowarzyszaj c si z oczami jego, z nogi na nóg s przest pił) ale Gonzala nadzwyczaj to Tomasza postanowieni ucieszyło i wykrzykn ł:

— Szcz sna to godzina! To m przyjacie! Chod my tedy do ogrodu, ko ci rozrusza . Chod chod e Ignasiek, zobaczymy kto w Palanta lepszy, a WPanów starszych Dobrodziejów prosz i upraszam eby cie s dziami zr czno ci naszej byli! Piłk z szafy wydobył, ni w Ign c cisn ł. Zarumienił si Ign c, Bajbak lin przełkn ł; ale ju do ogrodu idziemy, a za nami pieski.

Much du ych, złocistych brz czenie po ród Palm, krzewów, papug, w g szczu krzewiastych, pierzastych kwiatów i Bambusów, jak w obj cia duszne i wilgotne ogarniało, b upał silniej jeszcze na dworze ni w domu odczuwa si dawał Zwierz ta rozmaite dziwne na prawo, na lewo si płoszyły i psy du e podwórzowe wylazły, legawce, z Niuchami do nas w cha : ale Niuchy ich jak Kłapouchy. Za Ignacem Bajbc szedł, a tak zr cznie, szelma, melodyjnie, e jakby na fujarce jego st paniu przygrywał. Na ł czk wyszli my, gdzie plac Palantowy za parkanem, obok Oran erii. Wytlumaczywszy gry prawidła, które nie takie jak u nas (bo piłka, z r ki bita o cian po dwukrotnem od ziemi odbiciu, z powietrza drugi raz bita o t cian w palant, po dwóch tylko kozłach mo e by odbita), zaraz Gonzalo piłk z r ki bił o cian i drugi raz bił z dwukrotnego kozła o cian w palant; a bardzo zr cznie, Ign c poskoczył i j z palanta w kozła przyj ł, a Gonzalo zaraz poskoczył i nisko nad

ziemi j z palanta strzelił... a fyrczała; ale Ignac skoczył, dopadł, strzelił j , a fyrczy, tyle tylko e troch skantował, bokiem poszła, bokiem! Pobiegł Gonzalo za ni , a na Horacja krzykn ł:

— Czemu ty, wałkoniu, tak stoisz, nie lepiej by si do jakiej Roboty wzi ł, to utrapienie z tym b cwałem, we e palik, a tych kołków przybij tam na grz dach, bo sfolgowały! Znow piłk podbija, Ignac skoczył i j z kozła w kozła, wi c Gonzalo skosem... kr ta, kr ta idzie!... Dalej e Ignac skoka daje, wali z Palanta w Palant, tamten j ci ł w powietrzu, a plasn ła, wi c Ignac ledwie, ledwie złapał i do góry wica; a wtenczas Gonzalo z kozła! Palant! Palant grzmoc ! Grzmoc silnie, bach, bach, bach, bach, a si rozlega!

A tu Bajbak z boku buch, buch, buch, buch, kołki, co na grz dach były, palikiem przybija. Ignacy przegrywał. Gonzalo wygrywał. Na pró no Ignac skacz e, goni!... Gonzalo, lepiej wiczony, to Skosem, to Szprync podbija i piłka Ignacemu kole nosa lata. Bach, bach, buch, buch, w palanta grzmi , w palanta grzmoc ! A ty Horacjo z boku buch, buch, paliki przybija. Roze lił si Ignac i chyba ju ostatnim wys ilkiem, a czerwony i spotniały, buch piłk z kozła; a wtenczas Horacjo bach z boku w palik! Zafyrczała, Gonzalo zaledwie j odbił! Wi c Ignac znowu bach, a gdy on bach, zaraz ty jemu Horacjo do wtóru Buch palikiem w kołek... i tak tym Buch -bachem piłka furczy, leci! Znow tedy Ignac Buch, Horacjo Bach w palik i Buch -bachem piłka mknie, e Gonzalo prawie dopa jej nie mo e! Znow tedy Ignac bach w piłk , Horacjo buch w palik, jakby to razem przeciw Gonzalowi grali; Ignac zasi , czuj c, e sobie poplecznika zdobył, coraz mocniej wali... I tak, buch-bachem graj c, wygrywaj ! Ja na Tomasza spogl dam, który krzaczastymi oczami swoimi spogl da, a tu buch, buch, buch, buch, buch i co Ignac buch, Horacjo bach, a tak Buchbachem! Rozumiał e Tomasz, e to nie Palant, a zasadzka, e jemu Buchbachem tym Syna porywaj , e Syna jemu Buch-bachem uwodz ? Nic stary nie mówił. Psy si gryzły. Owó , gdy gr zako czono, Ignacy spotniały, rozgrzany, wi c dyszy i dyszy a dalej e jemu Gonzalo wieszowa , ciska , sławi nadzwyczajn zrczo jego! I tak ju poszło dalej! I ju od rana do wieczór nic, tylko Syna uwodzenie, Syna z pomoc tego Bajbaka uprowadzanie... gdy Ojciec ci ko okiem przedwiecznym spogl da Od rana do wieczora ta sama Sromota, ten sam szata ski piekielny Gonzala z amysł po ród Papug, Much brz cz cych jak w zielony, du y, w trawie, w zielsku.

Bo ju i jasnym si stało, do czego jemu ten Horacjo potrzebny. Owó stadnin ogł da poszli my, a tam muł bardzo zło liwe, niby to jak Konie chody maj, ale Osłem gryz. I mówi Gonzalo w tej duchocie, w tym upale: „a na ty mułach to nikt nie usiedzi oklep, bo zrucaj”; i zaraz Ignac mówi: „ja spróbuj”; a wtenczas Gonzalo: „Horacjo, co nic nie robisz, we e tymczasem tamte kobyły, przez dr ek, bo ona skoków zapomniała”. I gdy Ignacego muł zrzuci Horacjo ty z kobyły spadł, wi c jeden i drugi si gramol ko ci zbieraj, miechem wybuchaj, a tak ich miechy, ich Upadki si mieszaj. mieje si Gonzalo! To znowu ze strzelb mi na ptaszki, ale, mówi Gonzalo, we e ty, Horacjo, pukawk do wron za stodoł na obrywku popukaj, bo zbyt one ja kurze dzióbi ... i tak, gdy Ignac do ptaszków w gaju, ta Horacjo do wron na obrywku... i znowu strzały si mieszaj. Albo, gdy Ignac w stawie k pieli za ywa, Horacjo do wody wpadł, wi c Ignac jego za nog ucapił i na brzeg wyci gn ł. Takie to nieustanne mieszanie, takie Bajbaka tego wieczr nieustanne, uprzykrzone przygrywanie, stowarzyszanie si ze wszystkim, naprzykrzanie!

Ignacy, cho ty chyba, co i miarkował, a zły Gonzala zamiar w tym wszystkim przeczuw przeszkodzi nie mo e eby mu własne jego skoki, huki, z kimi Horacja hukami i skokami w jedno si nie zlewa jakby ju towarzyszami albo bra mi byli. Widział to wszystko Tomasz, a jakby nie widział...

Ale Pusto. I cho to wiadoma nadchodz cych spraw straszno, cho Syna uwodz, wszystko Puste, Puste, a człowiek o strach, o zgroz si modli i ich jak kania d d u wygl da bo nad strach okropniejsza Niemoc Strachu. Ale my jak Suche Badyle, jak Pró na Butelka, a te wszystko nam jak Pusta Bania. Na trzeci dzie tedy taki mnie zdj ł L k z przyczyny wła nie Braku L ku, em do sadu poszedł i tam po ród krzewów rozpacz moj, kl ski moje, grzech mój rozpami tuj c, ródło o ywczce Bólu, Zgrozy, obudzi pragn łem. Rzekłem tedy:

— Jam Ojczyzn stracił. Ale nic, pusto. Rzekłem:

— Ja z Puto na ha b Ojca si stowarzyszyłem. Ale co tam, nic. Powiadam:

— Tu mier, tu Ha ba zagra a. Ale i mało co z tego. liwki na liwce rosły i jedn zjadłem, ale wi kszy jeszcze L k mnie schwycił: e to, zamiast si l ka, liwki jem. Ale nic, pusto, jak Mech, jak Macierzanka... i liwki na cie ce jem małe, ale smaczne, a słońko przygrzewa, przygrzewa, a tu w dali Tomasza ujrzałem za drzewami... który po cie kach chodził, medytował i ramiona do gó ry wznosił, a jakby

Gromów, piorunów przyzywał... ale liwk podniósł, zjadł... Id dalej, a za krzakiem lgn c le y z wzrokiem w przestrze zatopionym i chyba my l jego wa na, Ci ka, bo zmarszczony co w sobie wa y, mo e co i postanawia... ale nic, liwk zjadł jedn , potem drug . Muchy złociste brz czały. Ja po cie kach, po alejkach chodz i liwki zajadam, a na jarzyny, na owoce si pogapuj . Ale kto za płotem Syka. Poszedłem do plotu, a tam na ł czce Bryczka, na niej Pyckal, Baron i Ciumkała, a Baron bat trzyma i konie srokate: dopiro na mnie kiwaj , sykaj .

Przez płot przelazłem. Powiadaj :

— A co tam nowego, co słyca ? Mówi :

— Chwali Boga, wszystko dobrze. Powiada Baron:

— Tu w pobliskiej Estancji tych podjezdków kupowali my, siadaj e z nami, zobaczysz, jakie chody ostre. Ale widz , e ostrogi przy butach maj , wi c powiadam:

— Na bryczce a przy Ostrogach, to pewnie konno gdzie si wybieracie.

Odrzekł mnie Ciumkała:

— Koni pod wierzch próbowali my w Estancji.

Siadłem wi c na Bryczk : a wtenczas mnie Ostrog Pyckal w łydk wraził, a em z Bólu straszego, okropnego, mało nie omdlał; oni za batem po koniach i w galop! Tu konie, batem wiczone, jak Szalone gnaj ! Tu psy wyskoczyły, szczekaj , doskakuj , ujadaj ! Tu ja z Bólu przeszywaj cego ani si ruszy nie mog , bo ostroga owa zakrzywiony szpikulec miała i, raz w ciało wra ona, jak Kleszczami si w ywym mi sie utwierdzała. Tyle wi c tylko sił miałem, em do Pyckala zawołał:

— Nie ruszaj, nie ruszaj, boli!... a on za cał odpowied Wrzasn ł, Rykn ł jak Szalony, jak Obł kaniec jaki, Pot pieniec, i nog swoj gwałtownie pokr cił. Od czego Ból Bolesny, e mnie wieczki w oczkach i zemdlałem.

Gdym zmysły odzyskał, w piwnicy jakiej si ujrzałem, słabo wiatłem z małego okienka rozja nionej. W pierwszej chwili anim zrozumie mógł sk d si tu wzi łem, ale Barona, Pyckala, Ciumkały widok, którzy na drugim tapczanie siedzieli, a głównie widok Ostróg owych strasznych, Zakrzywionych, które do butów przytwierdzone mieli, wpr dce mnie dziwno przygody mej uwid oczniły. My lałem jednakowo , e to oni chyba co popili i z przyczyny jakiej mi dzy sob Zwady, mo e i dawniejszej, to ze mn zrobili. Wi c powiadam:

— Na Boga ywego, ludzie, chyba pijani jeste cie, powidzcie mnie gdzie jestem i za co mnie prze ladujecie, bo na wszystko co wi te zaklinam si , em wam nie winien. Za cał odpowied tylko Dychanie ich Ci kie, um czone, usłyszałem, a na mnie oczami jakimi niewidz cymi spogl daj i rzekł Baron:

— Milcz, na Boga, milcz! Tak wi c siedziemy, milczemy. Wtem Ciumkała ruszył nog , Baronowi ostrog swoj wraził w udo! Zawrzasł Baron z bólu okropnego, ale nie rusza si , ruszy si boi, eby mu gł biej jeszcze szpikulec nie zalazł... i jak w potrzask złapany cicho, cicho siedzi... a tu po jakim czasie Pyck al krzykn ł i ostrog swoje Ciumkale wbił, który w ostrogi potrzasku zbladł, ale skamieniał. I znów cicho Siedz .

Godziny mijały na takim milcz cym siedzeniu, a ja i odetchn nie miałem dr c, eby mnie który z Szale ców ostrogi nie wrzepił. Nie zlicz wiele mnie my li najdzikszych dr czyło, a ju na tych obliczach zaro ni tych, zapadłych, jak Chrystus na krzy u rozpi tych, a ty Piekłem ywym gorej cych, najokropniejsze czytałem wyroki. A tu drzwi si otwieraj i nie kto inny tylko Rachmistrz stary, Ra chmistrz ten sam co to mnie Akt wci gania uczył, ten e Rachmistrz we własnej osobie si ukazał! Rachmistrz poczciwy! Ale jaka to Rachmistrza odmiana! Z wolna, jak trup blydy, do nas si przybli a, usta wykrzywione, zaci ni ta szcz ka, oko w słup, a Dr y j ak osika... nie mniejsze wszak e Barona, Pyckala i Ciumkały dr enie, nie mniejsze ich, a jakby miertelne, st enie! Ostrog miał on do buta przypit i, przybli ywszy si , tu koło mnie stan ł, a gdy nikt słowem si nie odzywa, gdy oddech prawie zapieraj , ja, jak trup, nic nie mówi , nie oddycham, siedz ... Owó chyba ze trzy albo cztery godziny my tak Przesiedzieli, jeden przy drugim, bez ruchu, bez głosu, a co tam Mi dzy Nami rosło, rosło, rosło, i, gdy ju pod Niebiosa chyba urastało, gdy od wiata wi kszym, silniejszym si stało, Rachmistrz mnie Ostrog swoje ciach, ciach!... W łydk wraził! Od czego na ziemi upadłem w Bólu najokropniejszym, i przeszywaj cym... on za krzykn ł, za głow si złapał. Na ziemi le c i ostrze owe zakrzywione co mnie w Potrzask przyłapało, czuj c, wcale ju si nie ruszałem, aby Bólu Bólem nie pomno y . I znowu cisza nastala, a mo e ze dwie albo trzy godziny trwała. Na koniec westchn ł gł boko Rachmistrz i cicho bardzo si odezwał:

— Przytwierdzi jemu do buta Ostrog . Mnie wi c Ostrog do prawego bucika przytwierdzono, on za powiada:

— Teraz do Zwi zku naszego Kawalerów Ostrogi nale ysz i Rozkazy moje masz wypełnia , a tak e dba eby tamci rozkazy moje jak nale y wypełniali. Uciezki, ani zdrady adnej, nie próbuj, bo ci Ostrog zadadz , a je eliby cho najmniej ch Zdrady, Uciezki w którym z towarzyszków twoich spostrzegł, jemu Ostrog masz wrzepli . A je liby tego zaniedbał, tobie j wrzepli . A je liby ten, kto tobie Ostrog wsadzi ma, tego zaniedbał, jemu niech inny Ostrog wsadzi. Pilnuj e si tedy, a i innych pilnuj, i na najl ejsze poruszenie uwa aj, je li nie chcesz Szpikulca dozna Bolesnego, ach, Straszniego, ach Piekielnego Szpikulca tego Diabelskiego! I, pot z czoła bladego otarłszy, ciszej powiada:

— Pofolguj mi sie , to ci wyjm .

Ale pofolgowa trudno; bo najprzód mnie Strach musiał pofolgowa . A gdy ja po długich staraniach nieco folgi u Strachu mego dla mi ni moich ubłagałem, za najl ejszym Szpikulca poruszeniem znowu mnie mi nie t ały i wieczki w oczach, w czaszce łupie, Rozsadza, oj, chyba Ziemia i Niebo p kaj ! A mnie ostrog wyszarpn ł z Krzykiem strasznym, wyj c, kopi c i taki Ból sprawił, e znowu w długie omdlenie popadłem. Gdy si zbudziłem, Rachmistrza nie było, a tylko Pyckal, Ciumkała, Baron siedz i na siebie spogl daj . Mnie w głowie posta nie mogło, abym od Przyjaciół był wi ziony, a i drzwi wcale na klucz zamkni te nie były; ot, wsta i wyj . Wszelako i obawy, abym znowu Ostrogi nie doznał, bez ruchu adnego, bez słowa siedziałem. Oni ty siedz . A w ko cu ruszył si troch Baron, a zaraz ty Ciumkała Ostrog ruszył; ale rzekł Baron:

— O pozwole stwo prosz , abym do garnka poszedł, stawy przyszykował, bo dzi kolej moja. Dopiro pozwolenie mu danem zostało i do garnka poszedł, a le Pyckal tu przy nim i Ostrog ; a Pyckala Ciumkała pilnował, ze mnie ty oczu swoich nie spuszcza c. Znów tedy silnie si tam nat yło, ale, gdy straw nagotowano, nieco sfolgowało i j kn ł Ciumkała:

— Bo e, Bo e, Bo e...

Poj łem tedy, e nie ma nadziei.

Nie b d ja Czytelnika łaskawego drobiazgowym opisem m k moich, w potrzasku owej Ostrogi za ytych, nu ył. Owó Potrzask to był, Potrzask, w który my jak szczury i jak kwiki wpadli, a wszystko za Rachmistrza spraw . I gdy co czas pewien Ostroga nieco folgowała, z urywkowych Barona lub Ciumkały zwierze , z głuchych Pyckala j ków jam si prawdy dowiadywał..

Od tego wi c si zacz ło, e po Pojedynku, gdy ja z Tomaszem do estancji Gonzala si udałem, Baron przez Ciumkał Pyckala na pojedynek wyzwał o to, e jemu Pyckal w łeb dal. Przez Ciumkał , powiadam, to wyzwanie było, bo gdy Baron z Pyckalem razem z pojedyнку wracali na ogierach swoich, Ciumkała z rowu wylazł (na nich w rowie czekał) a e to zły bardzo (my lał, e oni jego umy lnie od wiadkowania Gonzalowi odsun li, eby Interes mu zepsu i jego do Zysków nie dopu ci) wi c z rowu wylazł, a powiada:

— Ogiery, ogiery, ale lepiej by si wam Kobyły zdały, bo wy Kobyły chyba a u Kobyły za wiadków byli cie, wiec to i Kobyły... Tak im podłazi, e znowu Ogier y pl sa a skaka zacz ły, a Baron jemu butem chciał da mi dzy oczy; ale, zamiast eby jemu dal, Pyckala w udo kopn ł, bo Ciumkała na ziemi siadł. Siedzi wi c Ciumkała, a tam Pyckal Barona w ucho:

— Ty taki owaki, co mnie kopiesz?! Powiada Baron:

— A za co mnie w łeb dal ? Powiada Ciumkała z ziemi:

— Oj ty to Kobyły si gryz , deszcz b dzie!... Tu ogiery skacz , pl saj . Dopiro Baron Pyckala w ucho! Owó krew si burzy, a jeden drugiego na pojedynek wyzywa (a Ciumkała od Kobył wyzywa), a ju to tym bar dziej do tego nowego pal si pojedyunku, e sromot tamtej z Putem pukaniny zatrze pragn . Gdy tedy, tak wyzywaj c si , do Biura dojechali, prosił Baron Rachmistrza eby, jego imieniem, Pyckala ju pro forma wyzwał na szable lub na pistolety. Ale powiada Rachmistrz:

— Co ja wyzywał b d , przecie wy si kuli boicie, bo ju to jasne, oczywiste, co ludzie mówi , e Pojedynek tamten bez kuli był, wi c ty pewnie i ten Pojedynek bez kuli mie chcecie... oj, Ogiery wy, ogiery, ale z pustego Pistoletu i Prochem strzelacie... A Ciumkała:

— Kobyły, kobyły... To Baron z Pyckalem na nich, bi ich chc , ale w ko cu na wódk razem do Rajtszuli poszli. Tam Baron i Pyckal krzycz , hałasuj , e cho by Pazurami, a cho by Cepami, albo Widłami a na mier sam , do krwi ostatn iej... i sierz si , do oczu sobie, Rachmistrzowi, skacz , a to Młyn, a to Zastawa, mi dzy sob sobie dogaduj , a ju wszystkie stare urazy, wspominki, wszystkie krzywdy od wieka wieków doznane jak ywe przed oczami staj . Dopiro powiada Rachmistrz:

— Mam ja Ostrogi, które szpikulec maj silnie zakr cony, a gdy wy cepami bi si chcecie to lepiej chyba Ostrogami tymi... ale ty to Ostrogi nie dla kobył, a chyba tylko dla Ogierów!... A Ciumkała:

— Kobyły, kobyły!... Krzykn li, e Ogier! I prosz si, eby im te ostrogi przytwierdzi, e tu zaraz nimi na mier si zad gaj! Dopiro Baron Pyckalowi ostrog swoj wraził, Pyckal Baronowi i tak w Potrzask wpadli, e ani ruszy si nie mogli. Rachmistrz jak ciana pobladł, oczy jemu na wierzch wylazły i, ostrog sobie przytwierdziwszy, ich dopadłszy, tak skłuł, tak stratował, skrwawił niemilosiernie, e jak Psi wyli z Pian i w niebo ryk bił z miejsca tego Okrutnego. Odt d si ta M ka zacz ła, Golgota, ten Zwi zek, Potrzask Szata ski Diabelski.

Przyczyny, która Rachmistrza do tak okropnego Potrzasku skłoniła, z własnych ust jego bladych si dowiedziałem, gdy na noc do piwnicy wrócił. — Wszystko — powiada — aby los nasz przekl ty przemóc i natury wrogo zgwałci i odmieni!

— A bo al si Bo e — mówi — to znowu nam na tej wojnie tyłków pior. I znowu Przegrana! Przekl ty, przekl ty los! A czy to Natura nami pogardziła, e ty nic nam na Dobre, na Udane, na Szcz liwe nie chce wyj, a wszystko wła nie na Złe, na Zło liwe si obraca? A to wida Bez Kuł strzały nasze! A to pusta Lufa nasza! A to podobnie Natura nas nie chce i, wzgardliwa, za słabo nasz mierci, Zagłady nam yczy!

— Przekl ty los! Dlatego ja, Rachmistrz, widz c pana Tomasza, jak z Pustego Pistoletu strzela, to postanowiłem; e Straszny si stan i na Natur si rzuc, j zgwałc, przemog, Przera, i by si nam Los odmienił... O, zgwałci Natur, zgwałci Los, siebie zgwałci i zgwałci Boga Najwyszego! A bo nikt si Poczciwo ci naszej nie ul knie, Straszni by musimy!

— Dlatego ja — mówi — szpikulec tym Ostrogom zakr ciłem, aby w Potrzask Arcybolesny chwyały. Aby Hufiec Przemo ny Kawalerii stworzy Najstraszniejszej, która by Uderzyła, Rozgromiła, Poraziła i Los nam inny na Naturze wymusiła! O, Moc, Moc, Moc! Wi c ja was i siebie w ten Potrzask złapałem i m cz, a ju m czy nie przestan, bo przesta nie mog ... bo jakbym sfolgował to wy by cie chyba ze mnie pasy darli... Dlatego nie ma folgi! Nie ma folgi!... Tak to on mnie do ucha szepcze, a blade, trz sie si, dr y, szcz ki jemu lata j, palce kurcz si i rozwiewaj, głos to piskliwy, to bardzo gł boki.

Dopiro powiadam do niego:

— A, panie Grzegorzu, na có to tobie, przecie to ci na zdrowie nie wyjdzie, a i trz siesz si, poty tobie wyst puj. Szepn ł:

— Milcz, milcz! Trz s si , bom słaby. Ale Mocnym b d , gdy Słabo , Mało w sobie zdusz i Przera . Ty za zdrady nie próbuj, bo Ostroga! I r k drobi, który to był zwyczaj jego z dawnych czasów. Otó to dni, jak noc, ciemne, noce, jak dni, bezsenne w piwnicy owej. Ju tedy nic, tylko Ostroga i Ostroga, i tak godzinami, dniami, nocami siedziemy i siedziemy i na siebie spogl damy, a wszelki ruch nasz, wszelkie poruszenie ci kie utrudnione nam si stało we wzajemnym Sp taniu Op taniu naszym. Gdzie to Barona gracia, fupy, szyki ? Gdzi e Pyckala huczno ? Gdzie Ciumkały wieczyste lizanie? Oto jak robaki w tej piwnicy mi dzy sob si babrzemy, jeden tam z drugim si gmerze, a gdy po Nat eniu Folga, po Foldze znowu Nat enie i j k tego, kto w potrzask Ostrogi si dostał. Nawet wi c wted y, gdy co zrobi , obrz dzi trzeba było, wod zagrza , garnków wymy , zawsze we dwóch to spełnianem było, a bardzo powolnie, ostro nie, eby to bro Bo e nagłego ostrogi ciosu nie wywoła . I tak od rana do wieczora Siedziemy, Siedziemy i Milczemy, mało co mówimy, a jakby my wrogami sobie byli, cho wszystko wspólnie załatwiamy. A dopiero, gdy noc sen zmorzy (cho tam zawsze jeden z drugim czuwał), dopiero wtenczas, powiadam, gaw da nasza si zaczyna i charczy Pyckal, sapie, szumi Baron, wzdycha, gl dzi i płacze Ciumkała, a Rachmistrz pod nosem lub przez nos mamrocze. Słuchaj c tedy tych głosów pradawnych, zrozumiałem wszystk bezdenno Uwi zienia mego — bo chyba to nie Dzisiejsze, nie Wczorajsze, chyba Przedwczorajsze i jak e to Dzisiaj z tym si zмага co pewnie w zamierzchłym odbywa si czasie... Hej, ciemny bór, ciemny pradawny! Hej, puszcza wiekowa! Hej, stary Spichrz stara Stodoła, Zastawa, a i Młyn nad wod ... Przez sen tedy gwarz , a jeden z drugim si chandry czy, ten temu zipie, tamten burczy, ów co tam gada, gada, m drkuje, m drkuje, a dnia jednego Urz dniczka panna Zofia przybyła, przez Rachmistrza w potrzask przyłapana, a tego samego dnia pod wieczór Kasjer zwabiony i złapany został. Coraz wi c szumniejsze, bujniejsze ponocne Pogwary i jeden tam si miota, rzuca, drugi „chuli, buli" szepcze, albo „klumka, klumka", i od ty mowy mnie włos si je ył a serce mdlało, jakbym w piekielnych przebywał okr gach.

I w ci gu dni kilku prawie wszystkie Urz dniczki do piwnicy zwabione zostały, a i kawałka gołego na ziemi nie było, eby si człowiek mógł poło y ... W tym za cisku dawno , dawno wraca i ju jakby nie przeszłe, a Zaprzeszłe było... Wi c Pyckal Baronowi, Ciumkale złamany paznokcie pokazał, a Kasjer „Józef, Józef, nie

płacz" mówi, a Ksi gowy płacze! To znów Karasie z nagłą wypłyn ły, potem za Bułka jaka dawno nadgryziona... i znów Ostrogi cios, znów ból, m czarnia! I ju to prawie nie do wiary było, ju w głowie si nie mie ciło, głównie za za dnia; bo drzwi piwnicy tylko na haczyk zamkni te i tylko wsta , dwa kroki da , wyj na słońko, na swobod , o, Bo e, Bo e, po có tu siedzimy, o Bo e, Bo e, przecie wszyscy wyj chcemy... a tam Swoboda... W głowie si nie mie ci! Rozum si wzdraga! Wi c dnia jednego pomy lałem, e jak e to, przecie nie mo e by , przecie tu wszyscy wyj chcemy i ja Wyjd , Wyjd , o, ju Wychodz , Wychodz !... Jako powstałem i do wyj cia szedłem; oni za oczom swoim nie wierz c moje Wyj cie ledz i jakby w nich nadzieja wst powała... skamienieli... Wtem ruszył si Pyckal ; Baron krzykn ł, jemu Ostrog wraził; Pyckal na ziemi z kwikiem upadłszy, mnie dziubn chciał, ale chybił; wtenczas panna Zofia mnie swoje wsadziła ostrze; i tak my wszyscy na ziemi w Konwulsjach i z Pian ! Ale na có to, o, po có to, dlaczego to, w jakim celu, a po co, na co, a dlaczego?

I otó to Pustka! Puste wszystko, jak pusta Butelka, jak Badył, jak Beczka, skorupa. Bo ty , cho straszna m ka nasza, przecie pusta, pusta i pusty Strach, pusty Ból, a ju i sam Rachmistrz pusty, jak Pró ne Naczynie. I dlatego kresu m ce nie ma, a my tu i tysi c lat siedzie mogli my, sami nie wiedz c po co, na co. Nigdy tedy z tej pustej trumny si nie wydostan ? Wiecznie tu konał b d mi dzy tymi lud mi, w prapradawno ci swej zatopionymi, nigdy na słońko, na wol no nie wyjd ? Wiecznie podziemne ma by ycie moje?

Syn, Syn, Syn! Do syna biec, ucieka chciałem, w Synu wytchnienie, ukojenie moje! Jak to ja wzdychałem w podziemiu owym do rumianych, wie ych lic jego, do oczów ywych, błyszcz cych, do jasnych k dzio rów i jak ebym wypocz ł, wytchn ł w Gaju jego i nad Rzek . Tu, po ród potworów, a na całym wiecie Bo ym, ach chyba Diabelskim, nie miałem ja innej ostoi, innego ródła w pustce, suszy mojej, jak tylko ów Syn, który soków pełny. W tej to t sknocie za Synem , w tym moim Syna po daniu, ja Postanowienie powzi łem, którego miało ju tylko rozpacz natchniona by mogła i tak do Rachmistrza mówi :

— Dobrze to, ale za mało, za mało! Nie do tu M ki, Strachu! Wi cej du o M ki, Strachu, Bólu trzeba. I po có my, jak szczury, w piwnicy siedzimy, gdy Czynu potrzeba! Czyn jaki my speł my, aby nas Groz i Moc napełnił!

Takem radził. Owó gdyby rada moja do umniejszenia Bólu lub Grozy zmierzała, oni by mnie, jako zdrajc , Ostrog zbodli. Ale gdy rada wła nie wi ksze j straszno ci si domaga i o Czyn woła, nikt si jej oprze nie miał, a głównie sam Rachmistrz (cho bład, dr y, poty bij). Wołam:

— Tchórze! Czynu domagam si , Czynu straszego a Najstraszniejszego! Patrz na mnie, spogl daj ; wiedz , e ja to chyba z nieszczero ci mówi , e podst p w tym jaki ; ale ry wiedz , e gdyby który przeciw radzie mojej powstał, zaraz by jemu ostrog zadano (e to Straszno ci si boi). A Rachmistrz, wiedz c straszno Rady owej, ty jej odtr ci nie mo e, boby i własn Straszno mógł utraci .

Rada w rad . Powiada jeden:

— Ministra zabi . Drugi powiada:

— Mało zabi ; zam czy trzeba. Trzeci mówi:

— Mało Ministra zam czy , trzeba jemu on , dziatki zabi !

Powiada Zofia:

— Mało dzieci zabi ; lepiej O lepi . I tak, w pustce Rady Czyn coraz straszniejszy urasta, a Rachmistrz z włosem zje onym, z bładym i sperlonym czołem, głosów wszystkich wysłuchiwał, a na nich jak po drabinie do Piekieł zst pował. Ale powiadam; mało to wszystko, mało , panie Henryku i panie Konstanty, mało to, panie Grzegorz! I co z tego, e my Ministra, albo on jego zabijemy, przecie nie od dzi Ministrów zabijaj i to zwyczajny czyn, a nie do straszny. Takiego nam Czynu potrzeba, który by przyczyny adnej, powodu, ani racji nie miał, a tylko samej gołej Straszno ci, okropno ci słu ył. Lepiej tedy lgn ca, Tomaszowego syna, zabijmy, bo mier , młodzie cowi temu bez adnej przyczyny zadana, od wszystkich innych b dzie okropniejsza. I taka mier tobie, Grzegorzu, tyle Grozy przyda, e Natura, Los, wiat cały w portki przed tob popuszcz jak przed Mocarzem! Krzykn li tedy:

— Zabija , zabija !... i ostrogami si tłuk , wyj . Rachmistrz powiada Błado, przera liwie:

— Diabli, diabli, ja was st d nie wypuszcz , wy st d nie wyjdziecie !

Rada w rad . Powiadam:

— Wyj nam trzeba, bo tu ju i niczego straszniejszego nie dokonamy; a ty nie ta piwnica nas wi zi, a tylko Ostroga. Je eli wi c kup wyjdziemy, a z Ostrogami przy butach, to jeden drugiemu si nie wymknie... nie ma strachu! Ale wpierw z

panem Grzegorzem ja do Gonzala pojad , gdzie Ignac wraz z ojcem swoim przebywa i tam Mord cały obmylimy. Bo zabi niełatwo, a wszystko dobrze obmylonem by musi. A ty przy ostrogach, konno pojedziemy i ufam ja, e mnie Grzegorz szpikulcem przysmali, jakbym uciezki lub zdrady próbował. Owó radz , uradzaj , a mojej si Radzie przygl daj i Rachmistrz nosem kr ci, co jemu nie w smak przedsi wzi cie moje. Alem krzykn ł:

— Kto tchórz, słaby, kto si boi albo i wykr tów szuka, temu odwagi szpikulcem podpu ci ! I krzykn ł, Rykn ł Rachmistrz:

— Rady nie mog nie przyj , bo ona Diabelska!

Na koniach tedy dwóch bułanych, które z Rajtszuli nam dano, do Gonzala estancji przez pola p dzimy; i Rachmistrza galop obok galopu mego si rozlega! P dzi Rachmistrz! Ja W, obok p dz . Bezczesna r ównina! Daleko niezmiernona, która czoło chłodzi i chyba ze strzelb za ptaszkami, szarakami, albo gdzie pod miedz wytchn , usn ... lecz z nami Ostroga.

I z nami Czynn nasz, którego dokona musimy. I nie wiem ju czy ja Katem, Oprawc do syna p dz , czyli jak do ródła abym sobie wargi spieczone od wie ył... a łskot Pustego Galopu, łskot Pustki naszej na tych pampy r ówninach i pustych obszarach jak Dzwon, jak B ben jaki si rozlega! Bo e, Bo e, jak e to ja katem jad , p dz , jak e katem b d synowi mojemu!

I gdy my do du ego kasztana dojechali, Rachmistrza koniowi Ostrog wrzepilem od czego Kwik, Skok, łamie si ostroga, ko ze łbem mi dzy nogami ponosi i kat mój Oprawca, koniem własnym poniesiony, w najdalszych rozplyn ł si r ówniny mgiełkach.

Sam na tych ł kach zostałem. O, jak Pusto, Cicho, o, jaki Robaczek, o, ptaszek na gał zi przysiadł... Ale Syn, Syn, do Syna, do Syna! W galop tedy i Syn, do Syna, Syn, do Syna, kopyta ko skie o ziemi łskocz ! I ju przede mn esta ncji Gonzalowej baobaby, ju k pa zielona drzew, krzewów wykwiata... ale có to za łskot z łskotem konia mego si miesza, no e to kołki gdzie wbijaj , mo e i bielizn pior ... bo gdy u kopyta ko skie buch, buch, to tam Buch i Bach i Buch, i gdy ko mój buch-buch, buch-buch, to tam Bach-Buch Buch i Bach za drzewami si rozlega! Otó to w palanta grali! z konia zsiadłszy, zza drzewa wybiegam, a tam Gonzalo z Ignacem w palanta graj , Horacjo zasi z boku na palikach gn cemu

towarzyszy; i co Ignacy Buch w piłk , to Horacjo Bach w palik, Buch-bachem wal !
Tomasz po sadzie chodził, liwki jadł...

Zobaczywszy mnie, biegn wita , lecz krzykn ł Gonzalo, r ce wznosz c do
góry:

— Na Boga, ty chyba z grobu wstałe , có e tak zmarniał ?

Zaraz tedy mnie je , pi dano, a ty i wymyto, bom ledwie usta si mógł o
własnych siłach. Potem na ławce w sadzie od drzewem usiadłem i pytał mnie
Gonzalo:

— Bój e si Boga, gdzie to znikn łe , co z tob przez te dni si działo? a
prawdy jemu powiedzie nie mogłem, bo ty w niczym on mnie nie mógł by
pomocnym, a pewnie by i nie uwierzył; tak niepodobna do prawdy owa prawda była.
Powiadam tedy, em, na pole wyszedłszy, z nagła zaniemógł; a, przytomno
straciwszy, i do szpitala przez ludzi zawieziony, tam przez dni wiele mi dzy yciem i
mierci zostawałem. Spojrzał si na mnie, a chyba szczer o słów moich nie ufał,
bo podejrzliwo we wzroku jego wyczytałem. Ale co mnie Gonzalo, co mnie Po cig
Rachmistrza i Zemsta Kawalerów Ostrogi gro ca, gdy Syna widz , gdy Syn przede
mn , a głos jego wie y, rze kie miechy, ruchy, całego ciała rado , zr czno ! I
ł ka, gaj chyba nad rzek , wie y, chłodny...

Co to, jednak, co to? Jaka tych Ruchów, tych miechów odmiana! A có to si
dzieje? I jaka Bajbaka miało ! Bo ju oni, panie, tak Jeden z Drugim tak Jeden do
Drugiego, e prawie taniec to jest, taniec, nic innego. Gdy tedy jeden R k Machnie,
drugi Nog zadrze. Gdy jeden na drzewo wlizie, to drugi na bryczk , wi c to jeden
wi nie, drugi Pry nie, ten liwk zji, tamten ul gałk , tamten Pr ychnie, ten Kichnie,
a gdy jeden Skoczy, drugi zamknie oczy. I takie to Wtórowanie, Przygrywanie
nieustanne, jeden drugiemu, jeden do drugiego, a jakby do wiersza, takie to
Stowarzyszenie wieczne, nieprzerwane, wszelkim ruchem, poruszeniem, e chyba
jeden bez drugiego kroka da nie mo e. Gonzalo zasi przytupywał, przyklaskiwał i
ju to cieszy si , cieszy, a ci emki gubi i matinki.

Tomasz na boku liwki ji; ale bez przerwy na wszystko spogl da. A tak
Spogl da Tomasz, przytupuje Gonzalo, Buchbach rozgłosem swoim chłopców obu
ł czy pod drzewami, pieski legawe kłapouchemi niuchami swoimi w chaj , ale
Pusto, Pusto... i ju to ten Buch-bach jak Pusty B ben. W pustce za grzmotów
B bna tego owoc zabójstwa dojrzewa, i tylko nie wiadomo; Synobójstwo, czy te

Ojcobójstwo? A tam w piwnicy dalekiej ju pewnie mnie Kar , Zemst przysi gaj i z pian m ki na mnie Tortury wzywaj . Tu muszki brz czały. A nad wieczorem Gonzalo na osobno mnie wzi ł, i pod ebroszturchn wszy, wykrzykn ł:

— Widziały , jak Ign c z Horacjem moim si pokumał ? Jak jego Horacjo do zabawy wci gn ł ? Otó to z nich par skarogniadych mam rebaków, którymi gdzie zechc , zajad !

I zata czył. Ale zapytał:

— Co to za kulig?

— Jaki kulig? — mówi . Rzekł:

— A bo Radca Podsrocki tu konno zajechał i mnie w sekrecie szepn ł e JW. Minister z go mi swoimi, kuligiem do domu mojego zawita; który to zwyczaj jest wasz narodowy, eby Kuligiem Zaje d a . Co mnie w sekrecie Radca zwierzył, ebym troch dom przygotował, jadła uszykował.

Tu krzykn ł:

— Ta ca si JW. Posłowi zachciało! A po co dom mój nawiedza? Nie wiem. Spod oka Oczkiem na mnie spojrział i mówi:

— Zdrajco, gdzie ty byłeś , co robiłeś , z kim si kumałeś , czy przeciwko mnie nie spiskowałeś ? — Ale cho by i co spiskował, za pó no, za pó no... bo ju dzi siejszej nocy Ojciec trupem padnie, Ojca dzi zakatrujemy!

My pod kasztanem na ławce siedzieli my a, e to jeszcze bardzo słaby byłem, głow o por cz oparłem bo mnie si trz sła. Pytam wi c jego:

— Co zamierzasz?

— Buchbach! — zakrzykn ł. — Buchbachem, buchbachem!

— Co mówisz ? Co mówisz ?

— Buchbach, buchbach, buchbachem, buchbachem!

— Co zamierzasz? Jakie zamierzenia twoje?

R czkami wokół figluj c zawołał:

— Pami tasz, jak to dawniej gdy Ign c buchn ł, Horacjo jemu bachn ł z boku w odpowiedzi ? Tera tak si pokumali, e gdy Horacjo buchnie, Ign c jemu bachnie! A ju tak si zgrali, e nie mo e by , aby jeden nie buchn ł, kiedy drugi bachnie! Wszystko wi c po my li mojej, wedle zamiaru mojego! I, nocy dzisiejszej, Starego Buchbachem trza niemy, bo, gdy Horacjo jego buchnie, Ign c z samego rozp du, cho to i Ojciec, bachn musi. A tak on Ojca swojego zabije! Ani si spostrze e!

I wybiegł mi dzy drzewa pl sa . Mnie, mimo słabo ci W mojej, miech złapał i, od miechu cały roztrz siony, wołam:

— Bój e si Boga, to take to umy lił? Buchbachem! Buchbachem! Przeszał pl sa i rzekł:

— Buchbachem i stanie si to, jak Bóg na niebie, buchbachem, buchbachem i ja ci powiadam, e si stanie, stanie...

Na prawo, na lewo spojrziałem: tam krzaczki, porzeczki, a promienie s łoneczne przez li cie migocz , tam dali Horacjo z Ignacem przy beczce... a dali Tomasz po sadzie chodzi, liwk podniesie, obejrzy, zji. Otó ju powiedzie miałem Gonzalowi, eby dał pokój z gadaniem takim, bo Niemo liwa Rzecz... gdy Pies du y wilczur przyszedł si łasi i jak Baran bekn ł; i ogonem myrda, ale ogon szczurzy. Znów tedy na Gonzala patrz w osłabieniu mojem, ale nie Gonzalo to chyba, a Gonzala, i nie R ka, ale R czka pulchna Mała cho du a, włochata; i palce Cukrowe, Cienkie, cho Du e Paluchy, a Paluszki chyba; i Okiem mru y, mruga, ale Oko Oczko... Powiadam do niego:

— Niemo liwa to rzecz, niemo liwa... i ty tego chyba nie zrobisz, bo jak e Buchbachem, Buchbachem... Podskoczył. Pofiglował. — Buchbachem! Buchbachem! A gdy Ignasieniek mój Star ego swojego buchbachem napocznie, pewnie dla mnie mi kszym, łaskawszym b dzie, bo przecie Kryminał!

Tam Ign c z Horacjem beczk toczyli. Dali w sadzie Tomasz spaceruje. Rzekłem wi c:

— Ty tego nie zrobisz... Nie rób, nie rób tego... ale słowa moje jak Piep rz, Badył i ju pustka we mnie taka zago ciła, e nawet mnie nie odpowiedział, a tylko paznokietki pod wiatło ogl da. Dopiro wstaj i mówi :

— Troch po sadzie si przejd ... a cho ledwie mnie nogi niesły od niego odszedłem. On na plac Palantowy pobiegł. Ja po sadzie chodz i tak my l sobie:

— A to jego Buchbachem trzepn ...

Ale Tomasz po cie kach chodził, i do niego przyst piłem; zaraz jednak na murawie przysi musiałem bo mi nogi mdlały. Siedziemy wi c na murawie pod liwk i powiada Tomasz:

— Widziałe , jak to Ign c z tym Horacjem si pokumał? Ano, niech e jemu na zdrowie b dzie! A ja tu tak sobie chodz i dumam... ale chyba ju niedługo tego... Zapytałem:

— My lisz to zrobi , co mi mówił? Mówi:

— A tak, a tak.

Na murawie chłodno, przyjemnie... ty ptaszki wiergoc ... i zapachy drzew, owoców, krzewów, a Mały Robaczek po trawie się wspina... Ale powiadam:

— Na Boga ywego, to ty jeszcze w zamiarze swoim trwasz? Odpowie:

— A tak, a tak... ja Syna zabije... Słysz c to, co jemu odpowiedzie chciałem, ale co tam gada ... a Buchbach znowu się ozwał i jak w B ben wal i głos B bna Pustego po ród drzew, krzewów, papug, kolibrów pierzastych, a pod palmami, kaktusami... Nasłuchuj c pogłosów owych Tomasz głów schylił, dło z dłoni płasko zł czył i mrukn ł:

— Jutro, jutro, jutro...

Much du ych złocistych brz czenie i papug krzyk mnie coraz bardziej usypiały. I tak my lałem:

— Zabije, no to zabije. Zakatrupi, to zakatrupi. Tamci jego zakatrupi , no to tamci jego. Mnie Ostrog zdybi , no to zdybi . Kuligiem przyjad , to przyjad ... Gonzalo owoców przynie kazał, jedli my owoce, potem wieczerz podano w letniku... a ju tak dziwny na legumin Mieszaniec jaki Przekładaniec, e jak Precelki, ale to Wafelki. I my l :

— Dziwnie się plecie na tym bo ym wiecie!... Tak my l , a Bajbak z Ignacem prawie razem jedz , bo gdy jeden ty k zupy połknie, drugi chlebem zagryzie... ale my l :

— Razem, to razem! Ju tedy za du o tych Dziwów, za du o, za du o, i niech się dzieje co chce, byle spocz , byle wypocz .

Ale gdy noc ziemi mantyll swój ogarn ła, a du e wiec ce robaczki pod drzewami, gdy z mroków ogrodu zwierza wszelkiego odgłosy, a ju Szczek Miaukowaty albo Chark Kwicz cy, spokojno , osowiało moja niespokojno ci j ła się wypełnia . I my l :

— Jak e ty się nie boisz, je eli Ba się powiniene ? Czemu się nie dziwisz, je eli dziwi się potrzeba? Czemu ty tak Siedzisz, czemu Nic nie Robisz, gdy Biec, P dzi trzeba? Gdzie strach twój, gdzie wzburzenie twoje? I ju to coraz wi ksza Trwoga moja z przyczyny, wła nie, braku Trwogi, a w pustce, w ciszy, jak Bania urasta i gniece. Tomasza zamysł — Gonzala zamysł — Bajbaka z Ignacem zabawa — Rachmistrzowej strasznej Ostrogi za mn po cig i gro ca zemsta — Ministra

my I, eby kuligiem zajecha — otó to wszystko w pustce si rozdymało, a jak Pustym B bнем biło, ja za siedz ... Tam za , za Wod , za Lasseм, za Gumnem ju pewnie i cicho, a wielkie Pól, Lasów przestrzenie ju nie or a szcz kiem, ale milczeniem głuchym kl ski wypełnione. Poszedł spa Tomasz. Poszli ty Ign c, Horacjo, a i Gonzala chytra na spoczynek zd a; wi c sam zostałem z Przera aj cym Brakiem Trwogi moim.

Wówczas do Syna i postanowiłem. O Syn, Syn, Syn! Do niego ja pójd , jego ja jeszcze raz w nocy zobacz i mo e w sobie jakie uczucie poczuj ... mo e wie o ci jego si od wie ... Ciemny tedy kurytarz, długi, a ja poprzez Chłopców, którzy tam na podłodze spali, id ... i id , id ... a ju sam nie wiem, czy jako zausznik Gonzala id , czy Tomasza... a mo e id eby młodzie ca tego z ramienia Kawalerów Ostrogi mordowa ... i Chód mój, jak chmura brzemienny, ale pusty, pusty. Doszedłem wi c do pokoiku jego i widz : le y goły, jak go matka porodziła, i oddycha. Otó le y i pi, oddycha. O, jaki Niewinny! O, jak słodko pi, jak spokojnie jemu pier si wzdyma! O, jaka Uroda, jakie Zdrowie jego! O, nie, nie, ja ciebie na t sromot nie wydam, chyba ju ja ciebie tutaj zaraz zbudz i przed Gonzala zasadzk ostrzeg , chyba ja ci powiem, e ciebie zabawami tymi do zbrodni na osobie Ojca twojego wci gaj !!...

Jak e mu tego nie powiedzie ? Miał em pozwoli , aby, z Gonzalem mierci ojca własnego zwi zany, jemu si uwie dał i ju na wieki w Puta obj cia, u ciski si dostał? A to , je li jego Puto z ojcowskiego domu na ciemne, czarne Bezdrowie a uwiedzie, to jego chyba w Cudaka przemieni!!... O nie, nigdy, przenigdy! I ju em r k wyci gał, a eby go zbudzi , Ign c, Ign c, na Boga, wsta , Ojca tobie chc mordowa ! Ale patrz , le y. I znów mnie nagle zw tpienie chwyciło. A bo, je li mu to powiem, a on Gonzala, Horacja przegoni, Ojcu swojemu z płaczem do nóg padnie, to i co? Z powrotem wszystko po staremu, tak jak było? On wiec znowu przy Panu Ojcu b dzie, i dalej za Panem Ojcem pacierz klepa , Pana i Ojca poły si trzyma ... Dalej e tedy dookoła Wojtek, wci to samo?

Pragnienie za duszy mojej takie; aby co si Stało. O, niech e co chce si dzieje, byleby to z miejsca ruszy ... a bo ju mnie zmierziło! A bo ju nie mogłem! A bo dosy , dosy tego starego, niech co Nowe b dzie! Da tedy troch luzu chłopakowi, niech on Co Chce robi. A niech ta Ojca sobie zamorduje, niech Bez Ojca b dzie, niech z domu idzie na Pole, na Pole! Da jemu grzeszy , niech on siebie w

Co Zechce przemienia, a cho by w Morderc , Ojcobójc ! Cho by i w Cudaka! Niech si ta parzy z kiem chce! Gdy My I taka we mnie, silne mdło ci mnie chwyciły i małom nie zrzucił, a jakby si we mnie łamało, P kało w bólu, w zgrozie przenajokropniejszej... bo ju to straszna, najstraszniejsza ach chyba Najwstr tniejsza My I aby jego, Syna, grzechowi, rozpu cie wydawa , kazi , jego Psu , Zepsu , ale nic, nic, niechta, niechta, co ja si b d bał, co ja si b d brzydził, owszem, niech si staje co Sta si ma, niech si łamie, p ka, niech si rozwała, rozwała i o Synczyzna Staj ca si Nieznana Synczyzna! I tak ja przed nim po ciemku w nocy stoj c (bo zapałka zgasła) Nocy, Ciemno ci i Stawania si wzywałem, tak ja jego z rodzicielskiego ojcowskiego domu na Noc, na pole wyganiałem. O Noc, Noc, Noc! Ale co to, co to? A kto to przed dom zaje d a? Co to za gwar, Rozgłos? A tam krzyk, hałas, zaje d anie, z biczów strzelanie, a piwki, a pokrzykiwanie. „Kulig, Kulig" krzycz ! Widz c tedy e JW. Poseł z kuligiem nadjechał, wybiegłem do pokojów go ci wita .

Gonzalo z lamp przed dom wypadł, egna si krzy em w., e niby ze snu zbudzony. Krzycz , zaje d aj , wysiadaj i z szumem, hukiem do domu wbiegaj , przez Salony bie ... za nimi kapela... a ju stołki, dywany odsuwaj , ju tam jeden si przewrócił, drugi Lamp zbił, ale nic, stołki na bok, stoły na bok, i kapela we wszystkie skrzypki uderzyła! Dalej e ta cowa ! Ta kuj ! Ta kuj !

Za górami, za lasami Ta cowała Małgorzatka z góralami ! W pierwszej parze JW. Poseł ta cował z Prezesow P cikow , w drugiej W. Pułkownik z JW. Pani Kielbszow , w trzeciej W. Prezes Kupucha z Pani Kownack , w czwartej Profesor Kali ciewicz z pann Tu k , w pi tej Radca Podsrocki z pann Myszk , a w szóstej pan mecenas Worola z pani Dowalewiczow . Dalej inne pary. Tłum! Tłum! A chyba kwiat Kolonii naszej! Wszystkie pary! Hurmem zajechali i hurmem Ta kuj , hoc , hoc, tirli, tirli, z podkówek krzesz i dom cały wypełniaj a na ogród bije. wir, wir, wir, za kominem, siedzi Mazur ze swym synem! Wszystkie rybki pi w jeziorze! Kulig tedy, Kulig! Porwał pan Zenon pann Ludk , okr cił:

Za górami, za lasami. Ta cowała Małgorzatka z góralami!

Tu sługi biegn z jadłem, z butelkami, stoły zastawiaj , tam Gonzalo rozkazy wydaje, a stangreci, czelad przez okna zagl daj i ju dom cały tak Bucha, e na ł ki, na Pola wybucha!

A napijmy si ! U ywajmy, dlaczego nie pijesz? Jeszcze go raz!

Hoc, hoc, hoc, dzi , dzi , dzi ! Oj, panno Zosiu! Oj, panno Małgosiu! A co tam, panie Szymonie? Hej, panie Mateusz, kop lat, kop lat! Było nie było! Ale do mnie panna Muszka z panna Tolci podbiegaj :

— Ta czy ! Ta czy ! Kulig!...

i rozgrzane, zgrzane, miej si , piewaj . Dopiero powiadam do Radyca Podsrockiego, który obok butelki otwierał:

— Bóg e si Boga, a to chyba nowiny jakie szcz sne nadeszły, o których ja nie wiem, bo tak nadzwyczajna rado wszystkich Rodaków pod przewodem samego Pośta nie może z innej i przyczyny by , jak tylko ze zwycięstwa nad wrogiem. A ja ; w gazetach czytałem, e ju po wszystkim i nasza przegrana.

Odpowiedział mi:

— Milcz, milcz. Owszem, pogrom, klaska, i koniec, ju i na obie łopatki le em y! Ale my z JW. Pośtem to umy lili my, eby niczego po sobie nie pokazywa , a wła nie i Kuligiem, Kuligiem! Zastaw si , a postaw si !

I zaraz kubek wznosi: Wiwat! Wiwat! — Wiwat! — zakrzykn li, a tancerzów w poprzez wszystkie pokoje przebiega i z Potrząsaniem, z krzesaniem a z przytupywaniem i z poklaskiwaniem! To znów w pary si rozłamali i parami ta cz ! Tam za , po bokach, starszych przygadki, Popijanie, to znów z dubeltówki całowanie, oj, panie Walenty, oj, panie Franciszek, a co tam pani Doktorowa, a jak dzieci? Jeszcze kropelk ! Bóg zapła , Bóg zapła ! Ale Minister do mnie przypadł:

— Ta cz mazgaju, dlaczego nie ta czysz? Cóż to, nie wiesz, e Polak do ta ca a i do Ró a ca? Ta cz, ta cz, Krakowiaka!

Abo my to jacy tacy,

Chłopcy Krakowiacy !

Ja Jemu powiadam:

— Ja bym ta czył, ale to podobnie wszystko przepadło. Łykn ł okiem na prawo i lewo:

— Milcz! Milcz! Schowaj to, co mówisz, bo za nic nas ludzie b d mieli! Cóż e zgłupiał, eby si z tym chwali ! Zastaw si , a postaw si !

Zastaw si , a postaw si .

Zastaw si , a postaw si .

Oj, dzi , dzi , dzi ! Dali go! Ta czy , ta cowa ! A pokaza Cudzoziemcom jak to my ta czemy! A ta cowa ta cowa ! A pokaza jakie to piwki nasze, a jakie

hołubce, jaka przytu-panka! Pokaza jakie to Dziewcz ta nasze, ja kich Chłopców mamy! Krew nie woda! Dzi , dzi , dzi ! A niech widz , jaka to Uroda nasza! Oberek, Mazur, Mazur!

Bo w Mazurze taka dusza, e cho umarł to si rusza !

Ta cz, ta cz, ta cz!... Na kolana padłem. Ale stary pan Kaczeski przyst pił do mnie, e za potrzeb chce na dwór wyj i eby to Psi go nie opadły... Z nim wiec razem na dwór wyszedłem i, gdy on pod krzakiem si załatwia, ja na dom spogl dam, który na pola, lasy ta cem a wiatłem a hucz n Zabaw wybucha. A w górze niebo czarne, jak Obwisłe. Tu za Kulig huczy, a ju to si Wdzi czy, a ju to si Kocha w sobie rozkochany jak Oczarowany i kocha si Kocha, a migło , a dziarsko i podkówk krzesz i Kocha si , Kocha siebie, Kocha, w sobie Zadurzony, a ju Zakochany i Kochajmy si , Kochajmy si , dz i , dzi , dzi ! Oj, ale to Kocha si , Kocha si , Kocha... A niebo czarne, puste; a tu blisko krzak jaki ciemny, niezbadany... dalej za dwa drzewa stały... a dalej gromba jaka była, ale Ciemna, Nieruchoma...

I co tam za krzakami, niedaleko płota, szurgn ło. Ja patrz , a tam stwór dziwny si przemkn ł ko lawo: ciel , nie ciel , chyba Pies du y, ale z kopytami i jakby garbaty. Krzaka rozchyliłem i widz , e pod magnoliami inny stwór podobny sadzi, a wła nie jakby kto oklep na psie jechał: ale dwie ludzkie głowy ma! Jakem dwie głowy ludzkie zobaczył, skóra na mnie cierpła i pierwsza ch moja, eby do domu ucieka ; alem si wstrzymał i przyjrze si nieczysto ci tej postanowiłem.

Bokiem tedy, wzdu płotu, zachodz , za krzakami: a tam szurganie, podskoki i jakby konie... bo ci ko skakaj , st kaj . A i Sapanie, ale jakby ludzkie. To znów jakby Kwik cichy, zduszony, albo wierzganie, albo Tratowanie. I chyba do du o tego, cho nie psy, nie konie, ani te nie ludzie. Jeszcze wi c bli ej krzakami znalazłem, a w pomroce, o jakie pi dziesi t kroków, Kup du zobaczyłem... Bo to Kup stało za drzewami, a jakby skakało, jakby si tam gziło, na kieł brało, ale, wstrzymywane, jakby na miejscu Kopytami biło... i Chrapanie, kwik cichy zduszony, albo i j k, a ludzki prawie... To wi c widowisko tak Bolesne jakie a tak Okropne, Straszne, tak Przestraszne, em si w słup soli zamienił i jakbym zmarzł, wcale ruszy si nie mogłem.

Wtem jeden ze stworów owych niezgrabnymi skoki do mnie si przybli ył (a wła nie jak to je dziec na koniu, gdy konia obje d a i jego ostrog musztruje, a

w dziedłem ci ga) i Baron to był! Baron na Ciumkale! A zaraz drugi Je dziec nadjechał, w którym Rachmistrza poznałem: on, ci ko tratuj c, na Ciecisz siedział i jego ostrog za ywał, a w dziedłem ci gał, a chrapał, kwiczał Ciecisz! Zacharczał tedy Rachmistrz cicho, Przera liwie:

— Czy wszystko gotowe? — Gotowe — zacharczał Baron przera liwie. — Jeszcze nie! — zacharczał Rachmistrz z przera eniem. — Jeszcze my nie dosy Straszni! Jeszcze wi cej Ostrogi zada koniom naszym! Niech ponosz ! A dopiro, gdy Kawaleria nasza arcypiekieln si stanie, ataku dam sygnał i Uderzymy! A gdy uderzymy, Stratujemy! A gdy stratujemy, Rozniesiemy! I zwyci ymy, Zwyci ymy! — Zwyci ymy! — wycharkn ł Ciumkała z kwikiem, z charkiem czarnym. — Zwyci ymy, bo my Straszni, Straszni, o, Bij Zabij, Przera aj, Przera aj, Dosiadaj, Dosiadaj! — Bij Zabij — charkn li. — Bij Zabij!

Słysz c słowa te, które jak szalone w cicho ci nocnej ogrodu zabrzmiały, ja skoka dałem i krzakami do domu pobiegłem, a drzwi za sob jak przed Morow Zaraz zawarłem. Bo e miłosierny!

A to ostrzec trzeba, eby drzwi, okna zamykano, do broni, do broni! O, Piekielnicy! Ale co to, co to? Co to za głos, rozgłos? Dopiro patrz : ta cz wszystkie pary! Oj, dzi , dzi , dzi ! Ta czy ty Ignacy, z pann Tu k ta czy, a ju tak dziarsko i chwacko obraca, tak dzielnie wywija, e jemu dansyrka tylko w r kach furczy... a dziwi si Starzy... a mu poklask daj ... Ale co Przytupnie, to kto mu tam Tupnie, a ty co Podskoczy, to jemu kto Skoczy... i nie kto inny pewnie to był, tylko Horacio, który pann Muszk wzi ł do ta ca, a ju tak szparko wywija, zawija, e mu dansyrka furczy, furczy, furczy! Wi c ty to we dwóch wybijaj , przytupuj , obracaj , to w prawo w lewo Wywijaj , a panny jak frygi! Oj to ta kuj , ta kuj ! I co lgn c skoczy, Horacio Podskoczy, co Horacio łupnie, lgn c tupnie tupnie, gdy jeden zakr ci, to drugi Wykr ci i tup, łup, łup i buch i bach buch, i bach bach buch bach, Buchbach, Buchbach, Buchbach, bach bach, buch, buch, Buchbachem ta kuj !

Buchbachem! Buchbacha głos, jak B ben, coraz silniej si rozlega! Gonzalo w czarnej obfitej Mantylli, takim Kapeluszu, dwukrotnie przez cał sal przeszedł i poklaskiem swoim taneczników szczycił. A ja, słysz c Buchbacha zew, głów pochylilem i powieki cokolwiek zmru yłem... i ju tak pusto, pusto, e jak B ben pusto!... Ale przyskoczył Minister:

— Na Boga! — krzyczy — Có to! Chyba si popili! Do diabła z takim ta cowaniem, przecie ju muzyk głusz a wzi ich za łby, wyrzuci !... Ale Ign c Buchn ł, Horacjo wi c Bachn ł, Bach, Bach, Buch, Buch, a szyby dr , a fili anki skacz , i spodeczki, a j czy podłoga! Dopiro tam inni taneczniczy jeszcze ta czy próbowali, a do wtóru, e to Kulig, Kulig, Mazur, Maz ur, ale gdzie tam! Ju Kuligu nie ma, tylko Buchbach, Buchbach i w k t si zbiegli, patrz , a tu Buch, Buch, Buch, Bach, Bach, Buchbach jak Ko grzmoci! Tomasz nó długi, który do mi s krajania, uj ł i niby to mi sa chce ukraja ... ale w kiesze surduta nó wpu cił...

To ja krzykn chciałem, e Synobójstwo, Synobójstwo!

Ale Ojcobójstwo! Bo ju w podskokach, przytupach, Buch, bach Ign c rozbuchany z Horacjem buchaj cym bucha, bucha, j bucha! Buch w lamp Horacjo, Bach w lamp Ignacy, ale ! Buch bach Ho racjo w wazon, Ignacy bach w wazon! I buch w Tomasza Horacjo!

Bo e! Tomasz na ziemi upadł!...

Tomasz na ziemi upadł!... A tu bach, bach, Ign c z Bachem swoim nadlatuje, o, i bachnie, bachnie w Ojca swojego on Bachnie, oj, ty Bachnie, Bachnie...

O Syn, Syn, Syn! Niech zdycha Ojciec! Nadlatuje Ign c. Niech tedy stanie si co sta si ma. Niech Syn morduje Ojca! Ale co to? Co to? O, chyba Zbawienie! O, co to, jak to, j co to? Ach, chyba Zbawienie! A bo, gdy tak z Bachem swoim leci, nadlatuje, a wszyscy Zamarli, on miechem wybuch. I zamiast eby Ojca swego Bachem Bachn on Buch w miech i, miechem Buchn wszy, przez Ojca skoka daje i tak, uskoczywszy, miechem Bucha, Bucha! miech tedy, miech! Za brzuch si złapał Minister, miechem bachn ł! I Buch, Bac h, Pyckal za brzuch Barona złapał, a Rachmistrz Ciecisz a miechem j buchn li, bachn li, Bach, Bach, tam Starzy Rechocz , a si Zataczaj , tu pani Dowalewiczowa a piszczy, łzy roni, popiskuje i Bach, Buch huczy, Pryska, parska od miechu ksi dz Probos zcz, a Muszka z Tu k a Podskakuj , a si zasmarkały! miech tedy Buchn ł! Zatacza si wiec Prezes Pucek! A pod j cianami Rz , Popuszczaj , tam znowu si Dusz , ju chyba Nie mog , tu znów od miechu Kolka e a go Skuliło, albo si Zakrztusił, a przecie jemu i przez uszy tryska, tam znów na ziemi siadł, nogi wyci gn ł, a ju Buczy, Huczy miechem swoim roztrz siony, rozlatany i Trz sie si , trz sie... Inny zasi a spuchł, bo go rozsadza! Dopiro Buchaj ! Wi c trochi ucichło. A tu znowu to ten, to tamten, najprzód jeden, potem drugi, a ju trzech, czterech, ju

pi ciu Bach, Buch miechem Buchaj , Wybuchaj , w ramiona si bior , Zataczaj , to cienko, to grubo razem si Miotaj i ju jeden drugiego, jeden z drugim ale Buch buch oj Rycz , Rycz , a chyba Buchaj . I dopiro od miechu, do miechu, miechem Buch, miechem bach, buch, buch Buchaj !...

Stefan CHWIN

Gombrowicz i Forma polska

Trans-Atlantyk miał się stać skandalem. Czy się stał? „Przełkni to jako . Nikt nie wziętych cudactw na serio. Dynamit nie został dostrzeżony” — narzekał Gombrowicz w Testamencie (Rozmowach z Dominique de Roux). Czy miał rację? Czytelników, którzy przyjęli jego powieść z prawdziwym oburzeniem, było wcale niemało. Po latach Jerzy Giedroyc, pierwszy wydawca książki, która ukazała się najpierw we fragmentach w paryskiej „Kulturze” (1951), później w Instytucie Literackim (1953), przyznawał, że po publikacji i Trans-Atlantyku „Kultura” straciła więcej prenumeratorów niż po publikacji najbardziej nawet kontrowersyjnych artykułów politycznych. Cóż za mowa o opinii Lechonia, wedle którego „Trans-Atlantyk to historia bardzo plugawa”. Pytania, jakie Gombrowicz w swojej powieści postawił, nie byłyby może tak oburzające, gdyby nie chwila dziejowa — najbardziej chyba drastyczna z możliwych — w której zostały postawione. Trans-Atlantyk zaczyna się groteskowym obrazem archetypicznej sytuacji polskiego losu, dobrze znanej parom polskim pokoleniom: rok 1939, naród znów napadnięty przez siady ponosi militarną klęskę, Niemcy druzgoczą polską armię, tak jak sto lat wcześniej, podczas powstania listopadowego, Rosjanie druzgotali armię powstańczą. Co w 1831 roku, gdy upadało powstanie, robił Mickiewicz? Wiemy dobrze choćby z pamfletu Maurycego Gosławskiego: bawił w Rzymie. Co robi w Trans-Atlantyku Polacy, których los w 1939 roku rzucił na argentyńskie ziemie? Wielu z nich (lecz czy wiesszo?) bez wahania podjął pielgrzymim szlakiem Legionów Dobrowskiego: wsiada na statek płynący do Anglii, tak jak to zrobił choćby Wacław Iwaniuk, pisarz, który podobnie jak Gombrowicz w sierpniu 1939 roku znalazł się w Buenos Aires: „Z Argentyny zgłosiłem się jako ochotnik do armii polskiej we Francji, a przydzielony do Brygady Podhalańskiej, brałem udział w walkach w Norwegii pod Narvikiem”. Bohater Trans-Atlantyku na statek płynący do Anglii z rodakami nie wsiada: bawie w Buenos Aires. Tak zaczyna się jego przygoda. Przygoda — powiedzmy od razu — do dwuznaczna, bo on nie tylko „powtarza” losy wieszczów, którzy — jak to

im b dzie wypomina czarna legenda — jechali do powstania listopadowego, jechali i jako nie dojechali, lecz i z tymi paralelami szyderczo si obnosi!

Dlaczego nie jedzie na ratunek Polsce? Bardzo przypomina samego Gombrowicza, nosi nawet jego nazwisko, wi c Gombrowicz mógłby go jako usprawiedliwi , daj c w swojej powie ci cho by takie wyja nienie powodów swego pozostania w Argentynie, jakie dał w przedmowie do wydania z 1953 roku. Ale wła nie tego nie robi! Nie wspomina nawet słowem o niedyspozycji zdrowotne j, która czyniła go niezdolnym do słu by wojskowej. A przecie wystarczyłoby tylko par słów! Tymczasem on, przeciwnie, ka e swojemu bohaterowi wygłosi jedn z najbardziej skandalicznych filipik w dziejach polskiej literatury, sugeruj c, e racje, które skłoniły go do „dezercji”, niewiele miały wspólnego z rozgrzeszaj c słabo ci ciała.

Wi c najpierw: s to racje wyzywaj co niskie. Tak jakby nagle wyszła na jaw wstydliwie skrywana podszewka polskiej duszy — paskudnie egoistyczna. „Nie b d ja si w to mieszał, bo nie moja sprawa, i je li kona maj , niech konaj ” — tak mówi o rodakach, którzy gin wła nie w kampanii wrze niowej, kto , kto nade wszystko — jak na to wygl da — dba o własn skór . Ale — uwaga! — nic nie jest w Trans-Atlantyku jednoznaczne! To, co niskie i kompromituj ce bohatera, nagle w niespodziewanych obrotach fabuły odśłania swój rewers — i to wcale wysoki. Bohater Gombrowicza jest pisarzem — do owych racji egoistycznych dorzuca wi c racje, które s racjami artysty; z pewno ci s to racje, które wyrastaj z „najsakrajniejszej pychy” — lecz czy tylko? Czy nie s to w istocie racje, które musi przemy le ka dy, kto rozwa a trudn kwestię praw jednostki i granic patriotycznej powinno ci? W jakim momencie usprawiedliwione poczucie własnej warto ci przechodzi w wyniosły egotyzm? Jak dalece nasze ja jest własn ci nas samych, a jak dalece nale ymy do innych? Dylematom tym Gombrowicz w swojej ksi ce nadał wyzywaj c ostro . Pyta wi c w Trans-Atlantyku: Czy „pisarz pierwszor dny”, pretenduj cy do wysokiego miejsca w literaturze wiatowej, powinien wi za swoje losy (i to na mier i ycie...) z narodem „drugorz dnym”, słabym, ponosz cym kl ski, który wprz ga artystów w jarzmo duchowo wyjąławiaj cej Słu by? A mo e nale ałoby raczej wybra sobie takie miejsce na ziemi — bezpieczne i pi kne — w jakim nasz talent mógłby prawdziwie swobodnie rozkwitn w zbiorowo ci wolnej i szcz liwej, która nie tłumi, lecz — przeciwnie — wła nie rozplomienia nasze

uzdolnienia, sprzyjaj c duchowemu rozwojowi jednostk i, bo prawdziwie cenne jest jedynie ludzkie ja, a naród, szczególnie naród słaby, yj cy w stałym poczuciu niepewno ci, stanowi dla duszy deformuj ce zagro enie? Czy wi c nie lepiej trzyma si raczej z dala od okolic naznaczonych stygmatem kl ski i od zbi orowo ci dotkni tych kompleksem ni szo ci — bo duchowa atmosfera takich miejsc i takich grup nie słu y zbyt indywidualnej samorealizacji? A czy wła nie jednym z takich niedobrych miejsc, w których indywidualny rozwój bywa hamowany, nie jest Europa rodkowo-wschodnia, ów obszar dotkni ty kompleksem peryferii, z którego wywodzi si bohater Trans-Atlantyku?

„Dusza polska” i „dusza interakcyjna”

Gombrowicz miał niesłychanie ostre wyczucie hierarchii i wiele napisał o psychice rodkowoeuropejskiej, którą uważał za kulturalnie słabszą od mentalności zachodniego świata. Ile to w Dzienniku znajdziemy uwag na temat tej słabości! „Kompleks rodkowoeuropejski”! Bo nie tylko Polacy, ale i Litwini, Bułgarzy, Rumuni, Węgry, Jugosłowianie chcą „dorównać” do Zachodu, dorównać, doścignąć... i właśnie nie w tym staraniu, by dorównać i doścignąć, zdradzają się ze swoim poczuciem „drugorzędności”. Pokażmy, że my nie gorszy i swój język mamy... Tymczasem ktoś, kto ma mocne poczucie własnej wartości, wcale się nie kłopotuje tym, jak go oceni inni. To oni ich ocenia. Chcąc dorównać, zawsze stawiamy się w pozycji niższej.

Jak zatem żyje (a także jak by artysta) w społeczności sfrustrowanej niepowodzeniami militarnymi, stale zagrożonej w swoim istnieniu i dręczonej poczuciem niedorastania do „prawdziwej” kultury? Właśnie sytuacja pisarza w społeczności zjadanej przez kompleks prowincji, szczególnie silny w chwilach klęski, stała się jednym z głównych tematów Trans-Atlantyki. Gombrowicz skupił bowiem swoją uwagę na tym, w jaki sposób ów kompleks promieniuje na całość życia zbiorowego Polaków. Ale obraz społeczności polskiej, kreowany w jego powieści, jest nie tylko błyskotliwą metaforą „kompleksu polskiego” czy „kompleksu rodkowoeuropejskiego”, jest także metaforą ogólniejszego socjologicznego prawa. Społeczność dotknięta kompleksem niższości — zdaje się nam mówić Gombrowicz — ma wbudowany mechanizm duchowej autodestrukcji, który odbiera wszystkim członkom wspólnoty szansę na życie autentyczne. Ulokowanie akcji powieści w archetypicznej sytuacji polskiej klęski pozwoliło Gombrowiczowi na groteskowe uogólnienie psychospołecznych mechanizmów kompleksu oblężonej twierdzy. Pod wpływem frustracji społeczność „słaba” usztywnia się i zaczyna kpić w sobie wszystko, co nie wzmacnia kurczowej woli samoobrony. Poczucie „drugorzędności” zmienia społeczeństwo otwarte w społeczeństwo zamknięte. Nie tylko najeżone wobec obcych, lecz i nastawione represyjnie wobec swoich. Kto nie słucha w Sprawie, jest nikim.

Principia romantycznego patriotyzmu głosiły, że naród w chwilach ostatecznego zagrożenia ma prawo żądać od nas wszystkiego, także ofiary życia, bo jednostka jest jego własnością. Nie był to tylko dogmat polskiej kultury XIX wieku, lecz w istocie dogmat całej poromantycznej „Europy patriotyzmów”, która uwiaryliła kategorię narodowej wiary, łącząc los indywidualny z losem zbiorowości w złem nieledwie sakramentalnym. Dogmat tej formacji ideowej, której politycznym urzeczywistnieniem stała się powszechna „Europa narodów”, zbudowana na gruzach wiary tego Przymierza, głosił, że narodowa to samo, a jednostki nie jest sprawą wyboru. O tym, kim jesteśmy, rozstrzyga biologiczny bądź mistyczny związek duszy (i ciała!) z Ziemią i Krwią. Wbrew temu, co działo się w rzeczywistości; wbrew temu, że Polakami stawali się (i przestawali być!) Niemcy, Rosjanie, Czesi, Litwini, Białorusini, ideologia nacjonalistyczna, z której radykalnej postaci zetknął się Gombrowicz już w latach trzydziestych, obserwując choćby młodych endeków, głosiła, że narodowość jest biologiczną (czy mistyczną) esencją człowieka, której nie da się zmienić. Tak pojmowany biologiczno-mistyczny przymus to samo, co musiał się Gombrowiczowi z pewnością objawić jako jeszcze jedna z form zniewolenia.

Biologiczno-mistycznej wizji człowieka, która wyrastała z romantycznych mitów, przeciwstawił Gombrowicz w *Trans-Atlantyku* (a także w innych dziełach) interakcyjną wizję tożsamości jednostki. Miało to doniosłe konsekwencje. Jak by Polakiem (Rosjaninem, Niemcem, Czechem...) po egzystencjalizmie? — oto wielkie pytanie tej zabawnej, lekkiej powieści, zaszyfrowane w groteskowych przygodach bohatera. Jak by Polakiem, wiedząc, że egzystencja wyprzedza esencję, że to okoliczności historyczne i gra losu nadały kształt demowi z nas takim, a nie innym formom duchów Polaka, Niemca, Rosjanina, że ukształtowało nas nie dziłudzkie obcowanie, edukacyjna tresura, presja społecznych konwencji, że nie istnieje żadna trwała esencja polskość, niemieckość czy rosyjskość osadzona na dnie indywidualnej duszy, że polskość jest tylko jedną z form, w których człowiek objawia się innym?

Kultura „Europy patriotyzmów”, głosząca mit wiecznej „duszy polskiej” czy „duszy niemieckiej”, wedle którego jednostka jako biologiczno-mistyczna część narodu skazana jest na to samo wyrokiem losu, przyznawała zbiorowości naturalne bezwarunkowe prawo dysponowania życiem pojedynczego człowieka.

Lecz je li i jednostka ma prawo stawia narodowi warunki? Je li i ona ma prawo zapyta , czy naród, do którego nale y, wart jest tego, by wi za z nim nasze losy?

Najbardziej bulwersuj ce (i chyba dla wielu czytelników najbardziej niepokoj ce) w Trans-Atlantyku było wła nie to postawienie sprawy wolnego wyboru narodowej to samo ci — jako sprawy otwartej. Bohater Gombrowicza, Polak zbiegiem okoliczno ci rzucony tysi ce kilometrów od Polski (dystans tyle geograficzny, co duchowy...), zyskuje upajaj c wolno , od której w pierwszej chwili kr ci mu si w głowie — mo e by wszystkim! Po swojej „dezercji" z okr tu, wioz cego polskich pielgrzymów ku cierpi cej ojczy nie, mo e „powróci " do rodaków, ale czy nie mo e te machn na nich r k , na przykład wybieraj c ycie w szalonym — i zachwycaj cym — pałacu rozwi złego argenty skiego magnata? Wstydlivy dylemat, przed którym ile to razy stawali emigranci rozmaitych nacji! Roztopi si w argenty skim ywole (który Gombrowicza prawdziwie zachwycił...), tak jak rzesze Polaków roztopiły si w społecze stwach Kanady, Niemiec, Anglii, USA, czy te po oczyszczaj cym ge cie zerwania sta si na powrót (a raczej na nowo) Polakiem?

Lecz czy warto by Polakiem w wieku XX?

„A po co tobie Polakiem by ?! [...] Taki to rozkoszny był dot d los Polaków? Nie obrzydła tobie polsko twoja? Nie do tobie M ki? Nie do odwiecznego Um czenia, Udr czenia? A to dzisiaj znowu wam skór łoj ! Tak to pr zy skórze swojej si upierasz?"

„Europa patriotyzmów" nie znała chyba grzeszniejszego pytania. Bohater Trans -Atlantyku jednak je sobie stawia. Dlatego chce si przede wszystkim dobrze przyjrze tym, do których mógłby po swojej „dezercji" powróci . Gombrowicz nie ograniczył si jednak tylko do demaskowania wad polskiego charakteru narodowego. Sprawa polska jest w Trans-Atlantyku rodzajem przyzmatu, który pozwolił mu wejrze gł biej w zjawiska ogólniejsze i pokaza je ostrzej, w błyskotliwie groteskowej perspektywie. Oczywi cie sprawa ta jest obecna bardzo silnie nie tylko w samej warstwie tematycznej powie ci, lecz i w sposobie pisania, w wyborze perspektywy narracyjnej, w autoportrecie narratora, w jego l kach i ambicjach. Analityczna (i demaskatorska) intencja, zmierzaj ca do groteskowego odsłoni cia archetypów polskiej kultury, ukształtowanych przez romantyzm, ł czy si w Trans -Atlantyku z antyromantycznym, a ci lej z antymickiewiczowskim, szyderstwem — oto przestrze Gombrowiczowskiego sporu z Polsk .

Dziwne nauki w szkole wieszczów

Bo pisząc swój powieść Gombrowicz musiał (i chciał) się zmierzyć z Mickiewiczem. Po pierwsze z Mickiewiczem jako twórcą podstawowych idei i wyobrażeń, które od dziesięcioleci określają odczuwanie Polaków, po drugie z Mickiewiczem jako — tak! — konkurentem... samego Gombrowicza w walce o najwyższe miejsce w polskiej literaturze; chodziło także o to. Dlatego *Trans -Atlantyk* został w dużej mierze napisany jako *anty-Pan Tadeusz* i jako *anty-Dziady*. Nie tylko miał ujawnić wstydliwie skrywane treści obu romantycznych dzieł, w swobodnej zabawie demaskując polskie stereotypy, które wyrosły z mickiewiczowskiego pnia, ale też miał się stać — równoprawny! — odpowiedzi na mickiewiczowski wzór postawy polskiego pisarza wobec narodowej kliszy.

Powieść zaczyna się w istocie pytaniem o to, jak powinien zachować się polski pisarz, gdy naród w potrzebie. Polska wspólnota w Buenos Aires, do której trafia bohater *Trans-Atlantyku*, doskonale wie, jakie ma na nim wymusić postawy i zachowania, a wie to — sugerował Gombrowicz — właśnie od Mickiewicza, bo to właśnie Mickiewicz narzucił Polakom kanoniczne wzory zachowania w obliczu kliszy, pisząc po upadku powstania listopadowego *Dziady* drezdeńskie i *Narodowopoję*, dzieła, które fatalnie zacięły na wiadomości polskiej, odgrodziły bowiem Polaków na długie lata od rzeczywistości, wpychając ich w świat urojony i w sztywne stereotypy.

W *Panu Tadeuszu* (i w sarmackich opowieściach Sienkiewicza) ujrzał Gombrowicz oficjalną, optymistyczną odpowiedź polskiego ducha na narodową kliszę, odpowiedź, którą wedle zbiorowych oczekiwań powinni powtarzać w analogicznej sytuacji nie tylko wszyscy polscy pisarze (przede wszystkim pisarze emigracyjni!) — lecz i wszyscy Polacy, szczególnie Polacy ze sfer rządzących. Aby to jednak ta mickiewiczowska odpowiedź na kliszę była choćby naprawdę własną odpowiedzią Mickiewicza! *Trans-Atlantyk* odśladania interakcyjną genezę polskiej kultury XIX i XX wieku. Bo wedle Gombrowicza Mickiewicz, to prawda, napisał po upadku powstania *Narodowopoję* po to, by pokrzepić zdruzgotane polskie serca (był więc uległy wobec polskich władz ...), czy jednak nie napisał *Pana Tadeusza* te

i dla... Europy, tworząc „atrakcyjny” obraz polski po to, by Europa, uwiedziona przez kłopoty wojny i dzielnice, słuckich pasów i ułaskawionych mundurów, zachwycała się Polską i nie dała jej zginąć? Nigdy nie przyznała się, że zostali my zgnieceni przez wrogów, i za wszelką cenę podobała się Europie — tak wedle Gombrowicza miał się przedstawiać prawdziwy „interakcyjny” sens Mickiewiczowskiego arcydzieła, arcydzieła w istocie głębi nieautentycznego, bo zostało ono napisane przez pisarza, który starał się dopasować swoją wizję polski do przeczuwanych oczekiwań zachodnioeuropejskich, był więc — jak by powiedzieli egzystencjaliści — uwięziony w cudzym spojrzeniu.

W Trans-Atlantyku taki optymistyczny, kompensacyjny, „eksportowy” obraz polski, którego wzór Polacy od dzieciństwa odnajdują u Mickiewicza, fabrykuje „dla” wiata grupa poselska, dając, by pisarz „Witold Gombrowicz” robił to samo. Zatem grupa Rachmistrza, skupiona w malowniczym związku Kawalerów Ostrogi, której nastroje są radykalnie odmienne, jest bliższa rzeczywistości i prawdy? W Trans-Atlantyku oglądamy w groteskowych ujęciach dwa skrzydła polskiego ducha i dwie graniczne formy patriotyzmu. Jeżeli pierwsze — „idylliczne”, oparte na przeświadczeniu, że Natura jest przychylna polskiemu piśmiennictwu — Gombrowicz wywodzi z Pana Tadeusza, to druga — „makabryzująca”, opartej na przeświadczeniu, że Natura nie toleruje narodów słabych — odnajduje w III części Dziadów. Lecz w mrocznych „scenach piwnicznych”, które są aluzją i do „celi Konrada”, i do ogólniejszej psychologii polskiego „życia podziemnego”, nie chodzi tylko o spór z filozofią mesjanizmu. Symboliczna fabuła Trans-Atlantyku socjologizuje zjawisko narodowej martyrologii. Gombrowicz pokazuje, jak (i do czego) polska zbiorowo „używa” martyrologicznego dyskursu — tak wobec samej siebie, jak i wobec Europy.

Martyrologia, której podstawowe struktury wyobrażeń zostały ukształtowane w Mickiewiczowskim arcydramacie, odsłania zatem w Trans-Atlantyku swój dwuznaczny rol. Z jak to ponur, sadomasochistyczny zaciekle ci sportretowani przez Gombrowicza Polacy potęgują w sobie patriotyczny udręk — czyni to wszak nie tylko po to, by osiągnąć cele metafizyczne, lecz i po to — jak Gombrowicz przedstawia w Trans-Atlantyku podszewki romantycznych; wlotów polskiego ducha — by w ten sposób zaleczyć własny kompleks „drugorzędności”. Brakowi sukcesów militarnych (i gospodarczych!) sportretowani w Trans-Atlantyku

wyznawcy patriotyzmu „makabryzujcego” pragn przeciwstawi „imponujc” bezbrze no polskich cierpie . Cóż za koszmarna licytacja! I trzeba przyzna , e przez Gombrowicza podpatrzona trafnie! Bo zdarzało si przecie Polakom przebywaj cym za granic przekonywa cudzoziemców, e Polsce nale y si podziw i szacunek wiata cho by za to, e... podczas wojny Niemcy wymordowali u nas wi cej ludzi ni gdziekolwiek. Ale uwaga Gombrowicza skupiła si przed e wszystkim na zjawisku — nazwijmy to tak — martyrologicznego „terroryzmu”. Oto Polacy — tak przedstawia si symboliczny sens w tku Kawalerów Ostrogi — w nieustannym poczuciu zagro enia zewn trznego wzajemnie przymuszaj si do zgł biania otchłani narodowych kl sk, bacz c, by nikt si nie wychylił z ciemnej, ałobnej atmosfery polskiego ycia, wierz bowiem, e dr cz c si wzajemnie bolesnym rozpami tywaniem m ki powsta , Sybiru, wygna , deportacji, obozów (to aluzja do Króla-Ducha...) wzniec w sobie moc „straszno ci”, która pozwoli narodowi przetrwa i zwyci y . Malowniczy — i straszliwy — zwi zek Kawalerów Ostrogi w niejednym przypomina samoudr czenia i „dociski”, jakie zalecał członkom swojej sekty Andrzej Towia ski. A i pami o patriotycznych prze lad owaniach z roku 1864 pobrzmiwa w tym groteskowo-makabrycznym obrazie wzajemnego patriotycznego przymusu. (Chodzi na przykład o postawy patriotycznej opinii po powstaniu styczniowym, kiedy to gwałtownie, by nie rzec brutalnie, pot piano a i karano Polki, k które o miały si ignorowa narodow ałob , nie przywdziewaj c ciemnych sukni...)

Wszystkie te cechy polskiego ducha Gombrowicz skupił w obrazie argenty skiej Polonii, opowiadał bowiem po trosze o własnych przygodach, jakie go spotkały w Buenos Aires, ale groteskowa forma powie ci pikareskiej, w niespodziewanych dla czytelnika momentach zbli aj ca si do filozoficznej paraboli, pozwoliła mu te postawi w Trans-Atlantyku problem samodzielno ci i autentyczno ci istnienia w sposób daleko wykraczaj cy poza horyzont polskiej sprawy. To prawda, e w Trans-Atlantyku mowa o kompleksach polskiego ducha wobec Zachodu, o rodkwoeuropejskim syndromie prowincji, ale forma groteskowej paraboli przenosiła zagadnienie napi mi dzy „centrum” a „peryferiami” na płaszczy zn uniwersaln . Gombrowicz rysował groteskowe modele postaw, które mogły si pojawi wsz dzie. Z jednej strony zachowania Polaków, uwi zionych w kompleksie wobec wyszej kultury (scena salonowego pojedynku Witolda z argenty skim pisarzem), z drugiej

anarchiczna dezynwoltura wobec kulturowego dziedzictwa ludzkiego w pałacu Gonzala...

Ani w Dzienniku, ani w Trans-Atlantyku Gombrowicz nie objawia się jako pisarz polskiej obsesji. Ile pisze na przykład o kompleksie prowincji, droczy się Ameryką Południową, kompleks ten nie jest więc w jego pojęciu ad hoc polski specjalnie! A Europa Zachodnia, której kulturalne przewagi sprowadzają z oczu „prowincji” opisaną w Trans-Atlantyku? Sprawa, o której pisze Gombrowicz, wbrew pozorom dotyczy także Zachodu. We wszystkich cywilizacjach „centrum” nie jest bowiem niezmiennie, stolica świata w drodze w czasie i przestrzeni, po mieście Aten, Rzymu czy i Paryża przychodzi czas — jak choćby dzisiaj — na miasto Nowego Jorku, i oto zdetronizowany Stary Kontynent poznaje nagle gorzki smak egzystencji na obrzeżach, oczywiście — jak wszystkie „peryferie” — długo nie przyjmując do wiadomości, że jego czas minął... W każdym razie zakończony sukcesem podbój Paryża sprawił Gombrowiczowi niemałą satysfakcję, bo wtedy, kiedy Trans-Atlantyka powstawała, była to jeszcze dla Polaków (a i Argentyńczyków) rzeczywiście stolica świata.

Sarmatyzm jako j zyk nowoczesno ci

Oczywi cie analiza polskiego przypadku pozwoliła Gombrowiczowi nada tej problematyce nie tylko groteskow ostro , jaskrawo , ale i soczysto osobi cie doznanego psychospołecznego konkretn. Niemniej bohater powie ci, zapl tany w meandry polskiego ducha, staje w istocie przed pytaniem uniwersalnym: jak wywalczy sobie duchow niezale no (i własn wybitno !) w starciu z „centrum”, je li przynale ymy do zbiorowo ci kulturowo „słabszej”, z obrze y, z peryferii?

Było to pytanie samego Gombrowicza; powracał do niego wiele razy w Dzienniku. Cały Trans-Atlantyk — fabuła, poetyka, błyskotliwy zapis niezwyklej Gombrowiczowskiej postawy — jest poszukiwaniem odpowiedzi. Wszystko zaczyna si od poczucia prowincjonalno ci, osadzenia w kulturze „drugorz dnej”, wystarczy przeczyta pierwsze kluchowate, pełne wie niaczego udr czenia i wstydu zdania tej powie ci, by ujrze zasromanego przybysza z gorzych stron, który pragnie wytłumaczy si ze swych emigranckich grzechów, idzie mu jak po grudzie, ale to tylko punkt wyj cia (a raczej punkt odbicia), nic wi cej, bo Gombrowicz ów polski „prowincjonalizm” w Trans-Atlantyku wła nie przeciw prowincjonalizmowi wygrywał. Bierze prowincjonalny, zalatuj cy polszczyzn pami tników Jana Chryzostoma Paska, anachroniczny j zyk szlacheckiej Polski z XVII wieku, miesza go z fraz Sienkiewicza, przyprawia romantyczno-mesjanistycznymi osobiwo ciami polszczyzny dziewi tnastowiecznej, dorzuca pokraczn frazeologi (i jeszcze dziwniejsz pisowni) z pami tników chłopów-emigrantów i temu powiatowo-barokowo-wiejskiemu gadaniu Sarmaty nadaje posta ... filozoficznej przypowieści o wolno ci i yciu autentycznym. To, co „słabe”, „ni sze” i anachroniczne, przeobra a w „mocne”, niezale ne i — tak! — nowoczesne. Dokonuje wła ciwie rzeczy niemo liwej: sklerotyczn gadanin starszlacheckiego gaw dziarza zmienia w wieloznaczn narracj błyskotliwego intelektualisty, w której błaze ski art czy trywialno ludowego porzekadła przechodz niepostrze enie w filozoficzne serio. Nast puje zatem odwrócenie: j zyk „ni szo ci” staje si j zykiem swobody i górowania — tak e nad Zachodem. Bo Zachód jest samoistny i mocno osadzony w sobie, to prawda, ale — zdaje si mówi Gombrowicz — có z tego, skoro nie ma

po ród swoich skarbów duchowych takich wspaniało ci jak nasza sarmacka mowa i sarmacki fason ycia, saski, bujny, makaroniczny czasem a do potworno ci, ale tym bardziej wła nie wspaniały. Gombrowicz bawi si zatem podwójnie: bawi si mow ułomn , pokraczn , jak Midas przeobra aj c sarmackie gadanie w mow wysubtelnion i zło on , ale bawi si te górowaniem nad wyjąłowion doskonało ci stylu zachodnich społecze stw, które nie maj takiego s karbu jak nasz polski barok. I to, co go obni ało, naraz go wywy sza. Gombrowicz nie chce dorówna zachodniemu wiatu, na laduj c zachodnie formy, nie chce te obnosi si z sarmacka wierno ci tradycji, jak to czynił wedle niego Mickiewicz (i legion na ladowców Mickiewicza) — staje na równej stopie, wła nie osobiwie rewaloryzuj c czasy saskie, z tamtego czasu wyprowadzaj c wzór własnej postawy. Je li poczucie „drugorz dno ci" ka e grupie poselskiej w Trans -Atlantyku kurczowo trzyma si form polskiego obyczaju, narrator Trans-Atlantyku — przyznajmy: czasem do okrutnie — bawi si polsko ci . Bawi si jednak nie po to, by j porzuci , lecz by zyska swobodny wobec niej dystans. Tylekro o mieszanym szlachcicu polskim z epoki saskiej, poddany w powie ci grotes kowej hiperbolizacji, nagle okazuje si wzorem nowoczesnego sobiepa skiego stosunku do wiata i duchowej suwerenno ci! A z owego zawstydzaj cego saskiego baroku, któremu tyle si dostało od historyków cho by ze szkoły krakowskiej, potrafi Gombrowicz wyci gn tak e korzy ci ci le literackie.

Pocz tkiem Trans-Atlantyku jest gest odstrychni cia si . Bohater Gombrowicza rzuca na rodaków blu niercze przekle stwo i dosłownie odwraca si do nich plecami. Ale potem? Ile si w tej powie ci mówi o pieni dzach! Gom browicz trze wo widzi sprawy. Kto wie, jak rozwin łąby si fabuła Trans-Atlantyku, gdyby powie ciowy Witold nie wyl dował w Buenos Aires z sum 96 dolarów, o której dowiadujemy si na wst pie, lecz z sum , która dawałaby mu materialn niezale no . To praw dziwa historia chudopachołka, który — mimo swej przyrodzonej dumy! — musi czepia si klamek, przede wszystkim polskich klamek. Bo przecie wła nie brak gotówki skazuje go na polsko ! W ród tych klamek trafia si klamka magnacka, i jak to bywało w czasach saskich — jest to nie tylko klamka cudzoziemska, lecz i kusz ca do zdrady! Czy ten dziwaczny pałac Gonzala nie przypomina troch dworu Bogusława Radziwiła — ekscentrycznego zdrajcy, wytwornego, perwersyjnego magnata, trzymaj cego z obcymi i pogardliwie lekcewa cego kurczow poczciwo

polskiej szlachty — którego tak szyderczo sportretował Sienkiewicz, ucząc par polskich pokole patriotycznej wzdryki dla wymuskanych elegantów o obcych narodowi upodobaniach! Otóż właśnie nie ta dwuznaczna klamka magnacka (złote góry Gonzala!) otwiera przed bohaterem Trans-Atlantyku drzwi do wolności — to znaczy do całkowitego zerwania z polskością! Bo Witold trzyma się swojaków wyrażając nie ze strachu przed Niemcami, z tego samego strachu Igniecki (choć ze wstrętem) do Gonzala (miliony, miliony!), ale Gombrowicz prowadzi powieściową narrację jednak tak, by obok tych tonów niskich „zagrała” w obrazie jego przygód złota ona — i powieściowe niezwykle atrakcyjna — dialektyka przyciągania i odpychania. Bo Witold bluźni, wierzga, ale od polskości nie potrafi? nie chce? się oderwać!

A wierzga dlatego, że go ta polskość chce „używać”. Temat patriotycznej reifikacji jednostki powraca w Trans-Atlantyku wiele razy. Polska w Trans-Atlantyku jest spotworniała do karykatury metafor wspólnoty z kompleksem „drugorzędności”, traktując jednostkę instrumentalnie — niczym patriotyczny gadet. Dotyczy to także polskiego stosunku do sztuki i artystów. Pisarz ma się popisować przed obcymi, by udowodnić, że nie jesteśmy gorsi od innych i że mamy literaturę — jeżeli popisuje się skutecznie, zostaje przez swoich uznany za geniusza, lecz jeżeli nie potrafi sprostać wyzwaniu, staje się w oczach rodaków nikim. I tak w Trans-Atlantyku ironii, i skrytego smutku i irytacji, że Polacy nie potrafią docenić własnych artystów, dopóki nie uznają ich obcy — najlepiej z Paryża! Lecz ta sama irytująca, niesamodzielną, nieautentyczną polskość nagle potrafi odłonić przed nami (i przed bohaterem Trans-Atlantyku) swoje — powiedzmy tak: cudowne okropności. Bo chociaż Gombrowicz ani na chwilę nie zapomina o drażliwych cechach polskiego ducha, to przecież jak go cieszy — właśnie jako artysta! — ta romantyczno-sarmacka barwa polskiego życia, jak cieszy go i bawi nawet te makabryczne podziemia mesjanizmu, w których krwawe ostrogi na nogach „patriotów” bluźnierczo pobrzekują niczym... sybirskie kajdany. To, co bowiem anachroniczne, dziwaczne, spotworniałe, we wszystkim całej groteskowej narracji odłania swój estetyczny wspaniałość. Kuligi, polowania, pojedynki, postacie polskich oryginałów, luby, zajazdy, rozmach sarmatyzmu, niebotyczna lewitacja romantycznych dusz — jaki to zajmujący materiał na powieść nowoczesną, właśnie dlatego że tyle w nim trudnych do strawienia anachronizmów! Bo jednak chociaż Gombrowicz wyznawał, że „pragnie bronić Polaków przed Polską ... wyzwoli Polaka z Polski” (chce więc tak

zreformowa polsk mentalno , by nabrała wi kszej swobody), nie adna misja społeczna, lecz wła nie „robienie" powie ci porywa go naprawd .

Ułan i Efeb. Sekretne ródła polskiej Krzepy

St d — powiedzmy wyra nie — ryzykowny ton Trans-Atlantyku, który tak oburzył cho by Lechonia. Gombrowicz zst puje w samo centrum bardzo ryzykownej (i bolesnej) problematyki, ale zst puje tam ostentacyjnie jako artysta, nie za jako moralista czy kapłan narodowej sprawy. Porywa go lekko , swoboda wyobra ni, gra skojarze , a wi c to, co ka dy, kto domaga si powagi rozstrzygni , stosownej zwłaszcza w tak tragicznej chwili dziejowej, w jakiej toczy si akcja Trans -Atlantyku, uznalby za co najmniej naganne. Cały Trans-Atlantyk podszyty jest poczuciem grzeszno ci — tej jeszcze z roku 1920, kiedy to młody Gombrowicz powstrzymał si od udziału w wojnie polsko-sowieckiej — jego bohater przechodzi wła ciwie od „grzechu" do „grzechu", ale te z jakim to szyderczym u miechem Witold bije si w piersi podczas swojej „spowiedzi"! Nie do e grzeszy przeciw rodakom i przeciw przyzwoito ci, wdaj c si w podejrzone konszachty (waha si , czy nie wepchn czystego młodzie ca z Polski w ramiona argenty skiego geja...), to jeszcze traktuje owego zniewie ciałego rozpusznika jako równorz dnego... ideowego partnera polskiego ołnierza, gotowego Polsce po wi ci wszystko, nawet — jak to czynił biblijny Abraham! — własnego syna; bo przecie czy Tomasz nie chce rzuci efebowanego lgn ca na ołtarz narodowej sprawy, wydaj c go na mier lub kalectwo. Swoboda, ku której skrycie d y bohater Trans -Atlantyku, wyra nie ł czy si z rozlu nieniem erotycznych obyczajów. „A jakby tak troch zboczy , to co?" Bo nie chodzi tylko o zboczenie z utartej drogi kulturalnego stereotypu. Problematyka seksu w Trans-Atlantyku — kto o niej napisze? Tu wła nie Gombrowicz powiedział rzeczy najbardziej własne — i chyba najbardziej ryzykowne.

Przede wszystkim odsonił u podło a polskich zachowa antyh omo seksualn obsesj polskiej kultury. W scenach przedstawiaj cych oburzenie Polaków na widok argenty skiego puto czy nie pobrzmiwa echo szesnastowiecznego polskiego urazu — zaszyfrowana w odruchach szlacheckich pamii chwili, kiedy to na Wawelu pojawił si wymuskany, wypachniony Henryk Walezjusz, kandydat na króla Rzeczypospolitej, w którego uchu — jak chce legenda — kontuszowi w sacze z

przera eniem ujrzeli złoty kolczyk? Ale i martyrologia w spojrzeniu Gombrowicza ujawnia podobny neurotyczny sekret! W porz dku fabularnym ból zadany przez patriotyczn Ostrog pojawia si po raz pierwszy jako „kara” za urzeczenie cielesn urod lgn ca. Witold zostaje zesłany do patriotycznych „podziemi” w chwil po grzesznej kontemplacji. W całej powie ci lgn c nie wymawi a nawet jednego słowa — lecz czy cielesne pi kno musi mówi cokolwiek? Jego mow jest wdzi k rozkosznej obietnicy. Martyrologiczna tresura, tak jak jej mechanizmy psychologiczne rekonstruuje w Trans-Atlantyku Gombrowicz, słu y nie tylko wzmaganiu patriotycznej mocy narodowego ducha, lecz tak e oderwaniu Polaków — przede wszystkim młodych Polaków — od ciała. Có to za szydercza — psychoanalityczna! — lektura Dziadów i słynnego Mickiewiczowskiego wiersza Do matki Polki, w którym antycielesna „edukacja ku umartwieniu i mierci” znalazła swój archetypiczny wzór! Polak yje „ku” cielesnej m ce. Ciało polskie to ciało bolesne — i aseksualne. Jego przeznaczeniem jest ukrzy owanie. Polak ma wiecznie y w piwnicznych ciemno ciach celi Konrada i Sybiru, a w dziełach Malczewskiego, Grotgera i Kossaka widzie obraz własnej przyszło ci... Polacy yj w ci głym oczekiwaniu na kolejn kl sk , na przegranej wojn , na utrat niepodległo ci, a znaczy to w istocie: yj w ci głym oczekiwaniu na kolejn prób bólu. Owo oczekiwanie na ból, spodziewanie si bólu, przechodz ce w nerwicowe po danie wi tego patriotycznego cierpienia (skoro nie mo na unkn , trzeba pokocha ...), deformuje za intymn sfer polskiego ycia. Bo w polskim mesjanizmie Gombrowicz dostrzegł nie tylko apoteoz pogr ania si w patriotycznym cierpieniu, lecz i skryty nakaz pogr ania w cierpieniu tak e innych. U podło a za tego wszystkiego odkrywał... nienawi do „rado ci ciała”, bo przecie straszliwy hufiec Kawalerów Ostrogi, w którego wizji pobrzmiwaj echa okrutnych praktyk Towia skiego, tylko rwie si do tego, by zabi rozkosznie przeci gaj cego si we nie Efeba! Duchowe pa stwo romantycznego patriotyzmu to w Trans-Atlantyku niemal, oparte na wzajemnej kontroli, pa stwo policyjne, na którego czele stoi wyschni ty — antycielesny i aseksualny — Wieszcz, ciemny sobowtór Mickiewicza — mistagoga wi zienno- zesła czego misterium. Jak e ostro kontrastuje Gombrowicz cielesn znikomo wyschni tego jak trup Rachmistrza z „soczyst ” urod lgn ca! „Rze kie miec hy, ruchy, całego ciała rado , zr czno !” I podkre la, e polska pod wiadomo chce si wyrwa z narzuconej sobie przez romantyzm duchowej formy, w której znalazła

złudne uleczenie swoich niepokojów. Bo do celi Konrada, podobnie jak do zawadiackiej rycersko ci wiata wykreowanego w Panu Tadeuszu, popycha Polaków nie tylko patriotyczna ideologia — lecz i polskie kłopoty z seksem. ci lej — jak mawiał Gombrowicz — „kurczowy” stosunek do tych spraw. „Wszystko — wola Rachmistrz — aby los nasz przekł ty przemóć i natury wrogo zgwałci i odmieni !” „O zgwałci Natur , zgwałci los, siebie zgwałci i zgwałci Boga najwy szego!” Tak, te słowa to oczywi cie groteskowy skrót idei mesjanizmu (ale i chyba te społecznego darwinizmu narodowej demokracji...). Gombrowicz demaskuje jednak polsk duchowo wła nie przy uyciu metafory fizycznego gwałtu, metafory zgwałcenia samego siebie, zgwałcenia natury w sobie. U podło a polskiego patriotyzmu odkrywa anty-naturaln i anty-cielesn nerwic . Rycerska i m cze ska „twardo ” Polaka, której mityczn wizj kreowali romantyczni poeci i Sienkiewicz, i której broni bohaterowie Trans-Atlantyku, bierze si bowiem z panicznego l ku przed cielesn mi kko ci „mieszaca”, „cudaka”, geja, przed swobodn gestykulacj i mimik pełn gracji, fumów i szyków, przed ludyczn lekko ci ycia. Polska kultura da od Polaków równocze nie twardej jednoznacznej to samo ci narodowej... i seksualnej. Tylko ten, kto potrafi stawa w boju i cierpie na patriotycznej Golgocie, jest prawdziwym Polakiem i prawdziwym m czynn ... Kobiety w Trans-Atlantyku wła ciwie nie istniej (oczywi cie kwestia Formy Polskiej, stawiana przez Gombrowicza, ich tak e dotyczy), Gombrowicz ma na my li zatem przede wszystkim — jak to si dawniej mówiło — problemat m skiej strony polskiego ducha. „Wzajemne Sp tanie Op tanie”, które ogl damy w Trans -Atlantyku, jest wi c unifikacj w anty cielesnym etosie walki i ofiary — ale jest tak e (neurotycznym!) jednoczeniem si w antyhomoseksualnym odruchu. Tu bowiem, w antyhomoseksualnej obsesji, bij wedle Gombrowicza sekretne ródła polskiego mitu Ułana, prawdziwego Ogiera narodowej sprawy, mitu, którego wzorcowymi uciele nieniami byli Mickiewiczowski Tadeusz z r k na temblaku oraz ułan z obrazów Kossaka, karykaturalnym za uciele nieniem jest Tomasz. Ale tu tak e bij ródła mitu M czennika, to znaczy mitu wi zienno-zesła czego, stanowi cego samo centrum narodowej martyrologii.

Dlatego jedn z symbolicznych fabuł Trans-Atlantyku s przygotowania do zabicia Efeba (którego chc zabi M czennicy i Ułan), drug s przygotowania do zabicia Ułana (którego chce zabi Duch Nieokiełznanego Homoerotyzmu). W

powie ciowym wiecie Gombrowicza przeciwie stwem i zagro eniem dla M czennika i Ułana jest nie kto inny, tylko wła nie Efeb. Mi dzy tymi przeciwie stwami porusza si bohater powie ci. I jak to si i w innych powie ciach Gombrowicza dzieje, ma swojego sobowtóra -kusiciela, który go popycha ku skrajnej „opcji perwersyjnej”. Ale Gonzalo jest nie tylko uosobieniem ciemnych stron jego duszy (robi to, czego tamten si boi robi ...), jest tak e jednym z Gombrowiczowskich — wielce dwuznacznych! — re yserów-manipulatorów, którzy, cho pozornie wygl daj na uosobienia wyzwalaj cej swobody, sprawuj dziwaczne (i do przera aj ce) interakcyjne „gusła”, zmierzaj c do zawładni cia innym. A władz nad innym osi ga si w Trans-Atlantyku poprzez wp dzenie cudzej my li w symetri . Gombrowiczowska wizja interakcji t zasad podkre la przede wszystkim.

Krew i miech

W groteskowej narracji Gombrowicza wszystko jednak nabiera niepokoj cej migotliwo ci: „dezercja” przestaje by dezercj (cho mo e i troch ni jest), lekko swobody dystansu wobec polsko ci zbli a si do pogardliwego lekcewa enia surowych Conradowskich imponderabiliów patriotyzmu, indywidualizm, przeciwstawiony t pemu trwaniu w narodowej Formie, raz po raz pobłyskuje szydercz ironi egotyzmu, chocia nigdy nie osi ga Stirnerowskiej agresywno ci, zboczenie za — zboczenie nie jest zboczeniem, cho i troch nim jest. W powie ciowym wiecie staje si ono metafor otwarto ci na zmian . „Twarda” m ska czy kobieca to samo — sugeruje Gombrowicz — jest wmówieniem kultury, seks ci gnie nas zawsze równocze nie i w m sk , i w e sk stron , przenika nas gra sprzecznych pragnie , lecz któ z Polaków (przypomnijmy, e Trans-Atlantyk powstawał w latach czterdziestych) chce o tym słysze ? Tymczasem wszystko u Gombrowicza jest ruchome i otwarte.

To prawda: uderzaj ca jest zamkni ta „symetria” tej opowie ci. Gombrowicz rysuje groteskowo wyostrzone alternatywy sp tanej wewn trznie kultury opartej na narodowym pryncypium — i zderza z nimi jednostk , która poszukuje własnej drogi. Jego wtr cony w symetri bohater musi wybiera mi dzy patriotyczn „idyll ” i „makabr ”, Ojczyzn i Syncyzn , poczciwym Majorem i rozwi złym Gonzalem, Pośtem i Rachmistrzem, Norm i Zboczeniem, Synobójstwem i Ojcobójstwem... Tak

jakby wszedł na wytyczone pole gry. I ruch fabuły jest w duym stopniu przez to pole wyznaczany. Do czasu jednak! Ów bohater bowiem to bardzo literacko wyrafinowana postać, przebrany tylko w kostium sarmacko-wie niaczej niezgrabno ci, niby bezradna, a w istocie bardzo przebiegła, która właśnie nie chce się wymknąć z tej krągłej symetrii, podobnie jak to czynił wczoraj bohater Ferdynand — i sam Gombrowicz. W finale zaś prosi o jakieś mocne rozstrzygnięcie, krew wisi w powietrzu, symetria opowieści domaga się trupa — tymczasem wszystkie alternatywy zostają uchylone: wybuch miech, rozpraszający właśnie niegroźne symetrycznych przeciwstawie. Efeb wymyka się i spod władzy starego wiata, i ze szponów obsesyjnego zбочenia — ale dokąd pod niego? Rozumiemy, że miech, którym Gombrowicz powie zamyka, to miech-tryumf nieskrępowanego ducha artysty, skłaniający nas, byśmy się wzbili ponad sztywne przeciwstawienia i na całość spraw spojrzeli z nowej, wyzwolającej perspektywy. Czy jednak nie jest to miech nadto wykoncypowany, nadto ideologiczny, nadto alegoryczny, nadto wymykający się — miech unik i wykrętu? Gombrowicz zostawia nas z całą tą rozwibrowaną mieszaniną powagi i niepowagi, nadziei i drwiny, bólu i wesołości. Jak my, czytelnicy Trans-Atlantyku, mamy wybrać z tego duchowego zamieszania, w jakie nas wtrącił?

Literatura — zdaje się mówi pisarz — nie jest od udzielania odpowiedzi. Jej rzeczą jest stawianie czytelnika w trudnych, elektryzujących sytuacjach — niech sobie radzi, jak umie.